

LIRA
WYDAWNICTWO

*Rozgrywki i intrygi
na zapleczu wielkiej
historii, afera
szpiegowska i dwoje
uwikłanych w nią
młodych ludzi...*

Joanna
Strutich
UCIEKINIERKA
i UŁAŃ

saga napoleońska

Joanna
Strutich

UCIEKINIERKA
i UŁAN

LIRA
WYDAWNICTWO
WARSZAWA 2022



ROZDZIAŁ I

I

Marianna Podolska była kobietą, która ma wszystko pod kontrolą i drobiazgowym nadzorem. W całym dworze ani też w gospodarstwie nie mogło się wydarzyć nic bez jej wiedzy i aprobaty. Do codziennych rytuałów należało poranne wydawanie przez nią poleceń całej służbie, ustalanie jadłospisu oraz zapisywanie, co trzeba naprawić, jakie rzeczy należy wykonać bez zwłoki, a które w nawale obowiązków i spraw w tak olbrzymim majątku można odłożyć na później. Ta wysoka, zwinna kobieta o ciemnych włosach, w których pojawiać się zaczęły pierwsze pasma siwizny, twierdziła uparcie, że żadna ochmistrzyni, żaden najlepszy nawet zarządca nie jest w stanie dopilnować majątku tak jak sam właściciel. A że mąż, Wincenty Podolski, jeszcze w czasach insurekcji zaangażował się był w wielką politykę, całe gospodarstwo spadło na nią, co przyjęła z wyraźnym zadowoleniem i uczyniła z tego swoją życiową misję i powołanie. Nie zmieniło się to nawet po powrocie męża do domu. Nie mogąc zrealizować swoich władczych zapędów na innych polach, Marianna wyżywała się na służbie i nierzadko również na domownikach. A tych w Podolanach nie brakowało, choć i tak w porównaniu do innych dworów tu ich wcale nie było znowu tak wielu.

Podolska lubiła myśleć, że dzięki niej Podolany rozkwitły i przypominały samowystarczalny rajski ogród, w którym nigdy niczego nie braknie, a to za sprawą tak zorganizowanego gospodarstwa, ogrodów, warzywników, sadu i obejścia. Wszystko, cokolwiek się w gospodarstwie urodziło, było umiejętnie przetwarzane i przechowywane w piwnicze, w spiżarni lub zimową porą zakopcowane w ziemi.

Sobie też Marianna przypisywała zasługę, jaką niewątpliwie było umieszczenie syna w szkołach oraz zgromadzenie stosownego posagu dla córki. Zmęczona całodzienną krzątaniną wokół tysiąca drobnych spraw, marzyła przed snem o bogatym i utytułowanym zięciu, no i obowiązkowo o dobrze urodzonej, pięknej i posłusznej żonie dla ukochanego syna. Z tym że o ile mogła sobie wyobrazić tegoż zięcia, o tyle z synową szło dość opornie. W każdym razie żadna z okolicznych panien nie zyskała jej przychylności. Liczyła, że Antoni znajdzie w mieście kobietę swego życia, najlepiej utytułowaną, może nawet zagraniczną księżniczkę. Potem naturalnie przywiezie ją do matki, przedstawi i posłucha jej rady, jeżeli dziewczę okaże się słabego sortu. A już na czym jak na czym, ale na kobietach Marianna się znała. Uspokojona tą myślą, zasypiała snem, jakim zasypiają ludzie mający poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Długo jednak nie było jej dane pospać w tę wietrzną, moką grudniową noc, kiedy wydawałoby się, że nic nie zakłóci snu domowników sytych oraz utrudzonych po dojadaniu bożonarodzeniowych przysmaków, do tego kołyszanych szumem wiatru i deszczu, miarowo uderzającego w drewniane deszczułki dachowego gontu. Najpierw dało się słyszeć mlaskanie końskich kopyt w gruncie rozmiękłym od roztopów oraz opadów deszczu i śniegu, trwających nieustannie od tygodnia. Niemal natychmiast zawtórowało mu ujadanie psów myśliwskich Wincentego i rżenie konia, co zmusiło Mariannę Podolską do wygrzebania się spod nagrzonej pierzyny. Choć w kominku wciąż jeszcze żarzyły się kawały drewna, chłód zakradający się od okien i drzwi wywoływał dreszcze na rozgrzanym snem ciele gospodyni. Dlatego też po omacku narzuciła na siebie spoczywający na weznogach łóżka kontusik podbity futerkiem, a dopiero potem odszukała stojącą na stoliku obok świecę, którą zapaliła od rozdmuchanego naprędce w palenisku żaru.

Małżonek jej też już zdążył wstać, choć sen miewał mocny. Domyślała się, że skomlące i drapiące w drzwi psy obudziły swego pana. Jakoż i on sam ukazał się we drzwiach przestronnej dworskiej sieni, odziany w kontusz, którym się szczelnie otulił. Psy na zmianę popiskiwały, poszczekiwały i łasiły się do nóg gospodarza, mężczyzny słusznego wzrostu, w sobie tęgiego, choć nieco zgarbionego, jakby skulonego, o włosach szpakowatych, a wejrzeniu ciemnych oczu łagodnym.

– Cóż to, Marianno, za larum o nocnej porze? – zwrócił się do żony, na co ta parsknęła, ale odpowiedziała posłusznie:

– Jeździec jakowyś na podjeździe, mężu.

Oslaniając dłońmi świece, obydwójce ruszyli ku drzwiom wejściowym bogato rzeźbionym i szerokim, wychodzącym na ganek wsparty czterema kolumnami. Poruszenie dało się słyszeć w całym

dworze. Służba dworska: kucharka Marta, Hanna i nawet Henio z Ignacym, starym sługą pana domu na czele, pojawiła się zaraz za plecami państwa. Psy kazano zamknąć w pokojach, a drzwi otwarto. Lodowaty podmuch wdarł się do wnętrza. Płomienie świec zadrgały nerwowo, ta trzymana przez Martę zgasła.

– Co waść za jeden? – zakrzyknął tubalnym głosem Wincenty, ale słowa porwał kolejny podmuch. Ruszono więc kupą ku wierzchowcowi, który rżał niespokojnie, smagany marznącym deszczem. Jęki wiatru zagłuszały okrzyki ludzi, a lodowaty deszcz siekł po twarzach, kiedy ściągano, jak się prędko okazało, ledwie przytomnego jeźdźca z utrudzonego, ubłoconego konia.

– Weź no, zaprowadź mi go do stajni – zakomenderował, przekrzykując wietrzysko Podolski.

Henio, kilkunastoletni chłopak pomagający we dworze, złapał wyczerpanego wierzchowca za cugle i posłusznie począł go ciągnąć ku zabudowaniom ukrytym w ciemnościach. Ignacy z dziedzicem i Hanną wnieśli przybysza, który słańiał się na nogach, do sieni, a kiedy całkiem zawisł na ich ramionach, położyli go na stole przeznaczonym do odkładania okryć wierzchnich. Marianna oświetlała im drogę i jednocześnie lustrowała odzienie nieznanego. A ubrany był w płaszcz wojskowy, ciemny, długi do samej ziemi, teraz ciężki od wody i sztywny, bo zmarznięty na kość. Trudno było dojrzeć twarz przybysza, bo głowa jego zakutana była w równie mokry i ciemny kawał materiału, najwidoczniej dla ochrony przed zimnem. Pod płaszczem, który z niemałym trudem udało się odgiąć, łamiąc go w kilku miejscach, błysnęły złote guziki dekorujące granatową kurtkę munduru.

Marianna nakazała czym prędzej zdjąć mokrą odzież z wojaka, bo nikt nie miał wątpliwości, że oto mają przed sobą żołnierza Wielkiej Armii Napoleona, a potem przenieść go do pomieszczenia zajmowanego wcześniej przez Antoniego, syna Podolskich, który na święta nie wrócił do domu. Poinformował rodziców w obszernym liście, że sam Napoleon ruszył na wojnę z Prusami i Rosją, a on ma zamiar przyłączyć się co prędzej do tej zwycięskiej armii, która lada moment, jak się wszyscy spodziewali, wyprze Prusaków z terenów będących dawniej polskimi. Ponoć sam generał Dąbrowski był się wrócił z Włoch do Wielkopolski i w Polaków, zgnębionych przez pruskie rządy, wstąpiła nadzieja na rychłe odzyskanie niepodległości. Na fali tej wiary w dobre zamiary Napoleona względem naszych Antoni zaciągnął się do wojska, konkretnie do tworzonych w Warszawie oddziałów. Jako doskonałego jeźdźca przydzielono go do drugiego pułku ułanów. Dowódcy szafowali patentami oficerskimi i Antoni jako syn zamożnego szlachcica został kapitanem. Tym bardziej więc Marianna Podolska postawiła sobie za punkt honoru zadbać o strudzonego przybysza, widząc w nim swego ukochanego syna, który Bóg wie gdzie teraz przebywał i w intencji którego zanosila codziennie modły do Najświętszej Pani.

W słabym świetle świec nikt poza Marianną nie zwrócił uwagi na delikatne rysy twarzy przybysza. W pierwszej chwili uznała, że to chłopiec, dziecko prawie. Kiedy młodzieńca ułożono w rozesłanym łóżku, zaraz kucharka Marta nakazała Hani, drobnej dziewczynie zatrudnionej we dworze do pomocy, przynieść wygrzewadło, Ignacy zaś napędził Henia do palenia w kominku. Chłopak z niemałym trudem rozdmuchiwał żar przyniesiony z innego pomieszczenia. Pokój Antoniego wypełnił się gwarem i ludźmi. Do zebranych dołączyła okutana w kozuszek córka gospodarzy, szesnastoletnia Krysia. Ona również z ciekawością przyglądała się niespodziewanemu gościowi, który mimo szarpania, przenoszenia i rozbierania, nie odzyskał przytomności.

Kobiety odplątały białą chustkę spod szyi nieprzytomnego i zaczęły ściągać z niego przemoczoną odzież. Hania ciągnęła za buty, Marianna z pomocą Marty zdejmowała kurtkę munduru, a następnie młodzieńca uniesiono i zaczęto ściągać z niego płócienną koszulę.

– Jezusie, Maryjo i wszyscy święci pańscy! – wykrzyknęła Marta ponad gwar głosów dywagujących, kim jest gość i dlaczego się zabłąkał w okolice leżącego na uboczu dworu.

– Chryste – zawtórowała jej Marianna.

Kobiety ustały w mozolnym rozbieraniu chłopca i stały z opuszczonymi rękami, z oczami wybałuszonymi i ustami otwartymi z zaskoczenia.

– Co wy w takie modlitewne tony wpadłyście... – zaczął i urwał Wincenty Podolski, podszedłszy bliżej łóżka i leżącej na nim postaci oświetlonej bladym, rozedrganym światłem świecy. – Święty Boże! – dodał i zamilkł.

– Przebóg, toć to dziewczuszka! – Ignacy wyrwał pochylonych nad łóżkiem z letargu.

Rzeczywiście, przybysz okazał się kobietą. Pod koszulą, okryte delikatną bielizną, wyraźnie rysowały się piersi, zaś włosy, choć długie, to modnie przycięte, poskręcane w pukle, wciąż zdradzały resztki misternego upięcia celem ukrycia ich pod kapeluszem.

Pierwsza rezon odzyskała Marianna.

– Mężu, same z Martą zajmiemy się gościem. Ignacy i Henio, wyjść. Zawołać mi tu chyżo Manię.

Męskie towarzystwo opuściło pomieszczenie, dzięki czemu zrobiło się spokojniej i jaśniej. Nieprzytomna została przebrana w koszulę Krysi, bo i posturą raczej przypominała kilkunastoletnie dziewczę niż kobietę. Błada, ciemnowłosa, o delikatnych rysach, niewielkim nosie i pełnych, teraz sinych z zimna wargach, co chwila targana dreszczami, spoczywała szczelnie okryta w świeżej pościeli. Jakoż i w pomieszczeniu czuć już było ciepło buchające od kominka, w którym strzelały szczapy.

– Biedne dziewczątko – utyskiwała Marta, wygładzając pierzynę. – Znać, że dobrze urodzone, a w taką komitywę popadło.

Rzeczywiście dłonie dziewczyny były jasne, miękkie, a paznokcie wypielęgnowane.

– Musiała skądś uciec – kontynuowała Marta. – Wymarzła się biedaczka, aż ją telepie. Mało kto by się wygrzebał...

– Niechże już Marta da spokój. – Marianna przerwała utyskiwanie kucharki. Podskórnie czuła, że jeśli dziewczyna przetrzyma noc, to dojdzie do siebie, choć nie wyglądała najlepiej, a dreszcze coraz intensywniej nią szarpały. Podolska położyła chłodną dłoń na jej czole. Gorączka zdawała się rosnać z minuty na minutę i zabarwiać blade dotąd policzki krwistym rumieńcem.

– Zadbamy, żeby przeżyła – rzekła z mocą po chwili milczenia i przystąpiła do wydawania dyspozycji. – Hania z Manią będą jej pilnowały do rana. Niech Marta przygotuje zimne okłady. Trzeba ją też poić. Nikt pod moim dachem nie umrze – podkreśliła Marianna, po czym zabrawszy ze sobą przestraszoną, na wpół śpiącą w fotelu przy kominku córkę, udała się na spoczynek. Jednak zanim zasnęła, odmówiła jeszcze pacierz. Na koniec poczyniła postanowienie, a raczej zawarła układ z Bogiem, że uratuje tę zbłąkaną duszę, zaś Pan Bóg łaskawy za to uchroni jej syna od nieszczęścia.

II

Po długiej nocy świt wyrzwał zza horyzontu równie niechętnie, co mieszkańcy dworu ze swoich posłań. Wiatr przestał zawodzić żałośnie w sadzie, a świat skuła lodowa powłoka zmarzniętego deszczu. Promienie wiszącego nisko słońca odbijały się i igrały na połyskliwych soplach uczepionych u dachu, oblodzonych gałęziach i utrwalonych mrozem koleinach błota na drodze wiodącej do rozległego majątku Podolskich.

Krysia wpatrywała się z zachwytem w widok za oknem, co chwila chuchając na szybę w oknie i przecierając ją rękawem koszuli. Pogoda od wielu dni nie nastrajała do spacerów. Nawet ubite ogrodowe ścieżki rozmiękły i brnęło się po nich trudno jak po polach tonących w błocie. Dziewczyna westchnęła tęsknie. Słońce i czyste niebo zwiastowały mróz, więc istniała nadzieja, że wkrótce będzie mogła choć na chwilę opuścić dwór, uciec od jego mieszkańców, od napominań matki i pomruków ojca, od lekcji z Leosią i głośno pokrzykującej na służbę Marty.

Obudziła ją krzątająca się przy kominku Mania, rozgrzebująca słabo już po nocy żarzące się resztki drewna. Ta pulchna dziewczyna o zaczerwienionych od zimna policzkach, okryta szczelnie dużą chustą, której rogi zawiązała w pasie, przypominała kopkę siana, tak była przysadzista i krągła, a wrażenie to jeszcze potęgowała kilkuwarstwowa spódnica. Sprawnie roznieciła ogień i dorzuciwszy kilka szczap, które przyniosła w koszu, z furkotem spódnic zniknęła za drzwiami.

Po niewielkim przechodnim pokoju, który zajmowała Krysia, zaraz rozeszło się przyjemne ciepło. Podszedłszy do kominka, dziewczyna ogrzała zmarznięte dłonie. Czekala, aż będzie mogła, gnana ciekawością i niezauważona, przemknąć przez amfiladę pokoi. Zanim to jednak mogło nastąpić, poprawiła warkocz oraz narzuciła na siebie zwykłą ciemną sukienkę odciętą pod piersiami, która może nie odwzorowywała najnowszych trendów i raczej słabo przypominała ubiory z albumów Leosi, ale miała tę zaletę, że była ciepła. Mimo to drobna szesnastolatka okryła się jeszcze olbrzymią wzorzystą chustą – prezentem od podziwianego i uwielbianego brata. Dopiero tak przygotowana wymknęła się z pokoju drugim wyjściem i, niezauważona przez nikogo, stanęła pod drzwiami, za którymi panowała cisza, co oznaczało, że mogła bez przeszkód tam wejść, nie ryzykując spotkania z matką czy kimkolwiek

ze służby.

Drzwi skrzypnęły, kiedy dziewczyna wsunęła się do pomieszczenia tonącego nadal w półmroku. Nie odsunięto jeszcze zasłon, ale ogień w kominku płonął w najlepsze i było dość ciepło, mimo że pokój należący do Antoniego wcale nie był tak mały, jak ten zajmowany przez nią. Po męsku obwieszono go bronią, skórami zwierzęcymi i innymi trofeami z polowań, które przyprawiły Krysię o dreszcze. Dla niej były to po prostu krwawe symbole okrucieństwa, a nie potwierdzenie umiejętności brata i innych mężczyzn z rodziny.

Na palcach podeszła do łóżka, na którym w rogu pokoju spoczywała tajemnicza kobieta. Mimo półmroku Krysię zachwyciła uroda nieznajomej, pełne usteczka, rozrzucone na poduszce lśniące włosy, które teraz wilgotne były od potu. Nawet dłonie zaciśnięte na pościeli miała piękne, delikatne. Krysia przyjrzała się swoim jeszcze po dziecinnemu pulchnym palcom. Nigdy nie czuła się piękna, zwłaszcza że matka zachwyciła się najczęściej Antonim, a przecież ona do brata nie była podobna ani odrobinę. I z postury, i z twarzy przypominała ojca, więc uznała, że nie może być ładna.

Kobieta jęknęła i poruszyła się, wyrывая Krysię z zamyślenia. Wciąż gorączkowała. Krysia chciała położyć jej na czole zimny okład. Rozejrzała się w poszukiwaniu płóciennych ścierek i naczynia z wodą, ale widać któraś z dziewcząt poszła je wymienić. Nie bardzo wiedząc, jak pomóc cierpiącej, przycupnęła na brzegu łóżka i dotknęła rozpalonej dłoni.

– Wszystko będzie dobrze, panienko – wyszeptała, chcąc okazać swoje wsparcie, i uściśnęła tę śliczną dłoń.

Nagle kobieta otworzyła oczy i spojrzała na Krysię, aż ta, przerażona, poderwała się z sercem dziko łomoczącym w piersiach. Podniosła drżącą dłoń i wbijając w Krysię rozgorączkowane, dzikie oczy, wychrypiła:

– *Il est mort*^[1]!

Jej oczy zaszyły łzami, a nagły zryw widać wyrwał ją z resztek sił, bo oddychała ciężko przez chwilę, po czym zamknęła oczy i zapadła się w pościeli.

Krysia dopiero po kilku długich minutach, w trakcie których doszła do wniosku, że nieprzytomna musi być Francuzką, odważyła się nad nią nachylić, żeby sprawdzić, czy oddycha. Klatka piersiowa kobiety unosiła się ledwie zauważalnie, nierówno, ale to oznaczało, że żyje. Dziewczyna odetchnęła z ulgą, po czym poderwała się jak spłoszony ptak, usłyszawszy gdzieś blisko głosu. Nie chciała, by ktokolwiek zastał ją w pokoju Antoniego, więc czym prędzej czmychnęła w kierunku drzwi prowadzących do bawialni, z nadzieją, że zdąży przemknąć do swojego pokoju. Na szczęście skryła się w sieni, zanim od strony kuchennych pomieszczeń nadeszły matka i Marta.

III

Zimno, a zaraz potem wrażenie, że płonie, że stoi w środku buzującego ognia, że spala się od wewnątrz, żeby po chwili pograć się w snach, a może w rzeczywistości zbyt okrutnej, by chcieć do niej wracać. Bo czy warto wracać do świata, w którym jest się igraszką losu? W którym ktoś inny sprzedał cię jak rzecz, jak zabawkę, jak rasowego konia. W jednym z widów, kiedy już wyciągała ręce do przyzywającej ją matki, do uśmiechniętego ojca, poczuła, że coś ją jednak trzyma na tym zimnym, upapranym w błocie, przesiąkniętym wilgocią i przemarzniętym świecie. Ktoś ją przyzywa, chwyta za dłoń i odciąga od tego ciepłego i bezpiecznego miejsca u boku rodziców. Wróciła więc ze świadomością, że to nie koniec walki, a raczej dopiero jej początek.

Émilie otworzyła oczy siłą woli, bo powieki jej ciążyły i opadały. Słyszała głosy, ale ich nie rozumiała. Szorstki, raz dźwięczny, kiedy indziej podobny do gęgania język drażnił uszy, lecz wyraźnie pobrzmiwała w tej nieznannej melodii ulga i chyba coś na kształt radości. Pochylały się nad nią kobiece twarze, ogorzałe od słońca i mrozu, a raz nawet widziała anioła. Ciemnowłosego i przestraszonego, jednak emanowała od niego tak dobra energia, że musiał to być wysłannik z nieba. Pojawił się i zniknął, choć chciała mu wyjawic wszystko, czego się dopuściła, choć pragnęła rozgrzeszenia i wybaczenia.

Kiedy ponownie udało jej się otworzyć oczy, w ciemnościach rozjaśnianych żarzącym się gdzieś w głębi ogniem dostrzegła rogate łby i wycelowaną w siebie broń. Zasłużyła na piekło, na męki wieczne, ale nie umiała w sobie znaleźć żalu z powodu tego, co zrobiła. Nawet wtedy, gdy podejrzewała, że sam diabeł upomniał się o jej duszę. Ten, o którym opowieści snuła jej mamka w długie zimowe wieczory

przy kominku. Owszem, zasłużyła na karę, lecz coś jej mówiło, że jeszcze nie teraz, że nie może się jej poddać.

I kolejne mgnienie, w trakcie którego anioł pytał, jak się czuje i czy czego jej nie trzeba, a potem kim jest. Próbowwała powiedzieć, jak się nazywa, ale nie była pewna, czy z jej gardła rzeczywiście wydobył się jakikolwiek dźwięk, czy tylko wymyśliła sobie, że wypowiedziała na głos:

– Émilie de Bériet.

Potem była już tylko ciemność. Ile czasu w niej dryfowała, nie była pewna. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, całkiem przytomnie zarejestrowała szczegóły otoczenia, mimo że przez okna wpadało mdłe światło dnia. Musiał być albo wczesny poranek, albo zmierzch. Émilie spoczywała w pościeli, co prawda nie tak delikatnej jak ta, do której przywykła, jednak czystej i wygrzanej ciepłem jej ciała, co było miłą odmianą po niewygodach, w jakich spędziła ostatnie tygodnie.

Pomieszczenie przypominało gabinet myśliwski i zdecydowanie nosiło znamiona męskiego przybytku. Spróbowała się podnieść i wesprzeć na łokciach, żeby nieco poszerzyć pole widzenia, lecz zawroty głowy nie pozwoliły jej na zbyt wiele. Opadła na poduchy i oddychała ciężko. Była zbyt słaba, by usiąść, a co dopiero, by się bronić czy uciekać. Poza tym czuła wilczy głód, który szarpał jej wnętrzności. Zachciało jej się płakać pierwszy raz od dawna. Przełknęła jednak łyżę, starając się zebrać resztki sił i znaleźć coś do jedzenia, kiedy nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich pulchna, zaczerwieniona na twarzy kobieta, raczej chłopka, sądząc po skromnym ubiorze.

Upuściła kosz z drewnem, krzyknęła coś i zniknęła, zostawiając szeroko otwarte drzwi, za którymi Émilie dostrzegła kolejne pomieszczenie, już nie tak męskie, bo na widocznym fragmencie ściany wisiały różnej wielkości obrazy i kolorowa makata.

Zaraz dały się słyszeć kroki i głosy, głównie kobiece. I w pomieszczeniu zaroilo się od ludzi. Prym wiodła kobieta wysoka, szczupła i zdecydowanie będąca kimś w rodzaju ochmistrzyni. Władczym głosem wydała kilka szeleszczących poleceń, w efekcie których część osób wybiegła w popłochu z pokoju. Potem, kompletnie zmieniawszy mimikę, pani podeszła do łóżka, na którym spoczywała Émilie i z przymilnym uśmiechem przemówiła do niej w tym dziwnym języku. Émilie chciała odpowiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa, a w głowie się zakręciło. Przymknęła powieki.

Kobieta znowu zakrzyknęła, zaś po pokoju rozszedł się zapach jedzenia przy wtórze ściszonych rozmów. Kiedy Émilie otworzyła oczy, na pościeli spoczywała taca z parującym naczyniem, w którym obok kawałków mięsa i gęstego sosu znajdowała się pajda chleba pokryta czymś z wierzchu. Dziewczyna nie zauważyła sztuczków. Ślina napłynęła jej do ust, aż przełknęła, jednak najpierw sięgnęła po kubek, żeby zwilżyć spierzchnięte wargi. Cokolwiek znajdowało się w środku, było słodkie, lekko cierpkie i rozgrzewało przyjemnie, choć nie przypominało wina. Ta dziwna kobieta uśmiechnęła się i powiedziała coś, a potem pokazała na jedzenie, więc Émilie zaczęła jeść. Może nie był to szczyt wykwentności, lecz mięso rwane palcami i chleb maczany w sosie smakowały jej jak nic dotąd. Przeżuwała dokładnie, choć miała ochotę łykać bez gryzienia. Nie wypadało jednak przy tej sztywnej, mimo że udającej życzliwość pani, i pod jej uważnym wzrokiem, zachowywać się prostacko.

Po kilku kęsach pojawił się w drzwiach postawny mężczyzna, a ochmistrzyni zerwała się z łóżka, na brzegu którego przysiadła. Émilie nie wyczuła w przybyszu tej samej władczości i pewności siebie, co u kobiety, ale domyśliła się po reakcji dwóch szczupłutkich i bladych dziewcząt z ciasnymi warkoczami upiętymi wokół głów, że to albo pan domu, albo ktoś, kto stanowił tu władzę. Powagi dodawały mu solidne wąsy, a i ubrany był dziwnie, bo nie po europejsku, chociaż materiały, z których wykonany był ten rodzaj sukni, który nosił, oraz wyszywany szeroki pas, wyglądały na drogie. Zresztą ta szczupła pani również nosiła się inaczej niż rodaczki Émilie. Co prawda suknię miała swobodną krojem, ale już na nią założyła obramowany futrem kubrak, podobny do tego, który miał na sobie mężczyzna.

Poza tym były od niego życzliwość i ciepło, w których Émilie miała ochotę przycupnąć i się ogrzać, wbrew panicznemu strachowi nakazującemu ucieczkę z tej bezpiecznej przystani gdzieś na krańcu świata. Bo nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i jak daleko jest od tego okropnego miejsca, z którego uciekła.

Antoni, dygocząc z zimna, mimo że owinięty płaszczem, tulił się plecami do swego przyjaciela Michała i z rozrzwinięciem myślał o rodzinie pewnie dawno śpiącej po obfitej świątecznej kolacji. Dziś, poza suchym chlebem, kilkoma łykami kiepskiego piwa i kawałkiem twardego mięsa, co do którego nie miał pewności, czy nie było kiedyś koniem, nic więcej nie miał w ustach. Aprowizacja mocno kulała z powodu rozmiękłych, zupełnie pozalewanych miejscami dróg, których nie dało się nawet ominąć polami, bo i te przypominały błotniste sadzawki, w jakich latem młody Podolski taplał się obok dworu po obfitych deszczach. Tylko że to nie było upalne, burzowe lato, lecz koniec grudnia, a mróz chwycił zaledwie na kilka godzin, po czym sypało śniegiem i zalewało deszczem na zmianę.

Do tego jadowity wiatr wdzierał się pod nasiąknięte wodą mundury i w mokre buty, a jednocześnie smagał po spoconych od jazdy plecach. Jako ułani mieli konie, na które coraz łakomiej spoglądali inni żołnierze, więc Antoni coraz czujniej spał, bojąc się, że któregoś ranka jego piękny kasztanowy ogier będzie się piekł na jakimś naprędce spreparowanym ruszcie. Inaczej sobie wyobrażał tę wyprawę życia, jak nazywał zaciągnięcie się do legii warszawskiej, do czego też namówił swego przyjaciela, Michała Śniegockiego. Tymczasem od wielu dni po prostu jechali przed siebie, mimo wichury, śniegów, mrozów i deszczu. Bo zima sama w sobie nie byłaby najgorsza, ale odwilż wykańczała. Artyleria grzęzła w błocie. Musieli pomagać w wyciąganiu armat tonących w rozmokłym gruncie.

Antoni widział, jak Francuzi, nieprzygotowani na to, co ich spotkało tu, na północnym Mazowszu, ciągle dygotali z zimna, narzekali, masowo chorowali z niedożywienia i zmęczenia. Część z nich pewnie nigdy nie wróci do domu tylko dlatego, że nie przeżyją polskiej zimy. Ze zgrozą patrzył, jak to umęczone wojsko czatowało na jakąkolwiek zagrodę, jak grabiono i zabijano broniących swego nędznego dobytku chłopów, i modlił się. Tak, Antoni Podolski modlił się, by Wielka Armia, której stał się częścią, ominęła jego rodzinne strony.

– Śpisz? – zapytał Śniegockiego, kiedy ścierpł już z zimna i niewygody, a sen nadal nie chciał przyjść. Trudno zresztą było zasnąć, kiedy wichura szarpała płachtą udającą namiot i lada moment mogli szukać jej po polach, jak to robili inni, rozbici w miejscu nieosłoniętym ścianą lasu.

– Nie mogę jakoś – sapnął Michał, ale nie zmienił pozycji, tylko przysunął się jeszcze bliżej do przyjaciela. – Myślisz, że wreszcie jutro się zacznie?

– Tak mi się zdaje... – Antoni urwał, bo nagły podmuch wiatru zachybotał lichym schronieniem, zaś w oddali usłyszeli okrzyki wzbijające się ponad szum deszczu. Pewnie znowu porwało czyjś namiot. – Mówią, że Rosjanie będą bronić Pułtuska i przeprawy na Narwi.

– Dziś by się zaczęło, ale ta pogoda fatalna... – stęknął Michał i siąknął nosem. – Podobno były już jakieś potyczki z maruderami rosyjskimi, a kto wie, czy Rosjanie nie stchórzą jak i Prusacy.

– Ale też słyszałem, że Napoleon zbiera siły pod Ciechanowem i tam ma przyjąć główną bitwę. Pruska armia to zbieranina, w tym i Polaków, więc nie ma się co dziwić, że brak im serca do walki. – Antoni zadygotał i skulił się jeszcze bardziej.

– Mnie tam i tak dziw bierze, że cała armia pruska rozsypała się dosłownie w mgnieniu oka po tym, co było pod Jeną i Auerstedt, że potem żadna z pruskich twierdz się nie broniła, a Napoleon jako ten lew kroczy śmiało przed siebie, depcząc po piętach Fryderykowi^[2]. – Michał zachichotał, po czym ponownie siąknął nosem i otarł go rękawem.

– Możesz nie wierzyć, ale podobno tylko garść wojska z jednego korpusu generała L'Estocq'a jeszcze się trzyma. Żeby nie Rosjanie, to dawno byłoby po wszystkim, a my siedzielibyśmy teraz najedzeni jak wieprzki w Podolanach... – Jak na zawołanie pusty żołądek Antoniego wydał z siebie przeciągłe burczenie, więc chłopak skulił się i westchnął tęsknie na wspomnienie pieczystego, które udatnie potrafiła przyrządzić dworska kucharka Marta, a potem pograżył się w marzeniach. – Siedzielibyśmy pod pierzynami wygrzany przez jakieś gorące wiejskie dziewczki – dokończył z błogim uśmiechem, którego w ciemnościach pochrząkujący Michał nie mógł widzieć.

– Chyba masz rację, bo po tych miastowych panienczkach można się tylko łamania w krzyżu dorobić od ukłonów i jakiego paraliżu gęby od uśmiechów, a i tak jedna z drugą mało kiedy pod spódnicę wpuści – podsumował wesoło Śniegocki.

– Ja ci mówiłem, że lepsze ciotunie, bo to znudzone i uczyć nie trzeba, co do czego służy, wręcz

same się cisną na kolanko.

– Jak madame Licheńska? – Śniegocki trącił Antoniego łokciem. W głosie przyjaciela pobrzmiwała kpina.

– Chociażby i ona! Ta pierś, ta nóżka... – Młody Podolski rozmarzył się jeszcze bardziej. Zapomniał na chwilę o głodzie i zimnie. Przed oczami stanęła mu urocza, zaokrąglona w odpowiednich miejscach, choć już nie taka młoda kochanka, z którą przyprawiał rogi podkomorzemu Licheńskiemu, a która to była się nudziła w owym czasie na warszawskich salonach, a z którą był zerwał stosunki przed wyjazdem w dość nieprzyjemnej atmosferze, jednak pomarzyć sobie mógł.

Antoni nie stronił bowiem od kobiecych wdzięków, choć starannie to ukrywał przed matką. W jej oczach był ideałem, kwiatem młodzieży, a taka pozycja ulubieńca miała te atuty, że nie brakowało mu środków, szczerze przez ojca przesyłanych, oczywiście za namową rodzicielki, ale też dlatego, że rzekomo kontynuował rodzinne patriotyczne tradycje jako absolwent Szkoły Rycerskiej. Ojciec co prawda niekiedy marudził, że pora się ustatkować i zakończyć bumelowanie w Warszawie, a czas zająć się majątkiem. Wtedy wyrodney syn przyjeżdżał na moment do Podolan, opowiadał, z kim to nie zawarł znajomości i na jakich to dworach nie przebywał. Rodzica uspokajał i czarował dotąd, aż mógł spokojnie wrócić do dawnego trybu życia.

Kiedy Antoni wreszcie zapadł w sen, wstrząsany dreszczami zimna i głodu, oczyma duszy zobaczył siebie siedzącego przy suto zastawionym stole. Na prawym kolanie spoczywał krągły tyłeczek Licheńskiej, którą poufale objął, jednak kiedy wyciągnął rękę po kawał soczystego mięsa, złudzenie minęło, a w dłoni trzymał trupioblada, cuchnącą rękę odzianą w wojskowy mundur. Nie byłoby to najgorsze, gdyby ta ręka nie była oddzielona od reszty ciała i nie zwisałyby z niej gnijące resztki poszarpanych mięśni. Rzucił truchło na stół i krzyknął krótko ze wstrętem. Żołądek wykonał salto, ale że był pusty, Podolski poczuł tylko jego bolesny skurcz i o mało nie zwymiotował.

– Antoni, do diabła, obudź się!

Podolski otworzył oczy. Przetykał nerwowo ślinę, próbując opanować torsje i zrozumieć, dlaczego to Michał nim potrząsa, nie zaś pulchna kobieta.

– Wstawaj, sygnał był, a ty mnie obłapujesz i krzyczysz do ucha jak szaleniec.

Antoni poderwał się z prowizorycznego posłania, aż zakręciło mu się w głowie. Niewiele widział. Wiatr nadal zawodził i co chwila dawały się słyszeć miarowe uderzenia kolejnych powiewów w zmarzniętą, sztywną płachtę namiotu. Wciąż było ciemno, lecz widać ktoś nie mógł spać, bo ogień, wokół którego rozstawiono namioty, dawał jeszcze słaby poblask.

Całe ciało bolało go z zimna i od niewygodnej pozycji, jaką przyjął podczas krótkiego snu. Dokuczał zwłaszcza ból zgrabiających z mrozu rąk. Roztarł je i wbił na powrót w rękawice.

– Trza się ogrzać i poszukać czegoś do jedzenia – chrząknął Michał i otarł nos rękawem.

– Nie zostało nam chleba z wczoraj? – zapytał naiwnie Antoni, choć wiedział, że wyraża tym samym pobożne życzenie, bo gdyby mieli cokolwiek, co nadawałoby się do żarcia, dawno by to pochłonęli.

– Ciebie się zawsze żarty trzymały. – Śniegocki po omacku nasadził głębiej na głowę rogatywkę i przewiązał ją jakimś kawałem prześcieradła czy czegoś w tym rodzaju, co było brudne i cuchnące, ale przynajmniej dawało odrobinę ciepła i sprawiało, że nie wiało w uszy. Potem podczołgał się do wyjścia, żeby odpłatać sznurowanie namiotu. – Chyba przestało padać, ale zimno jak piorun – dodał, wyjrząwszy w ciemność poranka.

Antoni też dla rozgrzewki postanowił wyjść z namiotu. Z dała na niebie rozlewała się luna.

– Gołymin płonie – szepnął do siebie Podolski.

W obozie panowało poruszenie. Zapewne dostrzeżono już pożary okolicznych wsi. Zziębnięci, przemoczeni żołnierze snuli się wokół szarpanych wiatrem ognisk, które w większości paliły się słabo i dymiły, aż gryzło w oczy, bo trudno było o kawałek suchego drewna. W mroku Antoni mógł dostrzec też jarzące się w oddali ogniska Rosjan. Zdecydowanie dziś musiało dojść do bitwy. Uderzony tą myślą, poczuł dreszcz podniecenia i strachu. Nie brał pod uwagę tego, że mogłby zginąć lub, co gorsza, zostać ranny czy trwale okaleczony. Chciał walczyć, chciał czegoś wielkiego dokonać. Robił to wbrew pragnieniu matki, która wołałaby, żeby teraz grzał się przy piecu w Podolanach, ale Antoniego zawsze

coś pchało, coś gnało w świat. Może to były wspomnienia babki Barbary, która opowiadała o czasach, gdy Polska była mocarstwem nieustępującym Prusom. Ojciec też ciągle ubolewał, że tak się potoczyła historia tego nieszczęsnego kraju, jak zwykł był mawiać o Rzeczypospolitej.

Antoni nie był jakimś tam patriotą, ale chciał po młodzieńczemu zmieniać świat, chciał czegoś dokonać, niechby to i było odbicie kraju z rąk pruskich. I co z tego, że nie wierzył w tę całą bajeczkę o Napoleonie, co to da im kraj ot tak, gdy się zasłużą w jego wojnach i bitwach. Podolski młody był, ale nauczył się, że w życiu nie ma niczego za darmo, a ten, kto ma okazję, by brać, bierze. Jak nie chcą dawać, to prawem siły i tak trzeba brać. Napoleon mógł, ale nie musiał wspomóc Polaków. I szczerze w to Antoni wątpił, by wódz rzeczywiście chciał, mimo wylanej polskiej krwi od Hiszpanii aż po Pułtusk, cokolwiek naiwnym patriotom wynagrodzić. Dość jednak młody żołnierz miał gnuśności.

Dzień wstawał równie niemrawo, jak i wojsko. Mężczyźni snuli się w mroku niczym senne mary w zwolnionym tempie, pojękując i postękując, mlaszcząc, spluwając i kaszląc. Co i rusz który przytupnął dla rozgrzewki, gdzieś tam dało się słyszeć rzenie koni albo nawoływania wiwandierki roznoszącej mocny alkohol. Wiatr osłabł, ale wszystko pokryła lodowa powłoka. Niebo zasnuły ciężkie chmury dźwigające w sobie ładunek wody, która jeszcze tego dnia miała ponownie rozmiękczyć orne pola ciągnące się jak okiem sięgnąć aż pod las z lewej, od strony Gołymina, a pagórki na horyzoncie oraz rozmokłe rozdroże prowadzące do Warszawy z prawej. W każdym zagłębieniu terenu szklily się lodowe tafle. Pierwsze płatki śniegu wirujące wolno w powietrzu wywołały głośne westchnienia, które rozeszły się po obozowisku. Jednak kiedy rozdano resztki zapasów żywności, żołnierze, zajęci pochłanianiem czerstwego, zimnego chleba, przestali zwracać uwagę na upiorne piękno widoku, który coraz wyraźniej rysował się przed nimi.

Daleko z lewej dało się słyszeć tętent, ale nieliczni tylko unieśli głowy, bo w szarzejącym świetle i pośród welonów mokrego śniegu i tak niewiele było widać.

Antoni podniósł się ze swojego miejsca i próbował coś dostrzec. Wyraźnie słychać było okrzyki bojowe i odgłos jakby zawodzenia, a potem szczęk, którego nie można było pomylić z niczym innym. Od strony Gołymina trwała potyczka.

– Chyba się zaczyna – rzucił Michał, wolno przeżuując chleb, byle jak najdłużej mieć go w ustach.

Ledwie skończył, kiedy zobaczyli jeźdźca gnającego w stronę ich obozowiska, a właściwie w stronę namiotu Treillarda, który dowodził brygadą lekkiej kawalerii. Kilka minut potem dowódca ich pułku wypadł z namiotu i zaczął wydawać nerwowe polecenia. Jako dowódca batalionu, Podolski, podobnie jak i pozostali oficerowie, został wezwany, by odebrać rozkazy. Mieli pozostawać w gotowości, bo Rosjanie ponoć obstawili Pułtusk, broniąc przeprawy na Narwi, czyli było dokładnie tak, jak się spodziewali. Nikt nie wiedział, z jakimi siłami wroga przyjdzie im się zmierzyć.

– Oby zdążyli z tymi armatami – zamruczał pod nosem Śniegocki, kiedy Antoni oznajmił mu, że bitwa może się rozpocząć lada moment.

– Rano przymarzło, ale znowu zaczyna padać deszcz – zawyrokował smutno Antoni. Rzeczywiście śnieg zaczął zamieniać się najpierw w marznące kulki, by po chwili już moczyć wszystko rześistą ulewą. – Jeśli nocą się nie przedostali, to jesteśmy zdani na piechotę i jazdę, a bez wsparcia artylerii jakoś nie wierzę w zajęcie miasta.

Obydwaj ze Śniegockim zaczęli siodłać konie niespokojnie wierzgające, przemarznięte i też słabo napasione, bo i paszy dla zwierzaków brakowało.

– Raczysz żartować. Całą noc szalała wichura. Słyszałeś gromy? – Michał zadrżał, a Antoni zastanawiał się, czy to z zimna, czy ze strachu. – Dobrze, że w Boże Narodzenie nie kazali nam walczyć. – Zerknął z bojażnią w stronę opuchniętego, sinego nieba. – Bóg wie, co robi, i jeszcze pokarze tego pysznego człowieka, bo dla niego żadnej świętości nie ma. – Śniegocki splunął.

Antoni uśmiechnął się pod wąsem, ale nic nie powiedział, choć czasem drwił z tej bogobojności przyjaciela. Sam nie bardzo wierzył w cokolwiek poza swoim rozumem, siłą i urokiem osobistym, którego, jak niejednokrotnie się przekonał, nie brakowało mu, a który bardzo ułatwiał życie. Tymczasem Michał dalej biadolił i rysował katastroficzne wizje, w których niechybnie spotka ich kara, bo kto to widział takie ulewy i burze w środku zimy. Wieszczył potop, może nawet i gorsze plagi, a wszystko

dlatego, że bezbożny Napoleon i jego marszałkowie nie szanowali żadnej świętości.

Jakoż potopu nie było, ale lodowaty wiatr z godziny na godzinę się wzmacniał, przynosząc nowe fale deszczu i śniegu. Grzęznąć w błocie i dygocząc z zimna, naprędce uformowane oddziały ruszyły na pole walki, oskrzydlając nieprzyjacielskie oddziały kozackie, które z wrzaskiem i zawodzeniem atakowały, by po godzinie się wycofać. Kiedy wreszcie Antoni i Michał poprowadzili swój oddział na spotkanie wroga, nie mając pojęcia, że wojska nieprzyjaciela są znacznie liczniejsze niż te francuskie ani że ta krwawa bitwa wyzuje z resztek sił żołnierzy obydwu armii, już wygłodniałych, przemęczonych długimi marszami i przemarzniętych, dzień wstał na dobre.

Zazwyczaj lekka jazda wpadała jak huragan na pole walki, lecz tym razem konie z kwikiem protestowały, lgnąc po brzuchy w rozmiękłym gruncie. Michał wśród jazgotu, szczeru i krzyku zarzynanych ludzi kątem oka szukał Śniegockiego. Obiegało go kilku Rosjan o twarzach czerwonych od mrozu, oczach pełnych strachu i nienawiści oraz jakiejś dzikiej zawziętości. Rzucił się w tamtą stronę, ściskając udami koński grzbiet i wymachując na oślep szablą. Darł się przy tym ile sił w płucach, choć sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Czuł na twarzy coś ciepłego i lepkiego. Otarł się rękawem i pochylił w siodle.

– Michał! – starał się przekrzyczeć rumor bitewny i ostrzec przyjaciela, za którego plecami pojawił się obdarty Rosjanin, ale i jego, i wszystko inne zagłuszył przeciągły gwizd, a potem ziemia lub raczej błoto zmieszane z krwią i to, co się w nim znalazło, rozprysło się pod niebo w krwawej fontannie. Później jeszcze raz i jeszcze. W huku, dymie, jękach ginących ludzi i kwiku koni Antoni zdał sobie sprawę, że dostali się w pole rażenia artylerii, jednak nie padł rozkaz odwrotu, więc przetaił oczy i parł naprzód, z lewej mając Michała, a z prawej jakiegoś Francuza, który wkrótce padł razem z wierzchowcem i zniknął z krzykiem pod końskimi kopytami. Podolskiemu dzwoniło w uszach. Niewiele widział i słyszał.

Lodowaty deszcz ze śniegiem chłostał go po twarzy, mimo to pot zalewał mu oczy, a może to była krew z rozbitej głowy, w którą dostał nie wiadomo kiedy, aż zaszumiało mu w skroniach i zadzwoniły zęby. Przed oczami, ze zmęczenia i głodu, wirowały mu krwawe płaty. Nie wiedział, ile godzin wymachiwał szablą, ile czasu tratował końskimi kopytami umierających, jak długo zakrzykiwał do podkomendnych, by parli naprzód, kiedy w końcu dostrzegł samego Treillarda. Ledwie go poznał, kiedy ten, zraniony w rękę, przyciskał ją do boku i z trudem bronił się przed nacierającymi Rosjanami. Umazany błotem i krwią, z posklejanymi włosami, z błyskiem strachu w oczach nie przypominał tego eleganckiego oficera, którego widywali, gdy siedział dumnie wyprostowany na swym koniu, z groźną miną, w pochodzie na wschód.

– Michał! – wrzasnął do przyjaciela Podolski i machnąwszy szablą w stronę broniącego się ostatkiem sił dowódcy, zaczął sobie torować drogę, siekąc bez litości, z jeszcze większym zapamiętaniem niż dotąd. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że Śniegocki doskonale zna jego intencje i osłania tyły.

Kolejna kula armatnia zagwizdała w powietrzu. Ogłuszony bliskim uderzeniem, jak zza grubej ściany słyszał Śniegockiego i bitewny szal, ale ze zgrozą zauważył, że Treillard, cięty w głowę i broczący krwią, zaczyna opadać z sił. Antoni spiął konia i z krzykiem zasiekł nacierających Rosjan, żeby chwycić białego rumaka dowódcy, poranionego jak i on, oszalałego z bólu i strachu, i wyciągnąć go pomiędzy gradu nacierających szabli. Śniegocki blokował tymczasem ciosy atakujących, osłaniając jego odwrót. Wspólnymi siłami odholowali Treillarda do obozu, razem z kilkoma Francuzami, którzy eskortowali ich, krzycząc i rozdzielając szeregi.

Antoni oddychał ciężko, przyglądając się z niepokojem Michałowi, który rozkasłał się na dobre. Oczy mu błyszczały gorączką i Podolski zaczynał obawiać się o zdrowie przyjaciela. Jego uwagę szybko odwróciła wiwandierka, która podała mu kubek z napojem, kiedy bladego Treillarda zabierano do namiotu. Podolski skrzywił się od samego zapachu. W brudnym naczyniu było jakieś podłe piwo, ale łapczywie upił kilka łyków, pokonując odruch wymiotny, po czym oddał naczynie przyjacielowi. Kiedy Michał pił, Antoni powiódł wzrokiem po polu walki. Choć nie było jeszcze późno, to słońce nawet na chwilę nie wyszło zza chmur i zdawało się, że zapada noc. Znowu sypał drobny śnieg, a za jego delikatnym woalem żołnierz dostrzegł oddziały nadciągające od strony Gołymina. Trwoga ścisnęła

Antoniemu serce, lecz wtedy jeden z Francuzów zamachał rękami i krzyknął.

– To Davout^[3]! Jesteśmy uratowani! – wrzeszczał, a Michał zrozumiał, że bitwa byłaby przegrana, gdyby nie ten nagły zwrot i pojawienie się dodatkowych oddziałów, które pewnie nie miały tu być. Przecież *Grande Armée* rozciągnęła się w działaniach wojennych na olbrzymim terenie, a jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności obok V Korpusu, do którego należeli z Michałem, znalazły się oddziały Davouta, kimkolwiek on był.

Nadzieja wstąpiła w Podolskiego. Popędził Michała i brnąc w błocie, ruszyli w kierunku skłębionych w walce ciał – ludzkich i końskich.

ROZDZIAŁ II

I

Pamiętał bitwę, pamiętał, że go raniono i że dwóch Polaków utorowało mu powrót do obozu, zanim osunął się w ciemność, która kusiła go tam, na polu walki. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, jak znalazł się na niewygodnym pośłaniu w zimnym namiocie. Ale ból, tępy, rwący, promieniujący na lewą połowę ciała nie dawał mu odpocząć, zasnąć ani odpłynąć w zbawienną ciemność. Jęknął tylko i zaraz znalazł się przy nim jego ordynans, młody Gaskończyk, który w milczeniu wykonywał każdy rozkaz, niejednokrotnie zaciskając zęby. W obliczu nędzy czekającej go w domu nie miał on jednak innego wyjścia niż usługiwanie swemu panu.

– Medyk opatrzył rany pana generała. Czy podać co do picia? – wyseplenił, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Treillarda.

Chłopak patrzył na niego ze współczuciem, a to działało na niego jak kij wbity w gniazdo os. Mimo to nie odezwał się, tylko skinął głową, dygocząc z zimna. Gaskończyk podał mu kubek i próbował podtrzymać głowę, żeby dowódca mógł się napić. Ten warknął krótko i odrzącił pomocną dłoń, sam chcąc się dźwignąć z pośłania, ale zaraz zrobiło mu się zimno i szarość spadła na oczy, więc pociągnął łyk płynu i opadł na cuchnące pośłanie, którego szczerze nienawidził. Przełknął i skrzywił się.

– Co to za pomyje? – Chciał krzyknąć na Gaskończyka, ale z jego ust wydobył się tylko charkot.

W oczach chłopaka mignął paniczny strach. Nie nadawał się na żołnierza, choć uparł się, żeby zdobywać wojenne szlify. W dodatku gadał jak małe dziecko, które dopiero co nauczyło się mówić.

– To woda, panie generale.

– A wino wypijeś, że mnie jak konia wodą poisz? – warknął, czując, że znowu spada w ciemność. Przymknął oczy i oddychał ciężko, próbując utrzymać przytomność umysłu.

– Została nam tylko kiepska gorzalka. Za pozwoleniem pana generała przyniosę... – urwał chłopak, ale nie ruszył się z miejsca.

– Czego sterczysz? Przynieś – ponaglił Gaskończyka, który wypadł z namiotu, jakby go wilki goniły.

W miarę jak oddalali się od Francji, warunki i pogoda stale się pogarszały. Tutaj, w Prusach, poczynając od Południowych, nie było kawałka przyjaznej człowiekowi ziemi. Ziab, śniegi, wiatry i błoto, w którym dzień po dniu grzęźli głodni, obdarci, bardziej podobni do dzikich zwierząt pragnących jedynie zaspokoić swoje podstawowe potrzeby niż do ludzi czy żołnierzy, musieli sami o siebie zadbać. Dlatego dowódca nakazał brać wszystko, co napotkają na drodze, a co tylko da się zjeść. Zwłaszcza mięso i paszę dla koni. Jeśliby który chłop czy inny szlachcic protestował, to tłuc. Wielka Armia nie mogła cierpieć głodu. Skoro chcieli Polacy, żeby ich wyzwalać, to teraz muszą zadbać o to, by w czasie, gdy aprowizacja jest utrudniona, wykarmić swoich wybawicieli.

Treillard wykorzystał tę chwilę, żeby zebrać siły. Musiał wiedzieć, co z bitwą. Nie przewidzieli aż tak zażartej walki, nie tu. Przez tę upiorną pogodę nie mieli nawet dokładnych danych zwiadowczych. Owszem, wiedzieli, że Rosjanie pilnują Pułtuska, ale nie spodziewali się takich sił i zmasowanego ostrzału artylerii. Dowódca nadal słyszał odgłosy bitwy i gwizd kul armatnich, a ich wybuchy odbijały się od lasów i roznosiły daleko poza pola, na których doszło do potyczki.

Kiedy ordynans wrócił, generał pogrążony w gorączce powtarzał imię swojej żony i nie było z nim kontaktu. Chłopak próbował jeszcze wlać mu do ust odrobinę alkoholu, który cuchnął na odległość, ale zlany potem Treillard zacisnął zęby i wygiął się, aż zatrzeszczało mu w stawach. Chłopak mógł odetchnąć. Nienawidził swego przełożonego, ale żeby wyrwać się z domu, miał tylko jedno wyjście – zostać żołnierzem. Dzięki temu przewędrował kawał Europy i choć poznał ją od najgorszej strony, tej biednej, prymitywnej, brudnej i powodowanej najniższymi instynktami, to nie żałował niczego, bo wszystko wynagradzała mu kobieta ideał, jego muza, której poświęcał niemal każdy wiersz. I mimo że było to uczucie wyłącznie platoniczne, Henri d'Artois nie tracił nadziei, że pewnego dnia, gdy Treillard polegnie na jakimś polu walki, jego żona spojrzy na niego nie jak na przyjaciela i powiernika, ale jak na mężczyznę. Żeby jednak tego dokonać, musiał się stąd wyrwać. U boku Treillarda kariery nie robi, prędzej zginie z głodu i zimna.

Henri powziął już dawno postanowienie, by wziąć los we własne ręce, a teraz, gdy generał

wyglądał źle i poza ranami głowy oraz ramienia doskwierała mu gorączka, nadarzała się sposobność, by uciec. Za radą medyka czuwał na razie przy dowódcy i zmieniał brudne okłady na jego głowie, nawet gdy z nagłą uciął bitewny szal, a noc zakradła się zniecka i walczący nie mieli innego wyjścia, jak tylko złożyć oręż i zacząć bój od nowa o świcie. Dopiero wtedy Gaskończyk ostatni raz zmienił okład na głowie Treillarda, zrobił znak krzyża i opuścił obozowisko. Nikt nie wiedział, że pod osłoną nocy Bennigsen^[4] każe Rosjanom wycofać się w stronę Ostrołęki, zostawiając tylko rozpalone ogniska, więc nazajutrz żadnej walki nie będzie.

II

Pojawienie się na polu bitwy samego cesarza poprzedziła zmiana pogody. Na krótki czas słońce oświetliło świat, jakby na przekór niemu skuty lodem. Kiedy wielki wódz zamyślony przemierzał konno zmarznięte, poryte armatnimi kulami i namiękle krwią pola, w asyście przybocznej gwardii, trupy końskie i ludzkie, skłębione, zastygłe, ogołoczone nierzadko z cieplejszych okryć i butów połyskiwały niczym pokryte cukrową polewą. Grupka ludzi okutanych w kozuchy obok furmanki zaprzęgniętej w zobojętniałą na wszystko szkapę próbowało z mozołem wydostać zwłoki z kłębowiska, ale te, powyginane, zastygłe w danse macabre figury teatru śmierci, nie chciały się poddać ich niemrawym ruchom.

Cesarz milczał.

– Mamy trudności, wasza cesarska wysokość, z uprzątaniem zwłok. Ziemia twarda, mróz wszystko utrudnia... – tłumaczył podkomendny, kuląc się w siodle z zimna.

Trudno było orzec, co myślał o tym wszystkim Napoleon, bo słowa nie wyrzekł, a czoło miał chmurne jak zazwyczaj. Nikt nie śmiał zgadywać, czy pomruk, który czasami wydobywał się z jego gardła, był wyrazem dezaprobaty czy wręcz przeciwnie. W każdym razie, gdy zbliżyli się do miasta i popędzili konie, wódz wysforował się na czoło i pognął ku Pułtuskowi, gdzie zajął niepozorną kamienicę w pobliżu ratusza. Swemu sztabowi cesarz nakazał rozlokować się na zamku biskupim, leżącym na krańcu rynku, na niewielkim wzgórzu nad brzegiem Narwi.

Jeszcze tego samego dnia Napoleon zdecydował o rozłożeniu armii na leżach zimowych, zaś przed swe oblicze nakazał wezwać tych, którzy wykazali się szczególnym męstwem, by ich stosownie do zasług i stopnia nagrodzić. Tak przed wodzem stanęli Antoni Podolski oraz Michał Śniegocki, którzy dzięki brawurowemu atakowi swojego oddziału odbili z rąk Rosjan kilka dział i ocalili życie dowódcy brygady, czyli Treillardowi, wciąż dochodzącemu do siebie.

– To nam się kabała przytrafiła, mości Podolski – żartował Śniegocki, zacierając dłoń, rozgrzany gorzałką i ciepłą strawą, gdy czekali posłusznie na rynku na wezwanie przed cesarskie oblicze. Syci, w czystych mundurach przestępowali z nogi na nogę i zastanawiali się, cóż takiego było bohaterskiego w ich postępowaniu, że znaleźli się w tym miejscu, podobnie jak kilkunastu innych żołnierzy.

– Zamilczałbyś, Śniegocki. Zawsze tylko gadasz i gadasz. – Antoni pokręcił głową z politowaniem.

Kochał kolegę jak brata, zwłaszcza w takie dni jak dziś, gdy jakimś cudem udało im się przeżyć, będąc lewie draśniętymi, gdy brzuchy mieli pełne, a i miało wpaść coś w nagrodę, jednak tak jak Michał, Antoni spięty był do granic możliwości i zdenerwowany, bo niecodziennie zdarzało się takim jak oni oficerkom stawać przed obliczem cesarskim. Podolski zatrząskiwiał się w sobie, milkł i zachmurzał się, zaś jego towarzysz wręcz odwrotnie. Trajkotał jak przekupka na targu, zachwalając swój lichy towar. Chwilowo też na fali emocji opadła mu chyba gorączka, bo wyglądał lepiej niż jeszcze przed kilkoma godzinami, kiedy pokasływał i siąkał nosem.

– Generał pewnie sam by wziął na siebie te splendory, gdyby nie leżał teraz w malignie. Swoją drogą żałuję, żeśmy mu głowę uratowali, o reszcie nie wspomnę. Kawał z niego...

Przemowę Michała przerwało pojawienie się we drzwiach fircyka w bijącym po oczach nowością mundurze, peruczce i wyglansowanych wysokich butach. Zaraz za nim jego cesarska wysokość wyszedł do swych żołnierzy w mundurze, czarnym płaszczu i bikornie. Skutkiem ich bohaterskiej szarży Śniegocki i Podolski otrzymali patenty na pułkowników, zaś nieobecnego Treillarda miano podnieść do rangi generała dywizji. Stosowne rozkazy odczytano głośno i wyraźnie. Echo słów

odbijało się od murów kamienic okalających szeroki rynek i ulatywało z wiatrem w stronę trzeszczącej i szumiącej lodowymi zatorami rzeki. Śniegocki i Podolski stali w szeregu z innymi żołnierzami, dumni, z wypiętymi piersiami, sztywni, wpatrzeni w jeden punkt, póki wódz nie zniknął za drzwiami kamienicy, a z nich wszystkich nie zeszło napięcie. W powietrzu zaczęły kołować pierwsze płatki śniegu, a opasłe chmury zapowiadały duże opady.

Kiedy młodzi mężczyźni wracali do obozu, zastanawiali się, czy ich dowódca nie okaże się awansowany pośmiertnie. Treillard nie wyglądał najlepiej, gdy go ściągnano z konia. Słuchy też chodziły, że zniknął nocą jego ordynans, a on został bez opieki. Szybko jednak zmienili temat, bo oto nadarzała się okazja do rychłego świętowania, tym bardziej że zaprzestali marszu, zaś walki wstrzymała pogoda. Podolski pochodził z okolic Pułtusza i tereny znał doskonale. Wystarczyło wrócić do domu, by wygrzać przemarznięte kości, odżywić wychudzone ciało i odespać wszelkie niewygody, ale przede wszystkim napić się dobrych nalewek pachnących miodem i owocami z przydworskiego sadu.

– Ja to bym jeszcze jaką dziewczką gorącą a pulchną nie pogardził – rozplęwał się Śniegocki, gdy wracali konno do obozu, otuleni płaszczami.

– Znajdzie się i dziewczka, nawet dwie.

– Teraz żeś mi popędził kota. Kiedy wyruszym do tych twoich Podolan?

– Widzę, żeś gotowy dziś jeszcze na złamanie karku tam pognać, byle się unurzać w rozpuście – zaśmiał się Podolski. On sam miał spory temperament i nie gardził panną czy mężatką, starszą czy młodszą, byle sprawną i przyjemną dla oka, a i to niekoniecznie, bo wystarczyło świecę zdmuchnąć, jak to zwykł mawiać Śniegocki. Bo ten to dopiero żadnej nie przepuścił. Nawet panny służące spokoju od niego nie miały.

– Tam zaraz rozpuście. Stęsknionym za ciepłem kobiecego ciała. Matka mnie wcześniej odumarła, co się dziwisz. Ot co! – westchnął rozmarzony, ale nie zdążył się zatopić w opowieściach o swych podbojach miłosnych, bo dogonił ich jeździec będący wysłannikiem generała Treillarda, który obwieścił im, że mają się co prędzej stawić w kamienicy, gdzie odwieziono poturbowanego dowódcę. Mężczyźni popatrzyli po sobie zaskoczeni, ale szybko zawrócili konie i pojechali za żołnierzem.

Treillard powitał ich, na wpół leżąc na sofie w salonie jednej z kamienic na obrzeżach miasta. Ten mężczyzna w sile wieku, z lekko szpakowatymi bokobrodami, głowę miał owiniętą czystym bandażem, a twarz już nie straszyla zaschniętą krwią, ale wciąż był upiornie blady i wokół lewego, opuchniętego oka wykwitał olbrzymi siniec sięgający ucha. Widać było, że tylko siłą woli utrzymuje się w stanie przytomności, bo mówił cicho i wolno, jakby z namysłem, uprzednio odprawiwszy z pomieszczenia wszystkich poza nimi dwoma. Oczy tylko płonęły mu ogniem.

– Stała się rzecz niewybaczalna w czasie, kiedym tu walczył o życie. – Zrobił pauzę, zbierając się do dalszej przemowy.

Śniegocki i Podolski stali napięci jak struny, czekając na to, co ma im do zakomunikowania dowódca.

– Jego wysokość powierzył mi osobiście ważną, być może najważniejszą w całej tej wojnie, misję. – Treillard zrobił okrągły ruch ręką, co go wyczerpało, bo ponownie umilkł. Sapnął, zebrał się w sobie i kontynuował: – Uczynił mnie odpowiedzialnym za eskortowanie i bezpieczne przekazanie pewnych dokumentów o znaczeniu politycznym zapewne, bo nawet i ja nie wiem dokładnie, co skrywa przekazana mi przesyłka. Osobiście miałem dopilnować dostarczenia owej korespondencji carowi Aleksandrowi I. Nie zdążyłem jednak wywiązać się ze swego zadania. Kiedym w tej niespodziewanej bitwie odniósł rany, okradziono mnie w sposób podstępny i haniebny. – Generał ponownie zamilkł, wpatrując się z mocą w podkomendnych, a ci popatrzyli po sobie. Nie musiał dodawać, że w obliczu dopiero co uzyskanego przez niego awansu sytuacja wyglądała zgoła nieciekawie. – Tu się rozchodzi nie tyle o moją wojskową karierę, co o konsekwencje dla całego Cesarstwa. O konsekwencje dla Francuzów i dla was, Polaków. Cesarz jest zapewne przekonany, że rzeczne dokumenty są w drodze na miejsce przeznaczenia. Tymczasem... – urwał Treillard, dysząc ciężko.

– Jak możemy pomóc, obywatelu generale? – zapytał Podolski, bo domyślał się, że zostali wezwani, by zaradzić temu kryzysowi. Nie od dziś wiadomo było, że Polacy okazywali się żołnierzami bitnymi i wiernymi sprawie.

– Właśnie. Dokumenty, a wraz z nimi mapy z planami kolejnych kroków kampanii przeciw Prusom i Rosji wykradł mój ordynans, Henri d’Artois. Wy dwaj wiecie dokładnie, o kim mowa. Widzieliście go, więc go poznacie.

– Tak jest, obywatelu generale! – wyrwał się Śniegocki, aż Podolski trącił go łokciem.

– Wasza misja będzie polegać na znalezieniu tego ścierwa, odebraniu mu dokumentów i doprowadzeniu go do mnie. A jeśliby usiłował znowu uciec, zabić bez litości, mnie natomiast przywieźć jego parszywy łeb. – Oczy generała zajarzyły się niezdrowo, zacisnął zęby i cedził słowa z siłą, jakiej się po nim nie spodziewali. – Zrozumiano?

– Tak jest, obywatelu generale! – potwierdzili zgodnie żołnierze, salutując dowódcy.

– Wyruszać niezwłocznie. Zaopatrzą was we wszystko, co potrzebne na drogę. Wydałem już dyspozycje. Prawdopodobnie ta gnida spróbuje się przedostać do Warszawy. Tam może chce kupić sobie życie za te dokumenty, choć podejrzewam, że to szpieg pruski. I tak będzie próbował przedrzeć się do Rosjan. Macie go znaleźć! – Generał zacisnął dłonie w pięści i zgrzytnął zębami.

– Tak jest, obywatelu generale!

– Możecie odejść – rzucił jeszcze Treillard i opadł na poduszki, którymi był podparty. Przymknął oczy, co uznali za ostateczny sygnał, by opuścić pomieszczenie. Jednak kiedy jednocześnie obrócili się w stronę drzwi jak na musztrze, generał podniósł się i dodał:

– Niech żaden z was pod karą śmierci nie waży się czytać tych dokumentów. Pozostać mają zapieczętowane i takimi je macie tu dostarczyć. Zrozumiano?

Potwierdzili, zasalutowali i wyszli na korytarz, skąd natychmiast zaprowadzono ich do innego pomieszczenia, w którym czekał już ekwipunek konieczny na drogę – tak bardzo potrzebne ciepłe płaszcze i zapas jedzenia. Jeszcze zanim wrócili do obozu, ustalili, że razem z oddziałem, którym dowodził Podolski, wyruszą niezwłocznie w stronę Podolan, gdzie zakwaterują wymizerowanych, wymęczonych żołnierzy, a dopiero stamtąd skierują się do Warszawy.

III

Émilie nie marzyła tylko pod wygrzaną pierzyną. Ten kraj, ta wojna, to wszystko, co wydarzyło się w jej życiu właśnie tutaj, w zimnie i zawierusze wojennej, nadszarpnęło jej siły. Od miesięcy planowała własną śmierć, modląc się, by przyszła sama, i wyrzucała sobie tchórzostwo, że nie miała sił, by targnąć się na życie i raz na zawsze skończyć tę nieszczęsną egzystencję, w której stała się niewolnikiem i jak niewolnik żyła. Jednak z dnia na dzień wszystko się zmieniło. Zrozumiała, że musi się ratować, że ma cel, a jej życie nabrało nowego sensu. Jeszcze nie wiedziała, czy chce wracać do Francji, ale nie zmierzała pozostać w tym zimnym i mokrym kraju szarpanym burzami, spowodowanymi zarówno przez naturę, jak i tymi wywołanymi przez ludzi.

Pod pierzyną czuła się bezpieczna. Kobiety, teraz wiedziała, że jest ich tu przynajmniej kilka, dbały o nią i nieustannie coś mówiły. Przynosiły posiłki, pomagały się przebrać w świeżą koszulę, paliły w kominku, szykowały kąpiel i czesały jej włosy. Słyszała w ich głosach zachwyt, gdy przycięte pasma układały się w pukle i fale, choć nie rozumiała ani słowa.

Tylko jedna osoba mówiła do niej po francusku. To drobna dziewczyna, która nawet gdy była w pokoju, pozostawała jakby w cieniu, rzadko dostrzegana przez pozostałych domowników. O ile Émilie wbrew swej woli nosiła kajdany, o tyle to dziewczę narzuciło je sobie samo, skrywając się w ich cieniu.

– Jak się pani czuje? Czy podać co pani? – dopytywała, kiedy nikt nie słyszał i Émilie chciała jej odpowiedzieć, ale słowa zamierały w gardle, więc tylko kręciła głową. Nie bardzo rozumiała, dlaczego nie chce mówić. Może bała się tych wszystkich pytań wiszących w powietrzu, a jeszcze bardziej obawiała się odpowiedzi na nie. – Chce pani poczytać? Mam kilka książek francuskich... – Dziewczyna urwała i wpatrywała się w nią w napięciu. Jej francuski, toporny i z trudem artykułowany, mimo wszystko brzmiał przyjemnie dla ucha. Émilie zorientowała się, że pobrzmiwa w nim troska i zrozumienie, mimo że przecież słowem nie zdradziła, kim jest i skąd przybyła.

Ta dziewczyna, Christine, bo tak się przedstawiła, nikomu nie zdradziła jej imienia i nie powiedziała też, że jest Francuzką. Émilie miała w niej sprzymierzeńca, dlatego skinęła głową i z wdzięcznością oraz uśmiechem przyjęła propozycję poczytania w ojczystym języku. Wybrała tylko jedną książkę, powieść dla kobiet. Postanowiła ją chować przed wścibskimi oczami pokojowych i tej

wysokiej, chudej kobiety, która zaglądała do niej kilka razy i mówiła głosem wysokim, nieprzyjemnym, świdrującym w uszach, choć polukrowanym uśmiechami. Nie miała zamiaru zdradzać się, a bycie niemą pozwalało jej zyskać na czasie i przygotować plan oraz wszystko, co potrzebne, by ruszyć dalej, jak najdalej stąd.

W końcu musiała wstać z łóżka, chociażby po to, żeby do reszty nie opaść z sił, których potrzebowała jak nigdy. Więc kiedy nikt nie widział, spacerowała po pokoju, robiła skłony i przysiady, aż kręciło jej się w głowie. I jadła. Mimo że nie zawsze to jedzenie, które dostawała, smakowało dobrze. Najbardziej lubiła te polewane śmietaną kluseczki. Ale nie gardziła niczym, bo energia była jej niezbędna.

Podczas jednego z takich momentów, kiedy zmuszała się do ćwiczeń, choć najchętniej przeleżałaby pod pierzyną, balansując na skraju snu z obawą, czy nie zobaczy w nim swego prześladowcy, niezauważenie za jej plecami pojawiła się ta dziewczyna. Émilie akurat dyszała po kilku seriach wymachów rękami i przysiadów. Gdyby tamta nie odezwała się cichym, jakby nierzeczywistym głosem, Émilie nie zauważyłaby jej.

– Czy wszystko w porządku? Może pani pomóc?

W pierwszym odruchu Francuzka chciała jej odpowiedzieć, ale na szczęście wyschnięte gardło odmówiło posłuszeństwa. Pokręciła głową.

– Pomogę się pani położyć. – Dziewczę podeszło do niej i ujęło ją pod ramię.

Zrozumiała, że musi wreszcie opuścić bezpieczne schronienie i rozejrzeć się po dworze, by przygotować plan dalszej podróży i przede wszystkim zorientować się, jak daleko jest od Warszawy, bo to tam zamierzała się dostać i stamtąd wyruszyć we właściwym kierunku. Potrzebowała sprzymierzeńca. Nie miała pewności, czy tej drobnej dziewczynie może zaufać, ale wewnętrzny głos podpowiadał, że to dziecko jest zagubione i samotne tak jak i ona. Musiała zaryzykować. Spięła się w sobie i odchrząknęła. Pokręciła głową i cicho, z wyraźnym trudem, pokonując stawiające opór gardło, powiedziała wolno, by dziewczyna ją zrozumiała:

– Nie. Dziękuję. Chciałabym się ubrać.

Christine nie wyglądała na zaskoczoną tym, że rekonwalescentka przemówiła. Oczy tylko lekko jej się rozszerzyły, ale przytaknęła. Émilie domyślała się, że w gorączce musiała się odezwać, skoro dziewczyna czasem nazywała ją jej imieniem. Pamiętała to jak przez mgłę, ale z pewnością reszta domowników nie miała o tym pojęcia, bo nikt nie próbował do niej mówić inaczej niż w tutejszym języku. Być może nie znali francuskiego, jednak to, że nikt nie używał jej imienia, dowodziło, że dziewczyna się nie wygadała. Ścisnęła jej przedramię i popatrzyła w oczy, w których zobaczyła przestrach. Zdecydowanie ta mała nie mogłaby jej zagrozić, ale musiała być ostrożna mimo wszystko. Takie małe zmięje czasem bywały najgorsze, bo atakowały znienacka.

– Christine, proszę nie zdradzać nikomu, kim jestem. Błagam. Nie chcę narażać was, dobrych ludzi.

Dziewczę tylko potaknęło. Ta milcząca zgoda bardziej przekonała Émilie niż milion słów.

– Zawołam Hanię – rzuciła i zgrabnie wywinęła się z rąk rozmówczynie, żeby niczym duch zniknąć za drzwiami pokoju.

Émilie została sama. Usiadła na łóżku. Nie minęło kilka minut, a już dały się słyszeć głosy i w drzwiach pojawiła się nie tylko panna służąca, o której mówiła Christine, ale też ta szczupła i nieprzyjemna kobieta, którą nazywała ochmistrzynią z powodu podzwaniających u jej paska kluczy. Oprócz niej była jeszcze jedna, której nie zapamiętała, niepodobna do pozostałych, bo blondynka o delikatnej, jakby nierzeczywistej twarzy. Ścisnęła w dłoni obramowaną koronkami chusteczkę i wdychała co jakiś czas, a jej oczy zdradzały szaleństwo, tak dobrze znane Émilie. Na nią powinno się uważać – tak podpowiadał Francuzce instynkt.

Za nimi wcisnęła się do pomieszczenia podobna do ochmistrzynie kobieta ubrana cała na czarno, jakby była w żałobie. W dłoniach ścisnęła książeczkę do nabożeństwa, której zapewne nie zdążyła odłożyć, a na jej piersiach, na niemodnie zabudowanej pod samą szyję sukni, spoczywał krzyżyk na łańcuszku, za który chwyciła się zaraz po tym, jak zrobiła znak krzyża nad głową siedzącej na brzegu łóżka, cokolwiek wystraszonej nagłym pojawieniem się tylu osób, Émilie.

Francuzka nie dostrzegła Christine w tłumie krzątających się wokół niej kobiet. Kazały jej wstać, w każdym razie domyśliła się tego z ich gestów. Oglądały ją na wszystkie strony i najwidoczniej zastanawiały się, skąd wziąć dla niej ubranie, a raczej która z nich może odstąpić jej swoje. Nie zależało jej na tym, by wyglądać modnie. Już nie. Kiedyś uwielbiała piękne suknie z drogich materiałów i klejnoty. A nade wszystko miękkie, delikatne pantofelki i sandały. Próżność przywiodła ją do zguby, do tego miejsca z dala od domu, od wszystkiego, co kochała. Mimo to, kiedy przyniosły jej prostą, ale ciepłą sukienkę i podszyty futerkiem kubrak, ucieszyła się jak dziecko, że nie musi nosić sztywnego, cuchnącego, ubłoconego munduru.

Odważyła się nawet unieść kąciki ust, gdy kobiety uśmiechały się do niej, najwidoczniej zadowolone z efektu, jaki osiągnęły. Ta z krzyżem na piersi nie uśmiechała się, tylko zaciskała usta, co nadawało jej powagę matrony, ale nawet ochmistrzyni wyglądała na szczerze uradowaną.

Teraz pozostało tylko zwiedzić domostwo, zgromadzić wszystko, co potrzebne, z pomocą Christine dowiedzieć się, gdzie się znajdują, a potem stąd zniknąć. Od przybycia tu minęły przynajmniej cztery dni. Stanowczo zbyt długo ociągała się z wyjazdem. Wyrzała przez okno i z niedowierzaniem stwierdziła, że sypie śnieg. Olbrzymie płaty wirowały w powietrzu, a podjazd, który widziała z okna, pokrywała już puchowa pierzyna. Łzy zapiekły ją pod powiekami. Potrzebowała czasu, wiosny, ciepłych prądów, tymczasem wszystko było przeciwko niej.

IV

Zmierzchało już, choć dzień i tak był wyjątkowo długi za sprawą śniegu odbijającego czerwone promienie słońca zawieszono tak nisko, że dotykającego dachów chałup i przydrożnych wierzb widocznych na horyzoncie. Konie tonęły po brzuchy w białej pierzynie, posuwając się bezszelestnie po drodze wiodącej do dworu w Podolanach. Émilie jakimś szóstym zmysłem wyczuła zbliżających się jeźdźców, zanim mieszkańców zaalarmowało szczekanie psów. Wyrzała przez okno i dostrzegła posuwające się wolno drogą charakterystyczne sylwetki żołnierzy ubranych w długie, czarne płaszcze, które i tak zapewne nie chroniły ich w zadowalającym stopniu przed mrozem czy śniegiem. Przez chwilę jeszcze miała nadzieję, że to mieszkańcy jednego z sąsiednich dworów, ale resztki tej nadziei rozpląły się jak śnieg na ciepłej dłoni, gdy dostrzegła futrzane czapki i wystające spod nich szmaty, którymi żołnierze owijali sobie głowy dla ochrony przed zimnem. Nie mogła się mylić, to byli wojskowi. Choć nie rozróżniała, do jakiej formacji należeli, to nie miała wątpliwości, że to jeźdźcy Wielkiej Armii Napoleona.

Strach chwycił ją za gardło i zatrzymał w miejscu, mimo że rozum krzyczał, by uciekała. Gorączkowo usiłowała znaleźć wyjście z tej sytuacji. Nie mogła stać i czekać, aż cały jej wysiłek, wszystko, co dotąd zrobiła, by się wyrwać z matni, poszło na marne. Miała na sobie ciepły kubrak i trzewiki, które nie powinny przemoknąć. Obok kominka wisiał wyczyszczony mundur oraz płaszcz, w którym tu przybyła kilka dni temu. Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co mogło służyć za wytrych. Uznała, że pogrzebacz wiszący przy kominku powinien się nadać. Odsunęła kotary przesłaniające okno od ogrodu i, sapiąc z wysiłku, drżącymi ze strachu rękami, po kilku nieudanych próbach na tyle naruszyła zamknięcie okna, że wreszcie ustąpiło. Do ciepłego pomieszczenia wpadł lodowaty podmuch, aż w kominku strzeliły iskry. Odłożyła pogrzebacz i narzuciła płaszcz na plecy. Na wszelki wypadek wzięła też kapę z łóżka, tak samo ciężką jak wojskowy płaszcz. Żałowała, że zabrano już pozostałości z ostatniego posiłku, bo mogłaby je wziąć ze sobą. Jednak najważniejsza była ucieczka i takie drobiazgi jak brak jedzenia nie mogły jej powstrzymać.

Przerzuciła kapę za okno, a potem usiadła na parapecie i przełożyła nogi na zewnątrz. W szybie majaczyły postaci jeźdźców. Pomiędzy szczekaniem psów słyszała głos gospodarza i jego żony, którym nie miała okazji podziękować za opiekę. Nabrała powietrza i zeskoczyła prosto w skrzypiący i mieniący się tysiącem gwiazd śnieg. Zimne powietrze odebrało jej oddech, a dłonie natychmiast odczuły brak rękawic. Wsadziła kapę pod pachę, owinęła się szczelnie płaszczem i ruszyła przez park w stronę sadu, kryjąc się za drzewami. Ledwie dobrnęła do przyczajonych w śniegu chat, już musiała odpocząć. Przeceniła swoje i tak nadwątlone siły. Zrozumiała, że bez konia daleko nie zajdzie, dlatego postanowiła przyciąć się we wnętrzu chylącej się ku ziemi drewnianej rudery, będącej zapewne stodołą lub czymś w tym rodzaju. Po obluźowaniu deski zgrabiającymi z zimna dłońmi wcisnęła się do wnętrza pachnącego

letnią łąką, aż zachłysnęła się wspomnieniem innej łąki, tak samo odległej jak to miejsce. Wtuliła się w siano i czekała na zapadnięcie nocy, by móc podkraść się do dworu i zabrać konia, na którym tu przyjechała.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło od momentu, gdy wymknęła się oknem, ale zaczęło jej się robić ciepło w kokonie siana. Powieki opadły i śniła o łące ze swojego dzieciństwa, po której spacerowały z mamą, trzymając się za ręce i śpiewając. Słońce świeciło, ciepły wiatr rozwiewał jej długie włosy i pieścił skórę okrytą lekką muślinową sukienką. Raptem to ona stała się matką i trzymała w swojej dłoni ufnie w nią wklejoną dłoń dziewczynki.

W ten piękny sen wdarły się głosy, których nie chciała słuchać. Mocniej wtuliła się w ramiona mamy, jakby to ona była tym dzieckiem.

– Moja piękna dziewczynka – mówiła matka, głaszcząc ją po włosach. – Obudź się, moja piękna.

– Nie chcę, mamą. Dobrze mi tu... – wyszeptała.

– Proszę się zbudzić. Do stu diabłów, kobieto, obudź się! – Głos mówił po francusku i był coraz bardziej natarczywy.

Coś ją szarpało i nie dawało na powrót zatracić się w cudownym śnie, na wspomnienie którego uśmiechnęła się błogo, ale nie od razu podniosła powieki.

– Cholera, gdzie się wszyscy podziali? – Dopiero słysząc obcą mowę, Émilie otworzyła oczy i od razu cofnęła się, wciskając się w zwały siana. W półmroku stodoły dostrzegła przed sobą żołnierza, a raczej jego widmo. Z wymizerowanej, zarośniętej i umorusanej twarzy wpatrywały się w nią czarne, błyszczące oczy. Ubłocony, postrzępiony mundur i płaszcz z widocznymi plamami, zapewne krwi, nie pozostawiały złudzeń, że brał udział w walce. Wojak wyciągnął do niej dłoń i przemówił znowu po francusku: – Proszę się nie bać. Musimy wrócić do dworu, bo zamarnie tu pani. Proszę pójść ze mną.

Strach, który ją sparaliżował, musiał być widoczny w jej oczach, bo mężczyzna mówił cicho i spokojnie, a jego spojrzenie złagodniało. Znalazł ją. Była tak głupia, że nie zatarła śladów. Przecież zostawiła je w śniegu. Wszystko na nic. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, że to nie Francuz, choć nosi mundur podobny do tego, jakie nosili kawalerzyści. Przecież mówił w tutejszym języku, a jego francuski był podobnie toporny i twardy jak tej dziewczynki, choć odrobinę bardziej dźwięczny. Po drugie, zdradziła się i on już wie, że ona jest Francuzką. Mówiła we śnie. Christine nie ujawniła jej sekretu, ale kto wie, do czego zdolny jest ten obszarpany żołnierz.

– Może pani iść? Dobrze się pani czuje? – dopytywał.

Potaknęła w odpowiedzi.

– Pomogę pani.

Émilie podała mu zmarzniętą dłoń, chociaż nie miała ochoty się stąd ruszać. W głowie jej się kręciło i nie czuła nóg. Wystarczyło spróbować się podnieść, by zaraz zobaczyć przed oczami ciemność.

– Niech mi tu pani nie mdleje. – Wojak chwycił ją w pól i nie pozwolił upaść. – Jasna cholera – wymamrotał, a po chwili poczuła, że odrywa się od ziemi.

Zanim zdążyła zaprotestować, wyszedł ze stodoły, trzymając ją na rękach. Oparła głowę na jego ramieniu, choć cuchnął stajnią, potem, starą krwią i czymś jeszcze, co kojarzyło się Émilie ze śmiercią i trupim odorem. Stopy i dłonie miała zgrabiące i dopiero teraz zrozumiała, że jeszcze chwila, a nie obudziłaby się ze snu o letniej łące. Zadrżała na samą myśl o tym, że mogła w tak głupi i nieodpowiedzialny sposób ryzykować życie i zdrowie. Żołnierz musiał to poczuć. Mocniej ją objął, choć szedł z wyraźnym trudem. Mimo że wybrał łatwiejszą niż ona drogę, bo wyszli pomiędzy zabudowania wsi, na częściowo ubity śnieg, dyszał ciężko i szedł noga za nogą. Miarowy chrzęst śniegu pod jego butami, kołysanie w rytmie kroków usypiało ją i kołysało.

– Niech pani nie zasypia. Już niedaleko – wydyszał.

Posłusznie podniosła powieki. Rzeczywiście w szarości wieczoru dwór majaczył pomiędzy drzewami, a ku nim puścili się domownicy z chudą, wysoką kobietą na czele. Dostrzegła w tłumie ludzi kilku żołnierzy tak samo obdartych i brudnych jak jej wybawiciel.

Przekrzykiwali się zdenerwowani i debatowali nad nią, podczas gdy mężczyzna zaczynał się ślaniać na nogach, wciąż ją taszcząc. Wreszcie w tym ferworze, w którym rozpoznała z całą pewnością przestrach pomieszany z ulgą, zapewne związany z tym, że się odnalazła, ktoś chyba zauważył,

że żołnierz zaraz upadnie, bo dostojny pan domu rzucił coś nerwowo, w odpowiedzi na co stary wąsaty mężczyzna próbował ją wyrwać z ramion wojaka, w które wtuliła się, mocno wczepiwszy się w kurtkę munduru.

– Nie puszczę pani – szepnął to tak cicho, że nikt nie dosłyszał, i popatrzył jej w oczy. Skinęła ledwie zauważalnie głową, a on ruszył w stronę wejścia do budynku.

Kiedy dotarli do pokoju, który zajmowała, położył ją na łóżku, a potem wsparł się na jego ramie, aż stroskana ochmistrzyni podtrzymała go i wydała kilka nerwowych poleceń. Żołnierz zniknął z pola jej widzenia, a nad Émilie roztoczyła opiekę panna służąca, zdejmując jej buty, rozgrzewając stopy i dłonie oraz okrywając ją szczelnie pierzyną. W ostatnim przebłysku przytomności, w ciemnicy rozproszonej mdłym światłem świec i kominka, zanim zapadła w sen, Émilie zauważyła, że okno od ogrodu jest zabezpieczone i zaciągnięte kotarą. Znowu jestem w potrzasku – przemknęło jej przez głowę.

ROZDZIAŁ III

I

Obudziła się wcześniej, bo we dworze królowała jeszcze cisza, a za oknem wciąż panowały ciemności rozproszone tylko bladym poblaskiem niechętnie wyglądającego zza lasu słońca. Nie była pewna, dlaczego otworzyła oczy, ale czuła, że nie jest w pokoju sama. Włoski na karku podniosły się ze strachu, oddech przyspieszył, ale Émilie nawet nie drgnęła. Czekwała, zaciskając dłonie w pięści i usiłując coś dostrzec w półmroku. Przy łóżku zobaczyła jakąś postać. To nie była drobna Christine, raczej postawny mężczyzna. Zrobiło jej się gorąco. Nie zdąży nawet podnieść pościeli, jeśli się na nią rzuci, a co dopiero uciekać. Drgnęła, nie mogąc opanować odruchu ucieczkowego.

– Wiem, że nie śpisz – wyszeptwała postać po francusku, a Émilie odważyła się wypuścić powietrze z płuc. Nie było sensu dłużej udawać. Poznała ten głos. Mężczyzna podszedł bliżej i przysiadł na skraju łóżka. Odsunęła się pod ścianę, podkuliła nogi i objęła kolana rękami, by zwiększyć dystans. Nie czuła od niego tego odoru, tak wyraźnego wcześniej, gdy niósł ją do domu. Teraz pachniał wiatrem. – Nie chciałem cię przestraszyć. Jesteś Francuzką, prawda? – mówił cicho i robił przerwy między słowami, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi. Dopiero teraz zauważyła, że nie nazywał jej panią.

Chciała skinąć głową, ale zorientowała się, że on w mroku jej nie widzi.

– Tak – powiedziała cicho. Odwykła już od melodii swojego głosu, który stał się szorstki i drżał z emocji.

– Skąd się tu wzięłaś? Matka mówiła, że zjawiłaś się w noc po bitwie.

Zrozumiała, że mężczyzna był synem gospodarzy i w pewnym sensie odczuła ulgę. Skoro zajęli się nią troskliwie, nie mogli mieć syna łajdaka. Jednak nie miała zamiaru mówić mu prawdy.

– Nazywam się Antoni Podolski. A ty? Kim jesteś? – dopytywał.

– Émilie de Bérrier – wyszeptwała i umilkła. Nie bardzo wiedziała, jak wyjaśnić swoje pojawienie się w tym domu.

– Widzę, że masz swoje tajemnice i że uciekasz. Przed czymś lub przed kimś. Nie zamierzam cię skrzywdzić, chcę twojego dobra, ale też nie chcę, żeby moja rodzina miała przez ciebie kłopoty...

Miała ochotę parsknąć śmiechem. Odkąd pamiętała, ciągle słyszała, że wszyscy działają dla jej dobra. Cóż z tego, że wbrew jej woli, skoro chcieli ją uszczęśliwić. Klatka, choćby ze złota, wciąż była klatką, a tkwiąca w niej osoba nikim więcej niż więźniem, nawet jeśli niczego jej nie brakowało.

– Dlaczego jesteś tutaj zamiast walczyć? – odważyła się zapytać.

– Napoleon zdecydował rozłożyć Wielką Armię na leżach zimowych. Rozlokowano by nas w obcym miejscu, a do domu spod Pułtusza miałem blisko. Poza tym wiem, co wyczyniają niektórzy żołnierze z głodu i tęsknoty za domem – zawiesił głos. Milczał dłuższą chwilę, jakby bił się ze wspomnieniami. – Nie chciałem, żeby coś złego przytrafiło się mojej rodzinie. Wziąłem swoich ludzi, żeby pilnować Podolan.

– Więc już po bitwie – stwierdziła.

– Tak – odpowiedział krótko, a w tym jednym słowie Émilie usłyszała wszystko, czego nie powiedział.

– Domyślam się, że *Grande Armée* pozostała niepokonana...

– Gdyby było inaczej, nie byłoby mnie tutaj, choć Bogiem a prawdą w tym wszystkim najbardziej zwycięska jest śmierć, a nam przyjdzie się bić jeszcze nie raz z Rosjanami. – Drgnęła i potrząsnęła głową, jakby obudził się ze złego snu. – Ja odpowiedziałem na pytania. Twoja kolej. Przed kim uciekasz?

– Nie uciekam. Myślałam, że to Rosjanie, kiedy zobaczyłam żołnierzy na podjeździe, a ja jestem Francuzką, przyjechałam tu we francuskim mundurze... – urwała, by nie zdradzić zbyt wiele.

Milczał, zapewne czekając, aż wyjawi mu resztę tajemnic, ale nic więcej nie miała zamiaru dodawać.

– W porządku. Nie chcesz mówić o przeszłości. Nie wiem też, czy jesteś tym, za kogo się podajesz, ale nie pozwolę, żebyś zagroziła mojej rodzinie. Rozumiesz? – Nie brzmiał już tak miło. Wyczuła agresję w jego słowach.

– Nie zostanę tu długo. Niebawem chcę stąd wyjechać i nie mam zamiaru nikogo narażać. Nie ludzi, którzy uratowali mi życie. – Włożyła w te słowa całą siłę, na jaką mogła się w tej sytuacji zdobyć.

– To dobrze. – Przysunął się do niej i zawisł z twarzą przy jej twarzy. Czują na policzkach jego oddech, od którego serce ścisnęło się i zamarło. Dostrzegając zarys jego szczęki i to, jak żarzyły się jego oczy. – Wiedz, że cię obserwuję. Jeden nieostrożny ruch i po tobie – wysyczał, a potem wstał i zniknął jak cień za drzwiami, które nawet nie zaskrzypiały.

II

– Gdzieś łąził w nocy? – powitał go Michał, gdy tylko otworzył oczy. – Chyba nie poleciałeś do tej paniusi, żeby szukać wrażeń – zachichotał jak chłopiec, który coś spsocił.

Antoni przeciągnął się na swoim posłaniu. Nie spał od dobrych dwóch godzin. Wpatrywał się w wyłaniający się z mroku belkowany sufit i rozmyślał. Gdyby o tym wspomniał Śniegockiemu, ten z pewnością śmiałyby się z niego w głos i zachodził w głowę, co mu się stało, że zamiast smacznie spać, zastanawiał się, kim jest ta kobieta i dlaczego trafiła do Podolan.

– Tobie w głowie tylko jedno – parsknął Antoni.

– Mnie? Ja jestem przy tobie jak dziewica orleańska. Swoją drogą muszą tu być chyba jakoweś panienki, a w ostateczności ta twoja ciotka... – Śniegocki urwał, kiedy poszybował w jego stronę but Antoniego, ale nadal chichotał spod pierzyny.

Matka umieściła ich w jednym pokoju, gdzie oczywiście swojemu ukochanemu synkowi kazała posłać łóżko, zaś jego kompana ulokowała na otomanie. Pozostałych żołnierzy naprędce rozłożono w oficynie, czyli chylącym się ku ziemi starym dworze, gdzie sypiała służba.

– Ciotce przydałoby się trochę rozrywki, ale obawiam się, że nie przedrzesz się przez te jej modlitwy, różańce i inne roraty, że o dziesięciu halkach nie wspomnę. – Młody Podolski przyłączył się do żartów kolegi, jednak przed oczami wciąż miał Francuzkę i jej bladą, delikatną twarz oraz spojrzenie, z którego wycierał paniczny strach.

Wyskoczył z posłania i zaczął naciągać na nogi spodnie, w które wpuścił niedbale luźną koszulę. Słońce stało wysoko, a on poczuł wilczy głód. Już nie byli na polu walki, gdzie każdy kęs chleba był na wagę złota. W domu nigdy nikomu niczego nie brakowało. Matka dbała, by spiżarnie i piwnice przed zimą były szczelnie wypełnione zapasami. Miał zamiar z tego korzystać, póki mógł, bo nigdy nie wiadomo, kiedy Napoleon zdecyduje się ruszyć dalej na wschód. Długa zima przed nimi i być może zasłużony odpoczynek, ale wszyscy wiedzieli, że Pułtusk i to, czego tam dokonali, niczego nie rozstrzygnęło. Rosjanie wycofali się. Straty były olbrzymie po obydwu stronach, a mroźna i kapryśna zima nie odpuszczała. Pozostało przyciąć się, zebrać siły i przeczekać do wiosny.

– Gdzie się tak spieszysz? – Śniegocki przeciągnął się na swoim posłaniu.

– Nie głodnyś? – Antoni szarpnął za pościel i odkrył kolegę.

– I owszem, ale nie mogę się nacieszyć ciepłym łóżkiem. Jeszcze żeby tu jaka chciała pogrzać mi pierzyny, to nie ruszyłbym się do jutra. – Ostatnie słowa powiedział tak głośno, że Antoni był pewien, że słyszał to cały dwór.

– Tyś się w lustrze widział?

– Czego chcesz? – Michał potarł dłonią zarośnięty policzek i wygrzebał się spośród poduszek. – Kobiетки lubią bohaterów wojny i piękni wcale być nie muszą. Byle mężni. My dwaj męstwem wykazaliśmy się nie raz, a i broń w gotowości zawsze sprawną mamy. – Stanął przed Podolskim i wypiął w jego kierunku biodra na szczęście osłonięte koszulą, rżąc przy tym z własnego dowcipu.

Antoni tylko pokręcił głową z pobłażliwą miną. Śniegocki zazwyczaj był tym przyzwoitszym, tym miłym i grzecznym, ale od czasu bitwy zachowywał się zupełnie jak nie on. Jedno było pewne – obydwaj nie wyglądali ciekawie. Wymizerowani, bladzi, z niezdrowymi sińcami pod oczami oraz z zarostem i dawno niestrzyżonymi włosami przypominali włóczęgów. Matka w pierwszej kolejności nakazała ich wykapać, lecz poza tym, że przestali cuchnąć, niewiele to zmieniło.

– Odziej się. Pójdziemy do kuchni. Marta pewnie czeka ze śniadaniem – zarządził Antoni i wkrótce zaciągnął rozgadanego Śniegockiego do pomieszczeń z tyłu dworu, gdzie mieściła się obszerna kuchnia z kamienną posadzką, ogromnym piecem i paleniskiem, gdzie nieustannie coś bulgotało w garach, oraz ze stołem, na którym Marta wiecznie lepiła, siekała, oprawiała i doprawiała.

– Toż to nasz panicz Antoni! – wykrzyknęła pulchna kucharka na ich widok i zaraz zaczęła nad nimi załamywać ręce. – Biedaki wy, wymizerowane. Odkarmić trzeba, a mówiła ja tym obibokom, żeby

nosili śniadanie, to nie, bo panicze śpią, bo nie wolno, aż głód pewnikiem przygnał do kuchni. – Nie dała im dojść do słowa.

Zaraz ich obu usadziła przy stole i pokrzykując na Hanię i Henia, pomagających jej w codziennych obowiązkach, kiedy nie mieli innych zajęć, zaczęła wyjmować z czeluści kredensów i naczyń zimne mięsa, sery, chleb zawinięty w lnianą ścierkę. Wszystko pachnące, apetyczne i pobudzające jeszcze głód młodych mężczyzn, którzy rzucili się zaraz na jedzenie, nie dbając o jakiegokolwiek konwenanse. Marta ujęła się pod boki i ocierając twarz czerwoną od gorąca buchającego z pieca i załzawione oczy fartuchem, powtarzała:

– Biedaki wy moje. A jedzta na zdrowie.

Reszta służby rozpierzchła się po kątach, tylko chudy wyrostek Henio z nabożną czcią wpatrywał się w żołnierzy, mnąc bezwiednie rant zbyt dużego kubraka przepasanego sznurkiem.

Pojawienie się matki zwiastował brzęk kluczy u jej pasa. Marta wycofała się w stronę kuchni, robiąc miejsce swojej pani.

– Witaj, synu. Widzę, że was Marta już nakarmiła. – Twarz Podolskiej rozjaśniał szeroki uśmiech, kiedy patrzyła na ukochane dziecko. Antoni zdawał sobie sprawę, że matka darzyła go specjalnymi względami, ale niekoniecznie pragnął, by to demonstrowała przy Śniegockim, dlatego otarł usta wierzchem dłoni i odsunął się od stołu z zamiarem usunięcia się z kuchni, zanim rodzicielka zacznie się rozplýwać nad jego dołą, czego przedsmak miał wczoraj, gdy tylko go ujrzała na podwórzu. – Odpoczywajcie i jedzcie, żeby nabrać sił. – Uśmiechała się ciepło, by po chwili z surowym obliczem zwrócić się do kucharki:

– A Marta niech wyśle tam którą, żeby odebrała naczynia od pana, bo pewnie skończył już śniadanie. Tak samo jak i reszta domowników.

Kucharka wyszła z kuchni i zaraz rozległ się jej skrzeczący głos, nawołujący Hanię i Manię.

Śniegocki zerwał się ze swojego miejsca i strzelił obcasami.

– Nie umiem wyrazić wdzięczności za tak szczerą gościnę. Po trudach bitewnych nie mogliśmy doznać lepszej opieki, a ja nie miałbym tak dobrze chyba u rodzonej matki, jak pod skrzydłami pani. – Skłonił się z galanterią, co na matce wywarło piorunujące wrażenie.

Antoni przez moment pomyślał, że chyba dostrzegł na jej twarzy rumieniec zawstydzenia, ale odegnał od siebie tę myśl. Owszem, Śniegocki mógł się podobać kobietom i robił z tego użytek. Wysoki, przystojny, z bystrym wejrzeniem zielonych oczu, w których czaiła się doskonale udawana melancholia, zawsze grzeczny i układny, ściągał na siebie uwagę kobiet z łatwością, czym nadrabiał braki w wykształceniu i zamożności. Gdyby nie Antoni, kto wie, czy nie skończyłby marnie i nie zginął w jakim pojedynku.

– Każę osiodłać konie, matko. Chcę pokazać Michałowi okolicę. – Antoni ucałował dłonie rodzicielki z szacunkiem. Na matkę działały takie drobne gesty, z czego doskonale zdawał sobie sprawę.

– Jak sobie życzysz, synku, ale mróz trzyma i przemarzniecie. – Położyła dłoń na jego zarosniętym policzku i Antoni z trudem powstrzymał się, by nie uchylić się przed tym czułym gestem. Śniegocki przewrócił oczami i zrobił za plecami matki drwiącą minę, aż Antoni poprzysiągł sobie, że unurza go za to w śniegu.

– Niech Ignacy nas tylko jeszcze doprowadzi do porządku, bośmy okrutnie zaniedbani... – Antoni urwał, widząc minę kolegi, który wlepił wzrok w punkt za jego plecami i zamarł, jakby zobaczył ducha. Podolski wolno obejrzał się za siebie. W progu kuchni wystraszona i pobladła stała Krysia. W trzech krokach znalazł się przy niej. Porwał ją w ramiona i okręcił się z nią wokół własnej osi.

– Gdzież to wczoraj się podziewała moja siostrzyczka? Nie przywitałaś brata? – Odstawił zaczerwienioną z zażenowania dziewczynę, ignorując nerwowe mlaśnięcie matki, która miała tendencję do zapominania, że ma dwoje dzieci. – Aleś ty wyrosła! – Nie mógł się napatrzeć na tę czarnowłosą dziewczynę, uczesaną w skromny warkocz zapleciony wokół głowy. Nie była dzieckiem. Pod dopasowanym stanikiem sukienki rysowały się małe piersi, a rysy twarzy wyostrzyły się, podkreślając karminowe usteczka w kształcie serca i wysokie kości policzkowe.

Antoni kochał swoją małą siostrzyczkę i mógłby za nią oddać życie. Nie rozumiał zupełnie, skąd mu się te ciepłe uczucia do siostry brały, tym bardziej że gdy była kilkuletnim dzieciakiem, dokuczał jej

i robił psikusy. Dopiero kiedy dorósł i zrozumiał, że Krysia to skromne i wstydlive dziewczę, zapragnął ją chronić przed takimi jak on sam chłystkami, którzy mogliby jej zrobić krzywdę. W tej chwili stał oko w oko z jednym z nich.

Śniegocki patrzył na dziewczynę jak wygłodniały wilk na swoją bezbronną ofiarę, a ona rumieniła się i skromnie spoglądała na swoje buty. Antoni miał ochotę podejść i wymierzyć jeden celny cios, którym Michałowi, razem z zębami, wybiłby z głowy wszystkie te nieprzyzwoite myśli, które zapewne kłębiły się teraz w jego umyśle.

– Byłam, ale mnie nie zauważyłeś. Tyle się działo i jeszcze zagięła... – zawahała się ledwie zauważalnie, lecz Antoni natychmiast czujnie się jej przyjrzał. Wiedziała coś i być może знаła tajemnice ich gościa – ...ta kobieta – dokończyła Krysia.

– Wiesz, że ciebie tu wypatrywałem najmocniej, siostrzyczko... – nie dokończył, bo obok pojawił się Śniegocki. Uśmiechnięty, czarujący i jeszcze bardziej denerwujący.

– Nie przedstawiś mnie swojej siostrze, przyjacielu?

Antoni dokonał prezentacji niechętnie, powarkując przy tym z niezadowolenia. Nie obyło się też bez interwencji matki, która ofuknęła biedną Krysę.

– Wpadasz tu jak dziewczyna bez wychowania, zamiast się przywitać...

– Matko, odprowadzę Krysę do jej pokoju. – Syn przerwał dość niegrzecznie rodzicielce, zanim zaczęła na dobre obsztorcowywać Bogu ducha winną dziewczynę, jakby rzeczywiście popełniła jakąś okropną gafę, po czym ujął Krysę pod ramię i skinął na Śniegockiego. Kiedy Krysia zniknęła za drzwiami swojego pokoju i został z przyjacielem sam, podszedł do niego blisko. Spojrzał mu głęboko w oczy.

– Powiem to tylko raz, a ty albo to przyjmiesz do wiadomości, albo koniec naszej przyjaźni. Krysia to niewinne dziecko i łapy od niej wara. A jeśli się dowiem, że ją tknąłeś, nie ręczę za siebie. – Ostatnie słowa wycedził przez zęby, zaciskając pięści i świdrując Michała wzrokiem.

Śniegocki wyglądał przez moment, jakby się przestraszył, zaraz jednak się zaśmiał.

– Skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym...

– Nie udawaj. Widziałem, jak na nią patrzysz, jak pożerasz ją wzrokiem, ale ona nie dla takich jak ty.

– To znaczy jakich? – Teraz i Śniegocki zacisnął dłonie i wysoko uniósł podbródek.

– Takich, co się nią zabawią, a potem porzucą jeszcze nie daj Bóg z brzuchem.

– Bodaj cię! Jestem urodzony pod szlacheckim znakiem. Może i przez nieroztropne działanie moich przodków pozbawionym majątku, ale nie szlachetnego pochodzenia. I jeśli zechce mnie twoja siostra, tobie nic do tego.

– Zechce, nie zechce, łapy od niej precz.

– Bo co?

– Bo ubiję – wyszeptał Podolski.

Mierzyli się wzrokiem, aż Śniegocki odsunął się i nieszczercze zaśmiał.

– Ani mi w głowie zadzierać z tobą, skoroś taki rycerz. A panny Krysi nie ruszę. Nie honor mi uwodzić dziecko, kiedy tyle tu się kręci kobietek.

Mimo wesołego tonu, w jakim Michał wypowiedział te słowa, Antoni wpatrywał się w niego uważnie jeszcze przez kilka minut. Za dobrze znał przyjaciela, by przyjąć to tłumaczenie, zwłaszcza że dostrzegł w jego oczach ten niepokojący błysk mogący zwiastować tylko kłopoty.

III

Émilie rzadko opuszczała bezpieczne schronienie, jakim stał się dla niej przydzielony pokój. Zdawała sobie sprawę, że zajęła prawdopodobnie pomieszczenie, w którym sypiał ten mężczyzna usiłujący ją przestraszyć, a który dopiero co był wrócił z wojny z Rosją. Od czasu, kiedy poczuła się już na tyle dobrze, by się ubrać, jadła obiady razem ze wszystkimi mieszkańcami, których było tu tylu, że zastanawiała się, gdzie ten dom ich pomieścił. Już wiedziała, że wysoka, chuda kobieta to matka i pani domu, a spokojny, poważny mężczyzna to jej mąż, a więc Podolski. Była też zaszuszone, ubrana na czarno i wiecznie niezadowolona matrona, bardzo podobna do starego Podolskiego, czyli prawdopodobnie jego matka, co potwierdziła Christine, gdy szukając ludzi, Émilie trafiła do bawialni,

w której czas spędzały kobiety pogrążone w rozmowach i robótkach ręcznych lub modlitwach.

Podolska zaprosiła ją, by przyłączyła się do nich i usadziła na tapicerowanej sofce tuż obok Christine, która nachyliła się do niej i szeptała cicho.

– Babka Barbara lubi siadywać przy kominku, bo twierdzi, że czuje już chłód ziemi.

Émilie zerknęła na starszą panią sączącą herbatę z filiżanki i mimowolnie się uśmiechnęła.

– Ta obok to ciotka Helena. Wdowa, siostra matki. Straciła męża w powstaniu, a raczej wymieniła go na krucyfiks. Jasnowłosa, trochę zagubiona dziewczyna to Leokadia, moja pani nauczycielka i dalsza kuzynka. Jej narzeczony zaginął bez wieści, co przypłaciła rozstrojem nerwowym, dlatego też ma czasem sny, w których widzi przyszłe zdarzenia. Napoleona podobno też widziała. Dzięki niej mówię po francusku.

– Cóż ty tam szepczesz tej biednej dziewczynie, Krysiu? – zagadnęła kobieta, którą Christine nazywała ciotką Heleną, co skrupulatnie dziewczyna przetłumaczyła. Ciotka wbijała rytmicznie igłę w materiał, nie patrząc nawet na rozmówczynię. Ta zarumieniła się i wyraźnie się zdenerwowała, jednak odpowiedziała cicho:

– Opowiadam jej o naszej rodzinie.

– I po cóż? Skoro nie mówi, to i nie rozumie pewnie – parsknęła babka.

– Rozumie świetnie po francusku – rzuciła Christine i zaraz przesłoniła sobie usta dłonią.

– Co? Jak to? Skąd to wiesz? – Oczy wszystkich kobiet skierowały się na nie dwie, a pani domu zerwała się ze swojego miejsca.

Émilie nie rozumiała, co się stało, ale Christine nachyliła się do niej i przekazała treść rozmowy w kilku słowach, przepraszając za wyjawienie sekretu. Francuzka skinęła na znak, że rozumie i ścisnęła dłoń dziewczyny, by dodać jej otuchy.

– Czy mogę im powiedzieć, jak się nazywasz? – zapytała Christine.

Potaknęła. Wiedziała, że teraz zasypią ją gradem pytań, że nie uniknie tłumaczeń. Na szczęście w dalszych pomieszczeniach dało się słyszeć tupanie ciężkich butów i męskie głosy, więc uwaga kobiet została skierowana gdzie indziej, a ona mogła odetchnąć. Do bawialni weszło dwóch mężczyzn. Musieli wrócić z zewnątrz, bo choć zdjęli wierzchnie okrycia, to twarze mieli zaczerwienione od mrozu. Wyraźnie czymś rozbawieni, rozmawiali podniesionymi głosami. Obydwaj byli młodzi, pełni życia i piękni. Wyższy z nich klęknął przed babką i ucałował jej dłonie, co przyjęła z szerokim uśmiechem. Drugi wyraźnie nie mógł oderwać wzroku od zaczerwienionej i patrzącej w ziemię Christine. Dopiero kiedy pierwszy z nich przedstawił swego towarzysza i utkwiał wzrok w Émilie, poznała go i serce jej uderzyło fałszywym tonem. Wytrzymała jego spojrzenie. Już nie przypominał obdartusa, nie był też tym czającym się w mroku zagrożeniem. Gładko ogolony, z wyraźnie zarysowaną szczęką i czarnymi jak noc oczyma budził w niej coś, czego obawiała się o wiele bardziej niż tego, przed czym uciekała. Dostrzegła w jego spojrzeniu zaskoczenie. Zapewne nie spodziewał się jej tutaj.

– Proszę, otóż i nasz gość. – Płynnie przeszedł na francuski. – Jak pani zdrowie? Czy noc minęła w spokoju? – Choć pytania z pozoru błahe, to czaiła się w nich drwina. Musiał się domyślać, że nie zmrużyła oka po jego wizycie.

– Dziękuję, spałam dobrze. Tylko nad ranem miałam zły sen. – Pierwszy raz od wielu dni wypowiedziała tak długie zdanie. Nie mogła się powstrzymać i mimo pulsującego pod skórą niepokoju, odcięła mu się.

Założył ręce do tyłu i zrobił krok w jej stronę.

– Współczuję, jednak złe sny miewają ludzie mający na sumieniu jakoweś przewiny.

– Podobnie do tych, którzy nocami spać nie mogą. – Nie mogła się powstrzymać. Niech wie, że się go nie boi. Okazać strach to jak przegrać, poddać się, a ona nie mogła sobie na to pozwolić.

– Synku, nie wszyscy tu władają tak dobrze francuskim, by rozumieć, o czym mówicie. – Podolska rzeczywiście mówiła koszmarnie i Émilie bardziej domyślała się sensu jej wypowiedzi, niż go rozumiała. Odetchnęła z ulgą i powiodła wzrokiem po pozostałych osobach obecnych w bawialni, kiedy mężczyzna odwrócił się do matki i powiedział coś, skłaniając głowę. Domyśliła się, że przeproszał.

Dopiero teraz Émilie dostrzegła, jak na niego patrzy nauczycielka, której imienia nie umiała powtórzyć, zaś Christine nie znała jego francuskiego odpowiednika. W oczach jasnowłosej dostrzegła

zachwyty i uwielbienie. On też to zobaczył, bo odwzajemnił się tak olśniewającym uśmiechem, że kobieta zarumieniała się i skromnie spuściła wzrok. Wyglądał jak kot, który upolował mysz, jak drapieżca, który chwilę poigra z ofiarą, żeby ją z tym większym apetytem pożreć. Emilie zrozumiała, że to człowiek niebezpieczny i postanowiła trzymać się od niego z dala, co mogło nie być łatwe.

I rzeczywiście jeszcze tego samego dnia natknęła się na Antoniego Podolskiego, choć skłonna była raczej podejrzewać, że jej szukał i celowo znalazł się w pustej o tej porze bawialni. Udała się tam po obiedzie, żeby poszukać jakiegokolwiek książki, albumu lub robótki, które pozwoliłyby zająć czymś ręce, zanim zapadnie zmrok.

– Czegoż tu szukasz?

– Czyżbyś mnie śledził? – Postanowiła zachować zimną krew, mimo że znowu czuła przyspieszone bicie serca.

Émilie nie chciała, by dostrzegł cień strachu, więc nie cofnęła się, gdy stanęli twarzą w twarz, a dzieliła ich zaledwie odległość, jaką pokonuje oddech, zanim rozplynie się w powietrzu.

– Raczej cię pilnuję – wyszeptał.

– Nie musisz. Poradzę sobie – parsknęła, chociaż doskonale wiedziała, co miał na myśli.

– Nie jestem pewien. Już raz uratowałem ci życie. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Nadal nie mam pojęcia, kim jesteś i skąd uciekałeś, ale dowiem się. Przywędrowałaś z armią, ale na markietankę ani wiwandierkę nie wyglądasz. – Wyciągnął dłoń i dotknął pukla włosów spływającego na jej prawe ramię. Uchyliła się bezwiednie, kiedy męska dłoń musnęła jej policzek, i skuliła się w sobie. Nie potrafiła opanować strachu, który wywoływała w niej bliskość. Dostrzegł to, bo zatrzymał dłoń w połowie drogi, a w jego wzroku mignęło zrozumienie.

– Ty się boisz – stwierdził.

– Mylisz się. – Włożyła w te słowa całą swoją odwagę, choć krew szaleńczo pędziła z serca do głowy.

Jednym szybkim ruchem wyciągnął do niej rękę. Nie zapanowała przed wyćwiczonym odruchem. Zamknęła oczy, oczekując ciosu, ale ten nie nastąpił. Otworzyła oczy i napotkała badawcze spojrzenie czarnych źrenic.

– Bito cię.

– To nie ma znaczenia...

– Dlatego uciekasz. – Zmrużył oczy jak kot. – Czyżbyś była łupem wojennym?

– Nie jestem niczyją własnością – wyszczała. Cały spokój i opanowanie wyparowały, a ona miała ochotę wrzeszczeć i tłuc. Ten mężczyzna wchodził w jej prywatność, w jej życie, ze swoimi wojskowymi buciorami i z uśmiechem na ustach, a w dodatku świetnie się przy tym bawił, nie wiedząc, co przesła. – Znalazłam się tu, bo nie miałam innego wyjścia. Nie musisz wiedzieć o mnie wszystkiego, a ja nie mam zamiaru ci nic tłumaczyć. Nie obawiaj się, niczego stąd nie zabiorę. Nie zabawię tu długo. Niebawem wyruszam w dalszą podróż. A teraz zejź mi z drogi – fuknęła i chciała go ominąć, ale chwycił ją za ramiona i ścisnął.

– Wyjedziesz wtedy, gdy ja ci na to pozwolę.

Zamarła, gotowa na najgorsze.

– Puść mnie – jęknęła. Tak długo, jak zachowywał dystans, nie czuła większego zagrożenia, ale jego dotyk, siła palców zaciśniętych na ramionach i ból wywołały niepotrzebne łyzy, które spływały po policzkach. Pragnęła zapaść się pod ziemię, zniknąć, zatrzasnąć się w sobie, byle nie czuć się znowu jak więzień, jak zaszczute zwierzę.

Uścisk zelżał, ale Podolski wciąż ją przytrzymywał.

– Puszczę. Powiedz tylko, przed kim uciekasz. – Miał w oczach upór, którego nie mogła przełamać. Zrozumiała, że albo powie mu prawdę, albo on ją z niej wycisnie.

– Przed człowiekiem, który wyrwał mnie z rodzinnego domu. Uprowadził i wywiózł ze sobą aż tu, byle dalej, żebym nie mogła wrócić. Uczynił ze mnie niewolnicę – urwała, bo zdała sobie sprawę z tego, ile prawdy było w tym, co miało być łzawą opowieścią dla odwrócenia uwagi Antoniego.

Czarne oczy szukały w jej twarzy potwierdzenia słów i najwidoczniej je znalazły, bo Antoni uwolnił ją, a ona cofnęła się na bezpieczną odległość. Za oknem zapadał zmierzch, więc w pewnym

sensie Émilie skryła się w szarości wieczoru.

– Jesteś dobrze urodzona. To widać. Nie masz rodziny, która cię szuka?

– Moja jedyna rodzina to stara ciotka. Nawet nie wiem, czy żyje. Chcę wrócić do domu. – Rodzące się na poczekaniu kłamstwa gładko spływały z jej ust, ale mimo wszystko cieszyła się, że w szarości kończącego się dnia nie dostrzega już dobrze jego twarzy.

– Do Francji – stwierdził.

– Tak, do Francji.

– Jak masz zamiar tego dokonać?

– Wiem, że jesteśmy niedaleko Warszawy. Niebawem chcę się tam udać, a stamtąd ruszę na zachód.

– Do tego potrzeba pieniędzy.

– Mam je.

– I chcesz sama przejechać Europę? Przecież padniesz ofiarą pierwszej lepszej bandy obdartusów. – Zaplótł ramiona na piersiach, a w jego głosie wyraźnie pobrzmiwało powątpiewanie. – Nie wiesz, do czego zdolni są maruderzy ciągnący za wojskiem albo niedobitki armii pruskiej.

– Wiem. – W tym jednym słowie zamknęła wszystko, czego doświadczyła. W gęstniejącym z minuty na minutę mroku czuła się coraz pewniej. Już zapomniała, jak to jest żyć w promieniach słońca, jak to jest cieszyć się życiem. Ciemność oznaczała wytnięcie, spokój i ucieczkę. Ale w ciemności czaiły się też jej koszmary. Nie chciała, by stojący przed nią mężczyzna stał się jednym z nich. Tyle że on podjął decyzję sam.

– Pomogę ci się dostać do Warszawy, a potem do Francji.

IV

Wyjechali o świcie, kiedy biała poświata pozwalała rozróżniać kontury nagich drzew, przyczajonych w szarości poranka chałup i ludzi dosiadających koni. Émilie usadzono w saniach wysłanych futrem. Z powodzeniem mogła jechać konno, ale postanowiła nie ujawniać się ze swoimi umiejętnościami i sprawnością. Zresztą nadwątlone przez ostatnie wydarzenia siły też lepiej było oszczędzać, bo nie wiedziała, co przyniesie los.

Antoni, szczelnie okryty zimowym płaszczem podbitym futrem, jechał konno, lecz trzymał się blisko sań, rzucając jej co chwila badawcze spojrzenia spod futrzanej czapki. Na szczęście ten jego przyjaciel pozostał we dworze, co napawało ją nadzieją, bo łatwiej jest uśpić czujność i pozbyć się jednego strażnika niż dwóch. Rozkoszowała się przyjemnością jazdy w ten pogodny, rodzący się dopiero poranek. Słońce wyłaczało pierwszymi promieniami rozległe pola, na które widok rozpościerał się jak okiem sięgnąć aż po granicę z niebem. Nie musieli trzymać się dróg. Mróz skuł lodem ziemię, a śnieg wymościł świat miękkim dywanem, po którym sanie sunęły z cichym brzękiem janczarów i przy wtórce rytmicznego sapania koni. Zmierzali na południe i Émilie z zachwytem obserwowała majestatyczny pochód zimowego słońca sunącego nisko nad horyzontem, jakby otwierało przed nimi niewidzialną bramę. Oślaniała twarz i oczy przed mroźnym, szczypiącym policzki powietrzem i z rozkoszą wdychała rześkie powietrze.

Nie była pewna, jak długo jechali, ale sądząc po pozycji słońca, musiało dochodzić południe. Mimo ekscytacji i czujności, pojawił się rodzaj odrętwienia wywołanego bezczynnością, bezruchem i zimnem. Być może Podolski to zauważył, bo kazał zatrzymać się w mijanej wsi na popas. Zeskoczył z konia i podszedł do sań.

– Odpocznijemy tu. Trzeba też coś zjeść.

Pokiwała jedynie głową, czując, jak opadają jej powieki. Nie miała ochoty na jedzenie, zwłaszcza teraz, kiedy było jej tak błogo. Nie wiedzieć czemu, Podolski wskoczył do sań. Dotknął jej zmarzniętej, zaczerwienionej twarzy.

– Nie zasypiaj. Musisz wstać i się rozruszać.

Znowu tylko skinęła głową, ale nawet nie drgnęła. Jak dobrze było zobojętnieć na wszystko, uciec...

– Do stu diabłów, nie zasypiaj! – Głos dobiegał zza ściany. Otworzyła oczy, gdy Antoni wyszarpnął ją spod futer i krzyknął coś do towarzyszących im ludzi. Jeden z nich podbiegł do sań i podał

Podolskiemu flaszkę, którą ten przytknął jej do ust. – Pij. Pij, mówię!

Pociągnęła łyk i nagle jakby w jej płuca ktoś wlał ogień. Gorąco paliło w przetyku i niżej. Mrowiło w całym ciele. Rozkasała się.

– Dobrze. No, nareszcie. Musisz mówić, kiedy jest ci zimno i koniecznie się rozgrzewać. Chodź.

– Wyciągnął ją z sań i zaczął rozcierać dłonie, które zeszywniały, mimo że trzymała je w rękawicach podarowanych przez Krysię. – Zjemy coś i dojdiesz do siebie – mamrotał cicho, trąc jej ramiona otulone podbitą futrem kurtą. Wreszcie mocno ją objął i zaprowadził do karczmy, przy której stanęli. Budynek różnił się od okolicznych chat tylko podsienią, z której wchodziło się do izby karczemnej z lewej oraz do stanu dla koni i wozów z prawej.

Wnętrze, brudne i ciemne, słabo oświetlone przez małe okienka, które tak były zamazane, że prawie nie wpuszczały tu słońca, nie wyglądało gościnnie. Mimo wszystko było tu dość ciepło od buzującego w kominku ognia. Émilie, Antoni i dwóch jego kompanów zasiedli na ławach wokół lepiącego się stołu. Zaraz też podano im do picia piwo w olbrzymich kuflach, ale ona odmówiła próbowania czegokolwiek. Na szczęście Antoni kazał przynieść ukryte w saniach jedzenie, w które zaopatrzyła ich zapłakana Marta, pod czujnym okiem pani domu. Wszystko było zimne, jednak miała pewność, że nie umrze z powodu zatrucia nieświeżą żywnością. Z rozkoszą pakowała sobie do ust kawałki mięsa i chleba, starając się to robić w miarę elegancko. Dopiero po chwili zauważyła, że czujne oczy Antoniego śledzą każdy jej ruch. Ręka z kawałkiem sera zamarła w pół drogi.

– Powinnaś się napić – powiedział, nie odrywając od niej wzroku. – Nie jest to najgorsze piwo, jakie piłem. – Wyciągnął kufel w jej stronę. – Spróbuj.

Niepewnie chwyciła naczynie, starając się nie dotknąć dłoni Podolskiego. Zaryzykowała i pociągnęła mały łyk, bo zaschło jej w ustach. Rzeczywiście, płyn miał mocny, słodko-gorzki posmak i musował na języku, ale nie był najgorszy. Upiła jeszcze trochę i oddała naczynie. Palce mężczyzny zamknęły się na jej dłoniach. Opuściła wzrok i wyszarpnęła je, aż płyn prysnął na stół. Na szczęście drzwi izby karczemnej otworzyły się i wszedł do niej z głośnym stukaniem obcasów jeden z jadących z nimi mężczyzn, co odwróciło uwagę Antoniego. Za żołnierzem do pomieszczenia wdarł się świst wiatru, aż ogień w kominie zatańczył nerwowo. Przybysz powiedział coś, pokazując na okna, na które wszyscy spojrzeli. Antoni wstał i wyjrzał, bo z ich miejsca niewiele można było dostrzec poza tym, że nagle zrobiło się ciemniej, jakby ktoś przesłonił słońce.

– Wygląda na to, że musimy tu zostać do jutra – powiedział Antoni i wrócił ze spokojem do jedzenia.

– Nie!

Oczy wszystkich skierowały się na nią.

– Nie możemy – powtórzyła już spokojniej. – Musimy ruszać. Nie mamy czasu. – Chwyciła za rękaw Antoniego, sięgającego po porcję mięsa.

– Przykro mi, ale nic z tego. Od wschodu idzie na nas śnieżycy. Już zaczyna zawiewać. Jeśli złapie nas w drodze, możemy tego nie przeżyć. Nie mam zamiaru ryzykować życia. Aż tak nam się nie spieszy – mówił spokojnie, z namysłem. – Zostaniemy tu na noc. Mamy dach nad głową i wczesnym rankiem wyruszymy w drogę. Do Warszawy dotrzemy jutro przed południem.

– Możemy przecież uciec tej śnieżycy – zaproponowała z szaleństwem w oczach. Dla niej każdy dzień, każda godzina zwłoki oznaczały kłopoty. Zmitrężyła dość czasu, dochodząc do siebie w Podolanach. Do celu pozostawało tak niewiele, a mimo to los znowu odsuwał jego realizację.

– Oszalałaś, kobieto – parsknął Antoni. – Burza nadciąga od wschodu, więc musielibyśmy zmienić kierunek jazdy.

Na potwierdzenie jego słów w oddali rozległ się pomruk, aż wszyscy stłoczeni w izbie ludzie umilkli, a większość z nich zrobiła znak krzyża na piersiach. Émilie miała wrażenie, że to sam Bóg zamruczał z niezadowolenia. Przełknęła łyż porażki i odwróciła wzrok. Nie miała ochoty nawet na jedzenie. Mimo to zmusiła się, by przeżuć jeszcze kilka kęsów, zanim mężczyźni poważnie uszczuplili zapasy. Wstała i podeszła do brudnego okna.

Rzeczywiście w ciągu kilku zaledwie minut niebo zasnuły ołowiane bałwany, za którymi skryło się chylące się ku zachodowi słońce. Wiatr porywał nie tylko pierwsze płaty śniegu wirujące szaleńczo

w powietrzu, ale też unosił sypki, skrzący pył z traktu, którym przyjechali.

– Karczmarz ma izbę na piętrze.

Émilie drgnęła na dźwięk głosu tuż za jej plecami. Po posiłku w sali panował przyjemny rozgardiasz, a gwar cichych rozmów falował w rytm żartów i śmiechu. Nie słyszała, że Podolski stanął tuż obok niej. Bała się poruszyć, żeby go nie dotknąć, a mimo to czuła bijące od niego ciepło i siłę, a może groźbę. Ten człowiek z niewytłumaczalnego powodu budził w niej strach, choć pomagał jej w osiągnięciu celu.

– Sama widzisz, że musimy przeczekać. Nie wygląda to najlepiej.

Nie odpowiedziała mu. Gdyby udało jej się dostać do koni, mogłaby uciec, zgubić Podolskiego, który prędzej czy później zechce z niej wyciągnąć prawdę. Sanie ich spowalniały, a samotny jeździec bez trudu dotarłby do miasta w kilka godzin. Żeby zrealizować swój plan, musiała dostać się do wierzchowców. Ten, na którym jechał Podolski, wyglądał na wytrzymałego i szybkiego. Postanowiła zaryzykować. Wystarczyło mu powiedzieć, że musi na stronę.

Wyszła na podsien i zaraz wiatr szamoczący gałęziami nagiego drzewa rosnącego obok karczmy chwycił ją w lodowate szpony. Otuliła się płaszczem, zerkając, czy nikt za nią nie wychodzi albo nie kręci się w obejściu, ale z powodu pogody wszyscy ukryli się w ciepłym wnętrzu. Spod zadaszenia skręciła niezauważona przez nikogo do stanu. Konie zarżały cicho na jej widok. Ten, na którym jechał Podolski, popatrzył na nią wilgotnymi oczyma, jakby wiedział, co ich czeka. Podeszła do niego, ciesząc się, że go nie rozsiodłano. Wystarczyło przerwucić odplątane wodze przez koński łeb i cicho cmoknąć, a koń ruszył za nią wyraźnie niechętnie, potrząsając ogłowiem. Wyprowadziła go drugą stroną. Wiatr stłumił jego nerwowe, ciche rżenie. Dosiadła go dopiero, kiedy zasłoniły ich chaty i rzadki las. Wiatr uderzał z boku i odbierał oddech, wciskając w każdą szczelinę ubrania, oczy i nos lodowate płyty śniegu. Położyła się na grzbiecie zwierzęcia i popędziła wierzchowca, który z większym trudem i wolniej, niż zakładała, brnął przez zasy, dlatego starała się je omijać. Niewiele widziała, zwłaszcza że zapadał zmrok.

– Damy radę, szybciej! – przekrzykiwała jęk wiatru, uderzając boki konia piętami, ale szybko umilkła. Skupiła się na tym, co przed nią. Wiedzioną jakimś niedobrym przeczuciem obejrzała się i dostrzegła jeźdźca. Mogła zgadywać, kim był. Ponownie uderzyła piętami wierzchowca i szarpnęła wodzami. – Dalej! Szybciej! – krzyczała, jakby koń ją rozumiał, ale o dziwo, przyspieszył i wydostali się na zmarznięte pola, które wiatr wymiatał pracowicie ze śniegu.

Nie odwracała się, jednak czuła, że on się zbliża, że nie odpuści, nie cofnie się przed niczym, póki jej nie dopadnie, a koń pod nią znowu zaczął zwalniać, aż przez gwizd wiatru usłyszała, że Podolski coś krzyczy. Zwierzę szarpnęło łbem i jeszcze bardziej zwolniło. Domyśliła się, że rzucał komendy, na które wierzchowiec reagował, choć wciąż nie mógł się zdecydować, czy usłuchać ponaglających go ściśnięć udami, czy może wołania swego pana.

– Jedź, błagam – jęknęła w desperacji, a wtedy koń gwałtownie wyhamował, niemal zrzucając ją z grzbietu. Jeszcze próbowała go popędzić, ale zupełnie przestał reagować. Potrząsał tylko zniecierpliwiony łbem.

Tymczasem Podolski był coraz bliżej. Zeskoczyła z konia i zaczęła biec, co chwila potykając się i upadając, bo przez łyzy niewiele widziała. Na szczęście pod stopami miała puch śniegowy, bo w przeciwnym razie cała byłaby poobijana.

– Stój! Szalona kobieto! – wrzeszczał za jej plecami mężczyzna. Jego słowa porywał wiatr, ale ona go nie słyszała. Nic nie miało znaczenia, jeśli nie dotrze do Warszawy. – Zatrzymaj się, do diabła! Stój!

Upadła na kolana w momencie, kiedy rzucił się na nią i przygwoździł ją do zmarzniętej ziemi.

– Ja muszę do Warszawy – jęknęła i poruszyła się, ale zyskała tylko tyle, że obrócił ją na plecy, wciąż trzymając mocno.

– Czyś ty oszalała? – krzyczał jej w twarz poczerwieniały od mrozu, wykrzywiony złością, z oczami naznaczonymi szaleństwem. – Chcesz tu zginąć? Ledwie cię uratowali w Podolanach. Co z twoją głową, kobieto?! Zaraz będzie ciemno. Rozejrzyj się.

Popatrzyła w niebo, na którego tle błyszczały czarne oczy Podolskiego. Sypiący się z góry białe

pył kontrastował z granatowymi chmurami. Miał rację. Za chwilę zrobi się ciemno, a oni byli daleko od karczmy.

– Wstawaj – warknął i szarpnął ją za ramiona. Nie zdążyła wykonać żadnego ruchu, bo podniósł ją jak piórko. – Wsiadaj.

Bez słowa wspięła się na grzbiet jego wierzchowca, ale nie dał jej wodzy. Dosiadł swojego konia i szarpnął jej wodzami. Ruszyli w drogę powrotną. Émilie nagle zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, w którą stronę jechać. Śnieg zamazywał ślady końskich kopyt, a przerażenie ścisnęło jej gardło. Jakimś cudem wrócili do karczmy, kiedy właściwie tylko ledwie widoczne światła z okna wskazywały im drogę. Podolski nie odzywał się, ale jego ruchy, kiedy zsiadał, prowadził konie do stanu i je rozsiodływał, były krótkie, sztywne i podszyte złością, dlatego nic nie mówiła nawet wówczas, gdy chwycił ją boleśnie za ramię i pociągnął do izby, w której oświetlani czerwonym blaskiem ognia na ławach układali się do snu towarzyszący im mężczyźni. Podolski nie zatrzymał się, póki nie znaleźli się w izbie na piętrze, do której wiodły wąskie, skrzypiące schodki. Nie było tu paleniska, ale ciepłe powietrze z dołu ogrzało pomieszczenie. Kiedy wchodzili, Émilie w poblasku padającym z dołu nie zauważyła łóżka. Zatrzymała się na środku niskiej izdebki niepokojąca i nagle samotna, kiedy Antoni wreszcie uwolnił jej ramię.

– Rozbieraj się i kładź. – Dobiegło ją z ciemności. Zamarła, wsłuchując się w szelest jego ubrania. Potem coś zatrzeszczało, a Podolski sapnął i zapadła ciężka, lepka od jego oddechu cisza. – Trzeba cię zapraszać? Kładź się, kobieto.

– Gdzie? – odważyła się zapytać.

– Śpisz ze mną. Nie będę ryzykował kolejnej wycieczki w zamieci.

Z ociąganiem wyplątała się z płaszczem i kożucha. Było chłodno, wiatr szarpał budynek i usiłował dostać się do wnętrza, ale mimo wszystko wygodniej było spać bez baranicy. W ciemnościach wymacała przygotowane ze skór i futra pościelenie na podłodze, raz tylko natrafiając na ramię Podolskiego.

– Przykryj się płaszczem – rzucił i poruszył się.

Skorzystała z jego rady i ułożyła się obok, czując bijące od niego przyjemne ciepło, mimo to nie potrafiła uspokoić galopujących myśli i odprężyć się, żeby zasnąć.

– Co ci przyszło do głowy? Tak ci źle tutaj, ze mną? – wyszeptał tuż przy jej uchu, odganiając w ten sposób ostatnią nadzieję na sen. Jego oddech połaskotał włosy na jej skroni, ucho i ześlizgnął się po szyi, wzbudzając dreszcz.

– Muszę jak najszybciej dostać się do Warszawy – odważyła się odpowiedzieć.

Podolski poruszył się. Leżeli teraz obok siebie, obydwójce patrząc w ciemność. Czowała jego ramię obok swojego, całe jego ciało i odpychała natrętne wspomnienie tego, kiedy znalazła się w jego ramionach.

– Dotrzemy tam jutro. Mówiłem ci. Co cię tak gna, kobieto? Po co ten pośpiech? Chcę ci pomóc, ale ty niczego nie ułatwiasz. Powiedz, kto cię ściga? Albo dokąd zmierzasz?

Pokręciła głową, choć nie mógł tego widzieć.

– Nie mogę. Nie chodzi o mnie – umilkła, lecz po chwili namysłu dodała: – Jest ktoś, kto potrzebuje mojej pomocy, kto beze mnie nigdy nie zazna wolności, a może nawet i zginąć.

Podolski zaśmiał się krótko.

– Wybacz, ale jakoś nie widzę cię w roli wybawicielki. Na litość boską, jesteś kobietą. Jak ty chcesz kogokolwiek ratować, skoro nawet uciec nie potrafisz?

– Myśl, co chcesz. Nie mam czasu. Każdy dzień zwłoki to igranie z niebezpieczeństwem – odburknęła. Gdyby znał prawdę, nie wygadywałby tych bzdur, lecz miał jej nigdy nie poznać. Nie chciała narażać jego ani nikogo innego. Ten kraj okazał się najgorszym koszmarem. Mrozy, śniegi, roztopy – wszystko to uniemożliwiało jej realizację planów i ucieczkę.

– No właśnie, a dziś przez ciebie tylko straciliśmy czas, kiedy potrzeba nam odpoczynku. Konie wymęczyłaś – warknął na koniec.

– Przepraszam – wymamrotała, bo wiedziała, że miał rację.

I tak zmitrężyła tyle chwil, że mogło być za późno na cokolwiek. Wciąż tliła się w jej sercu nadzieja, ale im więcej przeszkód się przed nią piętrzyło, tym słabszy był to płomyk. Bezwiednie otarła toczącą się po policzku łzę i pociągnęła nosem. Podolski poruszył się. Nie musiała go widzieć, żeby

poczuć, że zawisł nad nią jak cień. Czują jego oddech na twarzy, a mogłaby przysiąc, że widzi, jak błyszczą jego czarne oczy. Szorstkie palce dotknęły jej twarzy, a kiedy wstrzymała oddech, jego kciuk powtórzył ślad, którym podążały lzy zbierające się w zagłębieniu ucha.

– Ostrzegam – wydyszał w jej usta – jeśli jeszcze raz strzeli ci do głowy pomysł z odłączeniem się od nas, znajdę cię, zarżnę jak cielę i zostawię. Zrozumiałaś?

– Tak – odpowiedziała z rezygnacją.

– To śpij. Jutro wyruszymy, jak tylko słońce wzejdzie i pogoda pozwoli. – Po tych słowach obrócił się na bok, zarzucił na nią swój płaszcz i objął ją w pasie. – Będzie nam cieplej, a ty się nie wymkniesz – usprawiedliwił się.

Nie wiedziała, co ma zrobić. W końcu jednak, kiedy jego oddech wyrównał się, odwróciła się do niego tyłem tak ostrożnie, jak tylko pozwalało na to jego ramię i wtuliła się w niego plecami. Miał rację, było jej cieplej, a jego zapach przywodził Émilie na myśl rozległe pola na łagodnych wzgórzach i falujące od ciepłego wiatru trawy. Ramię Podolskiego chwyciło ją mocniej i przysunęło jeszcze bliżej jego ciała, ale już tego nie czuła, błądząc po ukochanych łąkach wokół domu, jej domu.

V

Spacery po skutym mrozem ogrodzie miały w sobie coś z magii. Po kolejnej odwilży drzewa pokryły się szronem jak cukrową posypką. Krysia, idąc po zmarzniętej i nierównej ścieżce pomiędzy lipami pamiętającymi pewnie jej pradziadków, rozkoszowała się świeżością powietrza i mieniącym się w słońcu ogrodem. Dwór położony był na niewielkim wzniesieniu, które opadało łagodnie parkiem w stronę długiego stawu. Sad i ogród warzywny znajdowały się z lewej, a obejście i budynki gospodarcze po prawej.

Skuty lodem, prostokątny staw przypominał wigilijny opłatek. Krysia zeszła nad jego brzeg i ruszyła w stronę tafli lodu, otuliwszy się szczelnie futrzanym kubrakiem. Wyobrażała sobie, że jest lodową królewną, która spaceruje po swoich włościach, a za chwilę podjadą jej sanie i zabiorą ją do lodowego pałacu. Uśmiechnęła się do swoich fantazji. Brakowało tylko księcia, który wyrwałby ją z tych zimowych okowów.

Skręciła w stronę sadu, zupełnie nie przejmując się tym, że musi brnąć przez śnieg. Na szczęście część się rozpuściła, a to, co dopadało, ledwie przypudrowało świat. Słońce oślepiło ją, aż zabrakło jej tchu. Kiedy przysłoniła oczy dłonią, dostrzegła sylwetkę mężczyzny, najwyraźniej zmierzającego w jej stronę. Spokój i radość ulotniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Doskonale wiedziała, kim jest zbliżający się człowiek. Powinna uciekać, zmienić trasę, lecz niewiele by to dało. Nabrała powietrza i ruszyła mu na spotkanie.

– Z panny Krysi to niespokojny duch taki – zagaił Śniegocki, kłaniając się lekko, na co się zarumieniła.

– Dlaczego niespokojny? Lubię spokój i ciszę. Czy według pana jest w tym coś złego? – Spojrzała na niego nieśmiało, ale zaraz odwróciła wzrok, nie mogąc znieść utkwionych w niej zielonych jak letni staw oczu. Mężczyznę opromieniała dziwna aura. Krysia wytłumaczyła to sobie padającym na niego światłem słonecznym.

– Panienska Krysia jest zbyt młoda, by unikać świata i jego dobrodziejstw – powiedział ciszej, pochylając się nad nią, co do reszty wyprowadziło ją z równowagi i przyprawiło o szybsze bicie serca. Miała ochotę zamknąć oczy i zniknąć.

– Świat to nie tylko dobrodziejstwa, ale też wojny, zdrady i zniewolenie rozpasaniem, które niesie ze sobą. – Zaraz pożałowała tego przytyku, skierowanego do Śniegockiego. Zapewne on był jednym z tych mężczyzn, przed którymi ostrzegała ją Leosia. Przystojny, męski i bywały w wielkim świecie. Czy mógł uchować się od zepsucia?

Śniegocki zaśmiał się cicho i na szczęście się nie obraził. Czy potraktował poważnie słowa takiej jak ona głupiej gęsi przeciętnej urody, zastanawiała się młoda Podolska.

– Panienska Krysia chyba mnie za bardzo nie lubi. – Ponownie pochylił się nad nią, kiedy mówił, jakby mogła nie dosłyszeć jego słów. Tymczasem ona wszystko zapamiętywała i potem rozważała w czasie długich godzin przy kominku w bawialni, gdzie inne kobiety gawędziły. Nie miała tam kompanów do rozmowy, a teraz przynajmniej wiedziała, o czym i o kim rozmyślać.

– Dlaczego pan tak sądzi? – Podniosła na niego nieśmiało wzrok i mimowolnie zatrzymała go na jego karminowych ustach rozciągniętych w uśmiechu w cieniu ciemnego, równego wąsika.

– Unika mnie panienska, a teraz okazuje się, że ma o mnie nie najlepsze mniemanie. Przykro mi tego słuchać... – Jego mina świadczyła o tym, że nie jest poważny, że z nią igra, śmieje się z niej.

Krysi zrobiło się przykro.

– Przepraszam – szepnęła, wbiwszy wzrok w czubki trzewików wystających spod sukni. – Nie chciałam pana urazić – dodała jeszcze ciszej.

Śniegocki ujął ją pod brodę i uniósł jej twarz. Serce Krysi zamarło.

– Niechże panienska na mnie spojrzy... – zaczął, ale zaraz urwał, widząc jej załzawione oczy. – Co się stało, Krysienko?

Łzy wymknęły się spod powiek. Dziewczyna szarpnęła się i cofnęła o krok, nerwowo je ocierając.

– Drwi pan ze mnie, bawi się moim kosztem. Ja wiem, że jestem tylko wiejską, głupiutką dziewczką, nienawykłą do wyszukanych konwersacji, zbyt młodą, by być ciekawym kompanem rozmowy, ale ja naprawdę nie zasłużyłam... – Wzruszenie odebrało jej głos, a rozsądek podpowiedział jedyne słuszne wyjście z tej sytuacji. Odwróciła się na pięcie i zaczęła biec tak szybko, jak na to pozwalał śnieg, w przeciwną stronę niż dom. Byle dalej od tego człowieka, który dworował sobie z niej, a za którym wypatrywała oczy przez ostatnie kilka dni.

– Dziewczyno! – krzyknął za nią Śniegocki, ale nie odwróciła się. Im dalej była od niego, tym bardziej docierało do niej, że zachowała się jak skończona wariatka. Warknęła tylko sama do siebie i przyspieszyła. Ze zgrozą zarejestrowała odgłos kroków za sobą.

– Krysiu, proszę poczekać.

Wiedziała, że prędzej czy później ją dogoni, ale nie spodziewała się, że aż tak szybko. Jednym ruchem odwrócił ją w swoją stronę.

– Krysiu... – zaczął i umilkł. Patrzył na nią jakoś tak dziwnie, intensywnie. – Nie przyszłoby mi do głowy śmiać się z panienki. – Zdjął z dłoni rękawicę i otarł marznące na jej twarzy łzy. Przymknęła oczy. Dotyk palił jej twarz. – Krysienko, niech Krysienka przeze mnie nie płacze, bo nie zniosę tego – rzucił, objął ją i przycisnął do siebie.

Wciągnęła w płuca zapach munduru, zapach mężczyzny. Zawrót głowy niemal zwałił ją z nóg, ale Śniegocki trzymał ją mocno, a ona nie miała ochoty opuszczać tego bezpiecznego schronienia.

– Niech mnie pan puści. Ktoś ze dworu zobaczy – wyrzekła w końcu błagalnie.

Mężczyzna odsunął ją od siebie na odległość ramion i popatrzył jej w oczy.

– Proszę mi wybaczyć, panienska Krysiu. I nie wspominać o tym Antoniemu, bo ubije mnie, zem panience sprawił przykrość.

– To mnie proszę wybaczyć dziewczęce rozchwianie i być pewnym mojej dyskrecji.

Zanim zdążyła dodać cokolwiek, Śniegocki chwycił jej dłoń i ucałował z czcią. Powinna była wyrwać się, ale tak ją zaskoczył, że nie drgnęła nawet. Poderwał się tak samo niespodziewanie, skinął jej głową i podał ramię.

– Odprowadzę panienkę do dworu, bo zmierzch zaczyna się czaić za drzewami.

Podziękowała mu uprzejmie i uchwyciła jego ramię. Ruszyli w stronę domu, a Krysia zauważyła, że lżej było kroczyć w śniegu, kiedy wspierał ją ten postawny, piękny mężczyzna.

ROZDZIAŁ IV

I

Antoni nie przyznał się tej szalonej kobiecie, że jego też naglił czas. To dlatego nie został w Podolanach, choć najchętniej przesiedziałyby po trudach bitewnych całą zimę w bezpiecznym, dostatnim domu. Wbrew rozkazom zostawił w majątku Śniegockiego. Był on jedyną osobą, której mógł zaufać i powierzyć opiekę nad rodzinnym domem. Uzgodnili, że Antoni sam znajdzie uciekiniera i już razem dostarczą go Treillardowi.

Nie rozumiał pośpiechu Émilie i nie interesowało go to zbytnio. Chciała znaleźć się w Warszawie, to ją tam dostarczy, ale nie miał zamiaru ryzykować przy tym czyjegokolwiek życia, zwłaszcza swojego. Gdyby nie zabrała jego konia, pewnie nie ścigałby jej z takim zapamiętaniem. Było w niej coś, co z jednej strony go odpychało, z drugiej przyciągało. Mimo zmęczenia nie zasnął tak szybko, jakby chciał, kiedy czuł obok siebie jej miękkie ciało, a zapach włosów drażnił nos. Potem ona wypięła pośladki i wtuliła się w niego, co do reszty pozbawiło go nadziei na sen. Wytłumaczył to sobie brakiem kobiety spowodowanym wplątaniem się w wojskową kabałę.

Rankiem obudził się, kiedy przez maleńkie okienko wpadało tyle światła, by dojrzeć jej zaróżowioną snem twarz, którą zwróciła w jego stronę. Rozchyliła usta, jakby go zapraszała. Pod powiekami o długich rzęsach jeszcze drgały sny. Poruszyła się, przeciągnęła i wtuliła nos w jego szyję, ale nadal spała. Domyślił się, że było jej zimno, więc wsunął rękę pod płaszcz i objął ją mocniej. Zaraz jednak zorientował się, że to był duży błąd. Trafił na krągły pośladek, a ona znowu przeciągnęła się jak kotka i cicho stęknęła. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był z kobietą. Gdyby teraz zrobił to, na co nabrał ochoty, nie zdążyłaby nawet jęknąć, a kto wie, może nawet by się jej spodobało. Prawie przekonał się do tego, co chodziło mu po głowie, kiedy Émilie poruszyła się, a nagła sztywność jej ciała sprawiła, że zrozumiał, iż ona też nie śpi. Zamknął oczy i oddychał spokojnie na tyle, na ile pozwalało mu podniecenie.

Ostrożnie usiłowała wyplatać się z jego ramion, przy czym każdy jej ruch był nową torturą. Przez jego ciało przepływały przyjemne dreszcze. Wreszcie zamarała w połowie zmagania z jego bezwładną ręką. Na twarzy czuł jej oddech, więc musiała na niego patrzeć. Nie mylił się, bo jej palce przesunęły się po jego łuku brwiowym na szczękę, a stamtąd na usta. Wszystko w nim wrzeszczało i miotało się. Nie wytrzymał. Otworzył oczy. Kobieta szarpnęła się w jego ramionach, ale jej nie puścił. Strach w jej spojrzeniu wyhamował trochę jego zapędy, lecz nie na tyle, by nie przyciągnąć jej do siebie i nie wycisnąć na jej rozchylonych w bezgłośnym okrzyku ustach pocałunku. Nie protestowała, pozwoliła mu na to i jej wargi przyłgnęły do niego. Objął dłonią pośladek, kiedy na dole rozległy się hałasy. Jeden z jego ludzi krzyknął:

– Powinniśmy ruszać!

Odskoczyli od siebie. Antoni usiadł na pośladku. W głowie tańczył mu rój pszczoł, mimo to zaczął wciągać buty i szukać kożucha. Zerkał na zaczerwienioną kobietę, która kompletnie go ignorowała, ubierając się. Coś go ścisnęło w gardle, mimo zamętu w głowie. Odchrząknął i poderwał się na nogi, żeby zejść na dół.

– Jak będziesz gotowa, przyjdź coś zjeść – rzucił jej przez ramię, ale nie odpowiedziała.

Po szybkim posiłku, który przygotował dla nich karczmarz, osiodłali konie, a Émilie usadowiła się w saniach. Słońce podniosło się na tyle wysoko, że w czystym, rześkim powietrzu widać było świat wyraźnie aż po błękitną mgłę rozmazanego horyzontu. Po śnieżycy i wietrze pozostały zasy, które teraz trzeba było omijać.

– Co ty robisz? – zapytała nieufnie, kiedy usiadł obok niej i rozłożył futrzane okrycie tak, by zmieścili się obydwój. Jego konia przywiązano do sań.

– A jak sądzisz? – Zmrużył oczy i przekrzywił głowę. – Zmarzłaś wczoraj, więc dziś jedziemy razem. Poza tym źle spałem. Z ochotą się prześpię, zanim dotrzemy na miejsce.

Usiadła posłusznie obok niego, ale tak, żeby go nie dotknąć, co odczuł znowu w sztywności jej ruchów. Zarzucił na nich okrycie, a jego ramię objęło ją w pasie.

– Przestań – fuknęła, wbijając w niego wściekłe spojrzenie błękitnych jak niezapominajki oczu, w którym mógłby utonąć, gdyby nie to, że gwałtownie go odepchnęła.

– Nie mam zamiaru. – Uśmiechnął się, żeby tylko ją tym rozwścieczyć, po czym przycisnął ją do siebie. Chwilę się wiała, próbując zachować dystans, ale gdy konie szarpnęły saniami, opadła zrezygnowana na jego piersi. Zamknęła oczy. Zapewne walczyła z ochotą odcięcia mu się, lecz nie powiedziała nic.

– Niech jaśnie pan uważa, bo ta kocica gotowa wbić swoje pazury w oczy – zauważył jeden z jego towarzyszy. Reszta zarechotała, a kolejny dopowiedział:

– Albo i gdzie dalej, we wrażliwsze jeszcze miejsce.

Głośny śmiech rozszedł się echem pomiędzy zabudowaniami i odbił od ściany lasu, żeby wrócić do nich podwojony.

– Kowalski, masz szczęście, żem zmęczony okrutnie, bo już byś tego jęzora niewyparzonego nie miał – odciął się Antoni, udając gniew, choć sam w duchu śmiał się z żartu, czując, jak szczupłe palce pod okryciem wbijają się w jego udo.

– Co wasza miłość każe – parsknął wojak, ale jego słowa porwał pęd, bo ruszyli żwawo.

Antoni uchwycił dłoń kobiety, choć walczyła z nim, i splótł palce z jej palcami.

– Przestań wierzczać, bo chcę odpocząć. Krzywdy ci nie mam zamiaru zrobić. Chyba że mnie zmusisz – wysapał w jej ucho, które wysunęło się spod przekrzywionej czapy. Efekt osiągnął natychmiast. Opadła na niego, a jej czoło przylgnęło do jego szyi. – Grzeczna dziewczyna – dodał i przymknął oczy. Naprawdę miał zamiar spać, lecz jej piersi ocierające się w rytm oddechów o niego nie ułatwiały drzemki, mimo to w końcu powieki mu opadły.

II

Jeszcze tego samego dnia zajechali na Pragę. Ostatni odcinek drogi pokonali konno, bo kolejna odwilż znowu nasączyła drogi wodą. Im bliżej siedzib ludzkich byli, tym i ruch był większy, i drogi bardziej rozjeżdżone. Émilie przyjęła to z ulgą, bo wreszcie mogła rozprostować obolałe ciało, które całą drogę usiłowała utrzymać z dala od Podolskiego, śpiącego beztrąsko w kokonie z futer.

Z Pragi przedostali się łodzią przez rozlaną szeroko gniewną Wisłę, na której brzegu stało sporo drewnianych budynków, często baraków, tylko prowizorycznie trzymających się gruntu i chylących się ku ziemi. Płaska łódź kluczyła, chybotając się niespokojnie, pomiędzy krami, szarpana nurtem i objana przez lodowe tafle, dlatego Émilie z zadowoleniem postawiła stopę na brzegu. Łachy piachu częściowo pokrywał śnieg, podobnie jak to brudne, ubłocone, cuchnące miasto, którego panorama przypominała tani miedzioryt.

Émilie wiedziała, do kogo ma się udać, choć nie bardzo orientowała się, w jakim kierunku ma popędzić teraz swojego konia. Należało rozpytać o pałac i jego właściciela, którego nazwisko wbiła sobie do głowy, żeby tylko nie zapomnieć. Nie miała zamiaru korzystać dłużej niż to konieczne ani z pomocy Podolskiego, ani tym bardziej zdradzać mu, dokąd zmierza. Mimo wszystko podeszła do mężczyzny, ignorując znaczące śmiechy i poszturchiwania się jego kompanów, i wyciągnęła do niego rękę.

– Nasze drogi tutaj muszą się rozejść. Dziękuję panu za ułatwienie mi tej podróży.

Czarne oczy drwiły z niej, ale Antoni uściśnął jej dłoń i nie puścił od razu.

– I ja dziękuję za towarzystwo. Nasze drogi nie muszą się rozchodzić, chyba że taka wola pani. Z przyjemnością odeskortuję panią w miejsce przeznaczenia, żeby się jakoweś nieszczęście nie przytrafiło mości pani. Warszawa to miasto niebezpieczne... – Ostatnie zdanie wymruczał jej do ucha.

– Jestem dobrej myśli. Żegnaj – rzuciła i wyrwała dłoń, po czym dosiadła konia i ruszyła przed siebie, nie oglądając się na śmiejących się mężczyzn. Skręciła za pierwszy napotkany załom budynku, byle zniknąć im z oczu. Dopiero wtedy odetchnęła głęboko.

Na ruchliwych ulicach nie wzbudzała niczyjzego zainteresowania, bo przypominała raczej młodego chłopaka niż kobietę. Zatrzymała się szybko, zobaczywszy obdartego wyrostka. Pokazała mu monetę i powiedziała nazwisko. Nie miała pewności, czy chłopak ją zrozumiał. Pokręcił głową i coś odpowiedział, jednak pokazał gestem, żeby szła za nim.

Miasto zrobiło na Émilie przynębiające wrażenie. Obok przepysznych pałaców i bogato zdobionych kamienic widać było ledwie co sklecone z desek budynki, zaniedbane podwórza, rozjeżdżone ulice tonące w błocie. Umorusany przewodnik w powiązanych szmatami łapciach

miejskami przeskakiwał kałuże i co jakiś czas popatrywał, czy kobieta wciąż podąża za nim. Ludzie w strojnych ekwipażach zaprzężonych w kilka nawet koni przejeżdżali z impetem owymi szerokimi ulicami, jakby dopiero przed momentem wytyczonymi i zabudowanymi, mijając po drodze biedotę okrytą łachmanami, ulicznych kramarzy i wszelkiego autoramentu handlarzy oraz włóczęgów. Doprawdy dziwne to było miasto, przypominające garnek, w który nawrzucano przypadkowych składników bez zastanawiania się, co z tego wyjdzie. No i teraz to wszystko gotowało się i buzowało. Mieszała się bieda z przepychem, ciemnota z elitami, świętość z rozpusztą.

Dość szybko znaleźli się przed budynkiem wysokim na trzy piętra, ozdobionym od góry portykiem. Émilie rzuciła monetę chłopakowi, a kolejną podsunęła mu, wskazując konia. Natychmiast z szerokim uśmiechem pokiwał głową i zgął się w ukłonie. Zanim weszła do wnętrza, odetchnęła głęboko. Serce przyspieszyło. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dziś jeszcze będzie wolna.

W ponurej, wysokiej i zimnej sieni ozdobionej trofeami myśliwskimi pojawił się lokaj, któremu po francusku wyłuszczyła, kim jest, kogo szuka i z czyjego polecenia. Zmierzył ją krytycznym wzrokiem. Nawet jego liberia wyglądała lepiej niż mundur, który nosiła pod zimowym płaszczem. Mężczyzna zniknął za drzwiami w głębi sieni, żeby wrócić, kiedy Émilie już nogi zaczynały boleć od stania, a jej ciało drżało z zimna.

– Proszę za mną. Jaśnie pan czeka – rzucił lokaj, nie patrząc na nią.

Nie miała czasu rozglądać się po korytarzu, którym ją prowadzono, ale z pewnością był tak samo ponury jak sień i dodatkowo obwieszony obrazami. Wreszcie weszli do pomieszczenia będącego salonem służącym do przyjmowania gości. Pan domu, otyły, niemal okrągły mężczyzna w nieokreślonym wieku, siedział w głębokim fotelu, w otoczeniu ciężkich, ciemnych mebli, obrazów, draperii i świec, mimo że wciąż jeszcze przez wysokie okna wpadałoby sporo dziennego światła, gdyby tylko je odsłonić. Sam też przypominał jeden z mebli. Ubrany w ciemny strój domowy, ale starannie ogolony, z ułożonymi według najnowszej mody włosami obsypanymi siwizną, przewiercał ją oczami, które przypominały jej zimne, nieruchome źrenice węża. Nie wstał ze swego miejsca, jakby chciał zaakcentować, kim ona dla niego jest. Zdawała sobie sprawę, że jest pionkiem w grze, którą prowadził ktoś daleko stąd, że jest tylko marionetką i środkiem do celu.

– Nareszcie! – Głos mężczyzny był jak syk węża, a jego francuski nienaganny, jakby mówił nim od urodzenia. Kiedy Émilie pierwszy raz spotkała go w Paryżu, wyglądał tak samo i tak samo nieprzyjemne wrażenie na niej zrobił. Instykt nakazywał jej wtedy uciekać, ale było za późno. Miał ją w garści, zanim jeszcze go zauważyła. – Dużo cennego czasu zajęła pani misja. Dzieci tak szybko dorastają, a ich pamięć jest taka ulotna. – Poruszył się w fotelu tylko po to, by złożyć dłonie w piramidę. – Dlatego mam nadzieję, że zainteresują mnie rewelacje, które masz mi pani do przekazania.

Émilie zacisnęła dłonie w pięści, a pięty wcisnęła w dywan, żeby nie rzucić się z pazurami na człowieka, którego przedstawiono jej kilka miesięcy temu jako polskiego arystokratę, hrabiego Tyszkiewicza, choć do tej chwili nie była przekonana, czy rzeczywiście jest tym, za kogo się podawał.

– Myślę, że będzie pan usatysfakcjonowany, panie hrabio – wycodziła przez zęby i, nie odrywając wzroku od przeciwnika, wyjęła zza kurtki munduru starannie opakowaną w skórę paczuszkę przewiazaną sznurkiem. Dostrzegła błysk żądzy w jego stalowych tęczówkach. Uniósł rękę i ponaglił ją gestem, gdy zatrzymała się z dłonią wyciągniętą w jego stronę.

– Gdzie ją przetrzymujecie? Czy jest bezpieczna? – Cofnęła rękę i przycisnęła pakunek do piersi. Krew uderzyła w skronie, głos się załamał.

Mężczyzna cmoknął z niezadowoleniem i położył dłoń na kolanach, po czym zaśmiał się cicho. Świadomość, że nie ma nad nim kompletnie żadnej władzy, że w każdej chwili może jej siłą odebrać dokumenty zdobyte z takim trudem i z jeszcze większym tutaj dostarczone, sprawiła, że łyzy bezsilności zapiekły ją pod powiekami. Całe życie była niewolnicą, choć urodziła się jako wolny człowiek. Jednak ze wszystkich niewoli ta była najgorsza, bo poniekąd dobrowolna. W okowach trzymał ją strach. Przełknęła łyzy i ponowiła pytanie:

– Gdzie ona jest? Czy gdzieś tutaj? Chcę mieć pewność, że jest cała i zdrowa, że nic jej nie zrobiliście.

Mężczyzna wstał z fotela, a Émilie cofnęła się i zamrugnęła gwałtownie. Hrabia jednak założył

ręce za plecy i podszedł do jedyne go niezastłoniętego okna. Wyrżał na ulicę, a potem odwrócił się w stronę przybyłej. Śledziła każdy jego ruch, każdy krok, by móc wyczytać z nich prawdę o swoim dziecku, które ten podstępny wąż porwał kilka miesięcy temu.

– Już ci mówiłem, że twoja córka jest bezpieczna w rękach moich mocodawców. Nie bylibyśmy tak głupi, by trzymać ją w Warszawie.

– Mocodawców, którzy są porywaczami i szpiegami – wyrzuciła z siebie w desperacji, ale też nadstawiła uszu, bo to oznaczało, że Tyszkiewicz nie działa sam i na pewno na czyjeś zlecenie. Im więcej się dowie, z tym lepszym efektem będzie mogła tę wiedzę wykorzystać. – Uczciwi ludzie nie działają podstępem.

Tyszkiewicz pokręcił głową. Widziała niezadowolenie na jego twarzy.

– Inaczej nie zgodziłabyś się dla nas pracować. Mówiłem ci, że wybraliśmy cię starannie. Nie działał sam. Są ludzie, dla których wszystko, co do tej pory nam przekazałaś, jest bezcenne. A teraz oddaj mi te dokumenty. – Ponownie wyciągnął rękę w jej stronę, ale ona nawet nie drgnęła. – Oddaj je, bo każę ci je wyrzucić siłą – warknął.

Wyciągnięta w jej stronę dłoń zacisnęła się w pięść.

– Chcę ją zobaczyć – wykrztusiła w akcie desperacji Émilie.

– Jesteś na najlepszej drodze, by ją stracić bezpowrotnie. – Mężczyzna podszedł do niej i chwycił za paczuszkę. – Oddawaj to! – wrzasnął, a wtedy otworzyły się niewielkie, niemal niewidoczne drzwi w rogu pomieszczenia.

– Zostaw tę kobietę, mój drogi. – W drzwiach stał ciemnowłosy, elegancki mężczyzna, dość młody, może nawet jej równolatek, w modnym czarnym surducie, spod którego wystawała biała kamizelka i chustka pod szyją oraz w białych pantalonach opinających mocne uda i lśniących, wysokich pod kolano butach. Cała jego postawa zdawała się mówić, że przywykł do rządzenia i wydawania poleceń, które wykonywano bez zwłoki.

Tyszkiewicz posłusznie puścił Émilie i zrobił krok w tył, nieznacznie się kłaniając. Rozpacz, która ogarnęła kobietę, histeryczna chęć walki o wolność dziecka przytłumione zostały przez nagły lęk. Kimkolwiek był ten człowiek, ujawnił przed nią swe oblicze, a więc naraził się na niebezpieczeństwo, tym samym zagrażając jej i dziecku. Zbliżył się do Émilie i splótłszy ręce z tyłu, pochylił się w jej stronę.

– Droga pani, gdybyśmy mieli inne wyjście, z pewnością nie posuwalibyśmy się do takich kroków i nie narażali niepotrzebnie pani czy też tego słodkiego dziewczątka – mówił pięknie po francusku, choć dał się czasem słyszeć w jego mowie ledwie dostrzegalny miękki zaśpiew. – Zapewniam, że jesteśmy ludźmi honoru i działamy w wielkiej sprawie. Proszę z nami jeszcze chwilę współpracować, a zasługi pani będą nagrodzone.

– Jakaż to sprawa usprawiedliwia to, co zrobiliście? Wtargnęliście w moje życie, odebraliście mi moje ukochane dziecko i nawet nie wiem, czy ono wciąż żyje. – Głos jej zadrżał, bo niestety nie miała gwarancji, że dziewczynka jest cała i zdrowa. Dotąd, przez dziesięć lat swego życia, raczej nie chorowała poważnie. Wychowana z dala od Paryża, w spokoju wiejskiego otoczenia, na łonie natury mogła znieść wiele, ale czy przeżyłaby, gdyby ją zabrano tutaj, do tego zimnego i mokrego kraju?

– Ależ moja droga, zapewniam, że dziecko jest całe, zdrowe i pod doskonałą opieką, razem ze swoją guwernantką. Nie jesteśmy potworami. Jesteśmy patriotami. Ludźmi, którzy nie widzą szans na odzyskanie niepodległości przez nasz kraj dzięki waszemu cesarzowi. A raczej stracili w to wiarę, gdy wykorzystał nasze legiony do swoich celów. Chcemy odzyskać naszą ojczyznę. Zrobimy wszystko, by tego dokonać. Jedyłą na to szansą jest sprzymierzyć się z Rosją, ale żeby stać się przyjacielem cara, trzeba mu coś ofiarować. Żyjemy w czasach, gdy informacja jest na wagę złota, a i wasz cesarz przekonał się, że bez siatki szpiegów niewiele wskóra w tej wojnie i w polityce, która również jest nieustającą wojną.

– Więc twierdzi pan, że cel uświęca środki, a każdą podłość można usprawiedliwić pierwszą z brzegu szczytną ideą, choćby miłością do kraju. Kraju, który nie istnieje, kraju, w którym chyba za wszystkie pieniądze świata nie chciałabym mieszkać, bo pełno tu prostactwa, brudu i najgorszego sortu ludzi pańskiego pokroju. – Wykrzywiła się z odrazą, choć głos nadal jej drżał, podobnie jak całe ciało, które napięła do granic możliwości. Zrozumiała, że w grę wchodzi polityka, a ci w nią zamieszani

kierują się wyłącznie swoim kodeksem moralnym.

Mężczyzna zaśmiał się z jej wybuchu. Tyszkiewicz, który cofnął się do okna, zawtórował mu jak na zawołanie.

– Zapewniam, że jesteśmy gotowi ponieść każdą ofiarę w imię naszej sprawy – zadrwił z jej emocji, które doszły do głosu. – Uwolnimy pani córkę i przysięgam, że włos jej z głowy nie spadnie, jeżeli tylko będzie pani posłuszna naszej woli.

– Zrobiłam wszystko, a nawet więcej, niż ode mnie oczekiwano. Chcę odzyskać moje dziecko i wrócić z nim do domu – powtórzyła kolejny raz.

– Pani pozwoli, że my ocenimy, jak dalece pokładane w pani nadzieje się spełniły. – Jego życzliwy uśmiech przeczył spojrzeniu zimnych oczu. Wyciągnął rękę, zaś Émilie z wahaniem podała mu pakunek.

Mężczyzna, patrząc na nią uważnie, podał go Tyszkiewiczowi, który rzucił się na niego jak wygłodniały kundel na padlinę. Rozwinął paczkę, szarpiąc za sznurki, i wyjął ukryte w niej dokumenty. Dopiero teraz nieznajomy odwrócił wzrok od Émilie.

– Cóż my tam mamy? Warto było panią turbować, mój drogi?

Tyszkiewicz wzrokiem przebiegał po kartach i bladł coraz bardziej. Émilie dostrzegła, jak zaczęły mu drżeć ręce. Nieznajomy widocznie zaniepokoił się reakcją swego kamrata, bo zapytał ponownie:

– Cóż to za dokumenta?

– Nie uwierzy wasza książęca wysokość – wydusił z siebie wreszcie Tyszkiewicz, bezwiednie zdradzając, kim jest nieznajomy, po czym podał mu papiery.

Książę, jak nazwał Tyszkiewicz gościa, zmarszczył czoło i wpatrywał się wolno w każdą kolejną płachtę papieru, przekładając ją z cichym szelestem. Émilie wiedziała doskonale, co jest w dokumentach i wierzyła, że to wystarczy, by wreszcie dali jej spokój. Dotąd przekazywała im jedynie drobne informacje przez posłańców, bo cóż takiego mogła wiedzieć kobieta. Domyślała się, że jest jedną z wielu osób, które mniej lub bardziej dobrowolnie współpracowały z jej mocodawcami, szpiegując dla nich i zbierając informacje, nawet te dotyczące nastrojów panujących wśród wojskowych czy wśród zwykłych ludzi. Ciekawa była, czy w otoczeniu Napoleona też zdarzali się tacy jak ona, przekazujący wiedzę dalej, ale nie odważyła się o to spytać.

Tyszkiewicz, zanim rozpoczęła się ta cała wojna, najpierw z Prusami, a potem i z Rosją, znalazł ją w Paryżu rzekomo przypadkiem. Prawda była taka, że wybrał ją starannie spośród wielu kobiet i żon oficerów Wielkiej Armii Napoleona i zrobił z niej szpiega wbrew jej woli. Jak to uczynił? Porywając jej ukochaną córkę.

Émilie była wystarczająco blisko Napoleona i tych, którzy podejmowali decyzje o strategicznych działaniach, a jednocześnie nie budziła niczyich podejrzeń. Już w czasie kampanii w Prusach została poinformowana, gdzie ma przekazać wszystko, co uda jej się zdobyć. A obecnie, wiedząc, co ma w dłoniach, wykorzystwała okazję i postanowiła osobiście spotkać się z tym, kto stał za porwaniem jej dziecka, by odzyskać je za wszelką cenę. Poza tym jako uciekinierka, z dala od Francji i Napoleona, stawała się zwyczajnie bezużyteczna i po cichu liczyła, że dadzą jej wreszcie spokój.

– Wiedziałem, że okaże się pani naszym najcenniejszym źródłem wiedzy, madame – skostatował książę z szerokim uśmiechem, ledwie ukrywając podniecenie.

– Czy teraz będę mogła odzyskać córkę? – Nie wolno jej było zdradzić się z tym, że zna treść dokumentów, żeby nie narażać życia swojego i dziecka.

Rzekomy książę popatrzył na nią z chytrym uśmiechem, podając papiery Tyszkiewiczowi.

– Tak dobrze się pani spisała, madame, że żal byłoby panią odprawić. – Znowu zmrużył oczy z grymasem zadowolenia, jakie zwykle miewają drapieżcy po pożarciu swej ofiary.

– Ale ja nie mogę tam wrócić! Nie zdobędę już niczego, bo natychmiast zostanę stracona! Jestem dla was bezużyteczna! – tłumaczyła rozgorączkowana. – Wypuście moją córkę, a zniknę razem z nią. Przecież macie to, czego chcieliście...

Urwała, kiedy mężczyzna uniósł dłoń i pokręcił głową z pobłażliwością, jakby miał zamiar połajać niesforne dziecko.

– Proszę się uspokoić, madame. Mamy dla pani jeszcze jedną, nieco inną misję. Delikatną i wymagającą sprytu oraz kobiecych wdzięków. I jednego, i drugiego natura pani nie poskąpiła, dlatego będzie pani idealna do tej roli. – Skinął na Tyszkiewicza, który zbliżył się do Émilie.

– Chcę ją zobaczyć. Proszę – jęknęła ze łzami w oczach i chwyciła go za ramię.

– Przykro mi, madame – rzucił mężczyzna, wyplątując się z jej uścisku.

– Nie możecie tak postępować! To okrutne!

Tyszkiewicz zatrzymał ją, choć usiłowała pójść za tym, którego nazwał księciem.

– Hrabia wszystko pani wyjaśni, madame – rzucił mężczyzna i zniknął za ukrytymi drzwiami.

– Niech się pani uspokoi. To niczego nie zmieni – dodał Tyszkiewicz.

Émilie zamknęła oczy i zacisnęła pięści. Czuła się kompletnie bezsilna, zniewolona i uzależniona od kaprysów tych Polaków, których nienawidziła całą sobą. Mogła mieć tylko satysfakcję, że okazali się takimi nieudacznikami, iż stracili nawet własny kraj. Może gdyby Tyszkiewicz poprosił ją o pomoc, o szpiegowanie dla ojczyzny, którą kochał, pomogłaby mu bezinteresownie. Ale to, że posunęli się do szantażu, do porwania bezbronnego dziecka, napawało ją wstrętem do tych ludzi.

Tymczasem Tyszkiewicz wrócił na swoje miejsce, ale nie usiadł w fotelu. Wyraźnie się rozluźnił, przywdziewając maskę nonszalancji. Émilie podniosła na niego zażwawione spojrzenie.

– Co mam zrobić? – zapytała z rezygnacją.

– Cieszę się, że rozumie pani powagę sytuacji.

Nie odpowiedziała mu. Czekwała.

– Cóż, pani misja będzie raczej przyjemna.

Chciała zaśmiać mu się w twarz. Jak mogła odczuwać cokolwiek poza strachem o dziecko i niechęcią do tych mężczyzn?

Tyszkiewicz wyjął ze stojącej na stoliku obok niego szkatuły ozdobny blankiet, a do wnętrza schował skradzione dokumenty i przekręcił niewielki kluczyk, żeby po chwili ukryć go w małej kieszonce fraka.

– To jest zaproszenie na bal i to nie byle jaki, bo organizowany przez pani rodaka specjalnie dla cesarza. – Podał jej kartę ozdobioną kwiatowym wzorem, na której wypisano obce nazwisko. – Niewielu jest tych, którzy dostąpią zaszczytu udziału w tymże balu. Znajdzie tam pani kogoś, kto ułatwi pani dostanie się do otoczenia księcia Józefa Poniatowskiego.

Émilie drgnęła na dźwięk tego nazwiska i zamrugnęła gwałtownie, co nie uszło uwadze mężczyzny, ale nie skomentował tego. Nie tylko w dokumentach przeczytała o księciu. Podolski też wspominał o tym człowieku, a i wcześniej obito jej się o uszy to nazwisko. Księżę, po wycofaniu się armii pruskiej z Warszawy, objął miasto osobistym nadzorem. Stał się odpowiedzialny za to, co się w nim działo, i podobno zadbał też o stworzenie milicji do pilnowania porządku. Tyle udało jej się podsłuchać z rozmów żołnierzy.

– Pozna pani księcia bez trudu po grupie mężczyzn, którzy będą mu zapewne towarzyszyć. Ubierają się wszyscy na jedną modłę. – Tyszkiewicz wydał pogardliwie wargi. Zrozumiała, że nie darzył sympatią Poniatowskiego. W końcu nie bez powodu miała znaleźć się w jego otoczeniu. – Noszą zielone fraki podbite żółtą materią, a na guzikach kazali sobie wybić napis „Jabłonna” od pałacu, w którym zwykli latem się bawić. Ale mniejsza z tym. – Tyszkiewicz machnął ręką. – Księżę lubi piękne, młode i inteligentne kobiety, najlepiej Francuzki. Pani spełnia wszystkie te warunki, w dodatku będzie pani tajemniczą nieznajomą, a przez to może się pani stać konkurencją dla tej zasuszonej kokoty de Vauban^[5]. Nawet jeśli nie, to proszę zrobić dobre wrażenie na tych wszystkich, którzy znajdą się blisko księcia i oczywiście mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Słuchać, obserwować i zapamiętywać. Po balu zda mi pani szczegółową relację z tego, co udało się pani zaobserwować.

– Nie prościej byłoby, gdyby pan lub pana mocodawca poszedł sam na ten bal? – wypowiedziała na głos trapiącą ją myśl.

– Cóż, jestem persona non grata, a mój szacowny opiekun nie chce się na razie ujawniać...

– Dlatego wysługujecie się kobietą – parsknęła pogardliwie, a Tyszkiewiczowi mina zrzędała.

– Nic z tych rzeczy, madame. Staramy się pozostać w ukryciu, a pani przypominam, że impertynencja i nieposłuszeństwo mogą się zemścić na pani córce. Nikt z nas nie chciałby, żeby przez

przypadek na przykład utonęła w Wiśle.

– Więc ona tu jest? – Émilie chwyciła się tej myśli jak rozbitek deski na wzburzonym morzu.

– Tego nie mogę powiedzieć. – Nie musiał nic mówić. Widziała w jego oczach nagłą panikę, zapewne wynikającą ze świadomości, że oto zdradził sekret. Natychmiast pokrył ten przeblysł chytrym śmiechem, lecz nie dała się na to nabrać.

– Możecie mi ją pokazać. Chcę ją tylko zobaczyć i... – zaczęła, ale mężczyzna nie dał jej skończyć.

– Proszę się uspokoić i skupić na misji – wtrącił stanowczo, jednocześnie dzwoniąc po lokaja. Spotkanie dobiegło końca i Émilie zrozumiała, że niczego nie wskóra. Może tylko poddać się woli tych ludzi. – Od tego, jak pani pójdzie na balu, czego się pani dowie, jak blisko znajdzie się Poniatowskiego, zależy to, kiedy spotka pani córkę.

Émilie schowała zaproszenie za połę kurtki i zwiesiła głowę zrezygnowana, kiedy wszedł lokaj.

– Nie mam gdzie się zatrzymać, a na bal trzeba mieć stosowny ubiór. Przyjechałam tu...

– Proszę się tym nie kłopotać. Przygotowaliśmy wszystko. Zatrzyma się pani w kamienicy, do której zawiezie panią mój człowiek. Czeką teraz na panią w sieni. Tam zadba o panią służba. Stroje są naszykowane, w dniu balu przyjedzie po panią odpowiedni ekwipaż. – Tyszkiewicz uniósł rękę i machnął, odprawiając ją jak natrętnego sługę.

Przynajmniej tyle dobrego, że nie musiała się zastanawiać, co dalej ze sobą zrobić. Miała co prawda trochę pieniędzy, ale nie była pewna, jak długo mogłaby się za nie utrzymać i czy wystarczyłoby na podróż do Francji. Poszła za lokajem, który zaprowadził ją do wyjścia. Czekał tam na nią inny sługa, jak domyśliła się po jego niezbyt wyszukany ubiorze. Wyszli z sieni na ulicę, prosto w objęcia zimnego, lepkiego powietrza. Émilie uśmiechnęła się do chłopaka, który pilnował jej konia, i dała mu obiecaną monetę. Gwizdnął przeciągle, ukłonił się i pognął w stronę, z której przyjechała. Westchnęła, dosiadła wierzchowca i ruszyła za chrząkającym niecierpliwie sługą. Domyśliła się, że nie mówi po francusku, bo nie zareagował, gdy zapytała, jak daleko będą jechali. Dzięki temu Tyszkiewicz miał pewność, że nie dowie się zbyt wiele.

Do kamienicy, w której miała zamieszkać, dotarli o zmroku. Z zewnątrz, jak wszystko w tym mieście, była po prostu brudna, ale w środku czyste, jasne pokoje zrobiły na Émilie dobre wrażenie. Młoda kobieta, najwidoczniej czekająca na nią, na szczęście mówiła po francusku, a przynajmniej się starała. Przygotowała Émilie kąpiel i dopilnowała, by dostała coś do jedzenia. Dopiero patrząc na parujący talerz czegoś, co przypominało gęsty, mięsny sos, Émilie poczuła, że ślina napływa jej do ust. Nie myślała o głodzie, a przecież od rozstania z Podolskim nie miała nic w ustach.

Jedząc, rozmyślała o Antonim, o ich wspólnej podróży, o dość oschłym pożegnaniu i o tym, że nigdy się już nie spotkają. Przez chwilę żałowała nawet, że nie wyjawiała mu prawdy. Być może pomógłby jej odzyskać dziecko, ale w końcu uznała, że przecież była zdrajcą i szpiegiem, on natomiast żołnierzem Napoleona. Nie mogła ryzykować. Dotarło do niej, że jest zdana sama na siebie, na swój rozsądek i trzeźwą ocenę sytuacji, a także spryt. Łudziła się tym, że wciąż ma asa w rękawie, o którym nie wie nikt, lecz jeszcze nie nadszedł czas, by się ujawnić. Poza tym musiała coś mieć w zanadrzu na wypadek, gdyby Tyszkiewicz i ten cały książę nie mieli zamiaru uwolnić jej córki. Nie bardzo wierzyła w to, że kiedykolwiek zrezygnują z jej usług. Znużona wrażeniami całego dnia, Émilie zagrzebała się w pachnącej czystością pościeli i od razu zasnęła.

III

Kiedy wysiadła z paradnego powozu, przytrzymując skraj sukni, by jej nie wybrudzić o bruk pokryty warstwą rozjeżdżonego błota, ogarnął ją harmider ludzi spragnionych zabawy, rozochoconych i podnieconych zaproszeniem na tak świetny bal. Jazgot ten mieszał się z turkotem pojazdów zajeżdżających jeden po drugim przed pałac o prostej fasadzie, przypominającej front katedry z dwiema kwadratowymi wieżami po bokach, których nie przykryto jeszcze dachem, bo kończyły się nagle i płasko. W oknach, rzęście oświetlonych przez setki świec osadzonych w kryształowych żyrandolach, dostrzegła sylwetki ludzi. Mróz szczypał ciało, mimo że na prostą, wydekoltowaną i odciętą pod piersiami suknię w kolorze wina z udrapowanym tyłem, obramowaną złotymi lamówkami i przepasaną takąż samą szarfą ze sporym klejnotem, narzuciła długi płaszcz podbity delikatnym futerkiem.

Marzły jej dłonie w białych atlasowych rękawiczkach sięgających łokci, podobnie jak stopy wsunięte w lekkie materiałowe pantofelki. Nie dbała jednak o to, bo zaraz znalazła się w ciepłym wnętrzu pałacu, gdzie od progu uderzyła ją fala głosów, muzyki, spojrzeń i zapachu płonących świec, pomieszanego z wonią perfum oraz spoconych ciał.

Na balu karnawałowym organizowanym przez Talleyranda, księcia Benewentu i ministra spraw zagranicznych, miała bawić się śmietanka towarzyska Warszawy i nie tylko. Sami wysoko urodzeni i bogaci, starannie wyselekcjonowani spośród elit. Dlatego blask drogocennych kamieni, za które można byłoby wyposażyć armię lub kupić kraj, oślepił już od progu.

Émilie nie powinna była się tu znaleźć i najchętniej uciekłyby stąd, wiedząc, jakie zadanie zrzucano na jej barki, jednak nie mogła tego zrobić ze względu na córkę. Jej mocodawca jakimś cudem dał jej nie tylko zaproszenie, ale też wykwinął toaletę i biżuterię, którą miała zwrócić po balu. Tuż przed wyjściem przydzielona jej dziewczyna uczesała i podpięła w luźny splot długie, falujące włosy Émilie, a następnie ujęła je delikatną przepaską. Francuzka zauważyła, że odwykła od ozdób, zwiewnych sukien i całego tego blichtru, który krępował swobodę ruchów, oddechu i życia. Ostatnimi czasy częściej galopowała konno po polach i robiła mnóstwo innych rzeczy, których nie przystoi robić kobiecie, niż stroiła się czy dbała o siebie. Od dawna w ogóle o sobie nie myślała, a ten bal nie stanowił wyjątku. Zbyt była zdenerwowana czekającą ją misją, żeby cieszyć się gwarem ludzi i obserwować uważnie przyprawiające o zawrót głowy toalety wysoko urodzonych i bajecznie bogatych dam.

Émilie przechodziła z sali do sali, ale nigdzie nie dostrzegła ani charakterystycznych zielonych fraków, ani tym bardziej nikogo, kto mógłby być księciem Poniatowskim. Jeszcze nie wiedziała, jak rozegra to spotkanie i jakim cudem uda jej się przebić przez kordon towarzyszących mu ludzi, którymi głęboko gardziła. Zawsze wokół bogatych i utytułowanych gromadzili się niczym natrętne muchy wszelkiej maści utracjusze i złaknieni darmowej zabawy bywalcy salonów, zepsuci jeszcze bardziej niż obiekt ich uwielbienia podyktowanego miłością do wygodnego życia. Przypominało to Émilie kupę łajna, która im bardziej zepsuta i cuchnąca, tym więcej pasożytów do siebie wabi.

Starła się wsłuchać w to, o czym rozmawiano na salonach, ale nie mogła wyłapać nic ponad nie zawsze dyskretne uwagi czy przytyki związane ze strojami, zachowaniem, plotkami i najnowszymi skandalami. Kolejny raz doszła do wniosku, że ten naród nie zasługuje na własny kraj, skoro jego elita nawet nie rozmawia we własnym języku, tylko niemal bez wyjątku posługuje się francuskim, a ich największym zmartwieniem jest to, czy cesarzowi spodobają się ich umizgi. Na przykład przygotowano dla Napoleona specjalnie przyozdobione baldachimami krzesła w każdym pomieszczeniu, żeby mógł spocząć. To całe podenerwowanie, to oczekiwanie było wręcz wyczuwalne w pstrokatym, chyba nie do końca już trzeźwym i z pewnością nie całkiem normalnym tłumie, śmiejącym się sztucznie i nieszczerze, prawiającym fałszywe komplementy i ze słodkimi minami plotkującym o kim tylko się dało. Była przekonana, że i ona sama jest obiektem zainteresowania, lecz ignorowała wszelkie spojrzenia i dobiegające ją rozważania na temat tego, kim jest.

Czuła się w tym nazbyt głośnym tłumie jak wrzucona w zupełnie obce środowisko, choć dawniej brylowała na salonach. Doświadczenia ostatnich lat i miesięcy zmieniły ją, a może nawet zniszczyły. Nie była pewna, czy kiedykolwiek odzyska radość życia, czy jeszcze będzie potrafiła żyć beztrudnie jak dawniej, czy już zawsze będzie musiała oglądać się za siebie i czy nie przyjdzie jej spędzić reszty dni w niewoli.

Gospodarz i organizator balu, Talleyrand, przechodził od grupki do grupki ludzi, utykając lekko i roztaczając wokół siebie aurę czegoś, co nie podobało się Émilie i co instynktownie kazało jej podążać w odwrotnym kierunku. Wszędzie słyszała język francuski, ale mimo to nigdy nie czuła się bardziej samotna i zagubiona. Jej wzrok prześlizgiwał się po kolorowym tłumie, jednak nikomu nie przyglądała się bliżej. Za to ona sama wzbudzała zainteresowanie, zwłaszcza mężczyzn, którzy rzucali jej niedwuznaczne spojrzenia. Zasłoniła się wachlarzem, by nie prowokować niepotrzebnej zazdrości kobiet. Dawniej szczyła się piękną figurą, gracją bijącą z ruchów, miękkimi, układającymi się bez specjalnych zabiegów włosami oraz twarzą o jasnej skórze i delikatnych, szlachetnych rysach. Dziś mogła się tylko śmiać z tych, którzy zwracali uwagę na powierzchowność. Już wiedziała, że lepiej być niewidocznym, przeciętnym, nierzucającym się w oczy jak Krysia Podolska, która przemykała

po dworze w Podolanach niczym duch. Jakżeż jej tej niewidzialności zazdrościła. Odetchnęła głęboko, jak oddycha ktoś, kto za chwilę rzuci się głową w dół w nieznanne, wzburzone wody.

Nie wypatrywszy nigdzie Poniatowskiego, miała zamiar udać się do pokoju, w którym można było się czegoś napić, bo pomieszczenia, po których teraz się poruszała, wypełniał zaduch. Goście oczekiwali przybycia Napoleona i kolację dotąd wstrzymywano, by nie uchybić cesarzowi. Odwróciła się i właśnie wtedy wpadła w ramiona stojącego za nią mężczyzny.

– Przepraszam... – zaczęła skonfundowana, lecz urwała, bo wpatrywały się w nią roześmiane oczy Antoniego Podolskiego.

– No proszę, nie myślałem, że usłyszę to słowo z twoich ust – wyszeptał jej do ucha, pochylając się nad nią.

– Co ty tu robisz? – wyszczała przez zęby i rozejrzała się, czy nie wzbudza niepotrzebnego zainteresowania, ale na szczęście goście byli zajęci sobą.

– O to samo mógłbym zapytać ciebie. – Bezczelnie otaksował ją wzrokiem, wciąż trzymając za ramię. – Wyglądasz naprawdę kusząco – dodał, zaglądając w jej spory dekolt, który odruchowo przysłoniła wachlarzem, choć wbrew zdrowemu rozsądkowi poczuła satysfakcję.

– Ty też wyglądasz... – Przyjrzała mu się, zanim skończyła. Zazwyczaj zmierzwiłone włosy miał ułożone w gładkie loki wokół ogorzalej twarzy, podkreślonej białą chustką i wysokim kołnierzem. Ciemny mundur połyskujący srebrnymi szamerunkami i ciemne spodnie wyszczuplały jego muskularną sylwetkę. Coś poruszyło się niespokojnie we wnętrzu kobiety. – Całkiem nieźle – dokończyła, co przyjął z grymasem przypominającym minę sytego kota, który ma w zasięgu ręki łatwą zdobycz.

Ich przepychanki przerwało westchnienie, które rozeszło się w tłumie gości, kiedy muzyka umilkła. Émilie nie musiała go widzieć, żeby mieć pewność, że się pojawił. Goście zaraz ustawili się w szpaler w największej sali, oczywiście wzdłuż drogi, którą miał pokonać cesarz, a najbliżej niego znaleźli się ci najznamienitsi. Obok Napoleona kroczył Talleyrand i prezentował kolejne ważne osobistości. Cesarz zatrzymywał się przy niektórych i zamieniał z nimi słowo lub uprzejmie kiwał głową, czasem z uśmiechem, czasem bez.

Napoleon nie wyróżniał się niczym specjalnym wśród żołnierzy. Niewielkiej postury, zaokrąglony, wręcz pyzaty, o rzadkich włosach, na salonach raził wszystkim. Począwszy od munduru, który nosił, po obojętność na umizgi, uśmiechy, natarczywe spojrzenia i wszelkie okazywane mu zainteresowanie. Zamyślony, jakby nieobecny, zmierzał wśród ukłonów i szeptów w towarzystwie utykającego ministra w stronę przygotowanego dla siebie miejsca.

Émilie serce podeszło do gardła, a w głowie zaszumiało jak po mocnym winie. Oparła się o mężczyznę stojącego za nią, zaś jego dłoń spoczęła na jej biodrze. Skoncentrowana na zadaniu, nie powinna zauważać takich gestów, a jeśli już, to co najwyżej ignorować, ale ona miała wrażenie, że ta dłoń wręcz pali ją przez materiał sukni.

– Nie wygląda jak cesarz, prawda? – wyszeptał jej do ucha Podolski.

Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, i utonęła na krótką chwilę w czerni jego oczu. Wtedy też zarządzono przejście na wystawną kolację w sali równie rześmiście oświetlonej, co balowa. Stoły, przy których toczono ożywione rozmowy, uginały się od wyszukanej zastawy, lśniących w świetle kielichów i wykwintnego jedzenia. Émilie zajęła odległe miejsce, ale nadal nie mogła wypatryć, kto z bliskich towarzyszy cesarza mógłby być księciem Poniatowskim. Uwadze Antoniego nie uszło to, jak wychylała się, by dostrzec coś więcej niż półmiski z jedzeniem.

– Kogóż tak wypatrujesz, moja droga? Bo gdybyś szukała swego partnera, nie pozwoliłabyś mi zająć miejsca obok siebie. A jeśli przybyłaś tu w towarzystwie, to doprawdy rzucić nieudacznika, którego pozostawił cię samotną i wystawioną na umizgi mężczyzn oraz zazdrosne spojrzenia kobiet – szeptał jej do ucha Podolski, na co Émilie w jednej chwili zdecydowała się powiedzieć mu prawdę. Kto wie, może Antoni wbrew pozorom będzie potrafił jej jednak pomóc.

– Ciekawam poznać księcia Józefa Poniatowskiego. Opowiadano mi o nim doprawdy barwne historie, ale żaden z zasiadających tu panów nie wydaje się księciem o takiej sławie – odparła z uśmiechem.

– Bo i nie dojrzysz tu księcia. Lubuje się on w wielkich wejściach, a nie chcąc zapewne być

przycmionym przez cesarza, postanowił przybyć później w blasku chwały. – Podolski przewrócił oczami i Émilie doszła do wniosku, że z księcia musi być straszny bufon. Mimowolnie parsknęła śmiechem.

– Powiedz raczej, że jest zazdrosnym o sławę, zapatrzonym w siebie fircykiem.

– Tak bym tego nie ujął – odparł Podolski z namysłem i uśmiechnął się tajemniczo. – Znam jego książęcą mość i uwierz, że ma to, czego brak większości ludzi tu zgromadzonych, a mianowicie zdrowy rozsądek i dość skromności, by umniejszać swe zasługi. Jednakowoż kogo nie zepsułyby pochlebstwa płci pięknej i tych wszystkich, którzy liczą, że uszczkną co z książęcego stołu?

Zanim Émilie zdążyła odpowiedzieć, zakończono posiłek i ruszono tłumnie do sali balowej, gdzie zarządzono kontredansa. Cesarz stanął do niego w pierwszej parze z jakąś bladą gęsią przeciętnej urody. Émilie miała ochotę zakląć, zamiast tego nadepnęła obcasem na but Podolskiego. Mężczyzna syknął, choć zapewne ledwie odczuł miękki pantofel przez skórzane buty.

– Zapłacisz mi za to – warknął i ujął ją pod ramię, żeby niemal siłą zawlec pomiędzy tańczących. Orkiestra zagrała pierwsze takty i partnerzy ukłonili się sobie, po czym rozpoczęli taniec polegający na serii przejść, obrotów i zmian partnerów, przerywanych kłaśnięciami. Podolski położył jej ponownie dłoń na plecach i lekko ją pchnął.

– Przestań mnie popychać – wymamrotała przez zęby, z szerokim uśmiechem, choć ze złości się w niej gotowało. Usiłowała obserwować salę i zgromadzonych w niej ludzi, ale zwałista postać partnera jej to uniemożliwiała. – Umiem tańczyć.

– To się jeszcze okaże. – Objął ją i okręcił.

Na szczęście nastąpiła zmiana partnera, a potem kobiety spotkały się na środku, więc mogła zebrać myśli. Ta bledziutka dziewczyna skromnie patrzyła w ziemię, kiedy Napoleon prowadził ją z błyskiem w oku, a potem nie odrywał od niej chmurnego spojrzenia. Nie przypominał już tego mrukowatego, skupionego na sobie mężczyzny. Émilie umiała rozpoznać człowieka zdeterminowanego, by osiągnąć cel, nawet jeśli tym celem miało być zaciągnięcie kobiety do łóżka. Nie wiedziała, czy jej mocodawców zainteresuje to, że Napoleon prawdopodobnie właśnie znalazł sobie kolejną, tym razem polską kochankę, ale była niemal pewna, że o takie smaczki im chodziło, gdy wysyłali ją na ten bal.

Kolejny raz tego wieczoru miała szczerą ochotę zakląć po żołniersku, zwłaszcza że wpadła ponownie w ramiona zadowolonego z siebie Podolskiego, który objął ją i przycisnął, gdy partnerzy stanęli przodem do siebie. Musiała przyznać, że był dobrym tancerzem. Poruszał się z gracją i zwinnością dzikiego zwierzęcia, na co kompletnie nie wskazywała jego postura żołnierza. Ich oczy spotkały się, gdy stanęli na wprost siebie, zaś serce Émilie znowu przyspieszyło. Ten człowiek był niebezpieczny. Zagrażał nie tylko jej planom, ale przede wszystkim jej samej, samotnej kobiecie w obcym mieście.

Jakkolwiek by się od niego opędzała, ciągle kręcił się w pobliżu. Aż zmyliła krok, co przyjął cichym mruknięciem, bo musiał ją podtrzymać. Wtedy dotarło do niej, że mógł wiedzieć, skąd się tu wzięła i jakie są jej motywacje. Znała tylko jeden sposób, by się dowiedzieć, co wie Podolski i być może wykorzystać go do swoich celów. Przecież chwalił się, że zna księcia, więc istniała szansa, że pomoże jej w znalezieniu się w otoczeniu Poniatowskiego. Musiała tylko owinąć go sobie wokół palca, co nie powinno nastroczać trudności, zważywszy że Antoni sam się do niej przyczepił i najwyraźniej nie miał zamiaru odpuszczać. Uśmiechnęła się słodko i zalotnie.

Wreszcie kontredans dobiegł końca. Zdyszana, rozemocjonowana i spięta z powodu tego, co miała zamiar zrobić, chwyciła mężczyznę pod ramię, wywołując na jego twarzy zaskoczenie.

– Czyżbyś chciała mnie za towarzysza dzisiejszej zabawy?

– Nie obiecuj sobie zbyt wiele – odpowiedziała z kokieteryjnym uśmieszkiem, ale pociągnęła go w miejsce, które wypatrzyła wcześniej. Niewielkie pomieszczenie, gdzie wchodziło się z klatki schodowej, rodzaj bocznego korytarza łączącego zapewne dwa apartamenty.

Drzwi cicho skrzypnęły, gdy je zamknął Podolski, a ciemność rozpraszana poblaskiem z ulicznych latarni otuliła ich jak miękkie futro. Émilie nie zdążyła zarzucić Antoniemu ręk na szyję, kiedy spadł na jej twarz deszcz delikatnych pocałunków. Zaszumiała jej krew w uszach, wspięła się na palce i zapomniała, po co się tu znalazła sam na sam z tym mężczyzną. Pozwoliła sobie na zaspokojenie pragnień, a jemu na to, by bezkarnie mógł jej dotykać, odkrywając od nowa każdą

wypukłość i załamanie jej ciała.

– Nie wiem, jak ty to robisz, kobieto, ale myślę tylko o tobie – szeptał jej gorączkowo do ucha. – Nienawidzę budzić się z pustymi rękami, w których trzymałem twoje piersi we śnie. – Na potwierdzenie tych słów jego dłoń odszukała jej pierś.

Émilie jęknęła i odchyliła głowę, żeby jego usta mogły odnaleźć jej szyję.

– Nie uciekaj przede mną, proszę... – Musnął jej ucho.

– Nie uciekam. Jestem tu – odpowiedziała i poszukała jego ust.

– Chcę cię chronić przed tym, czego się boisz.

Zesztywniała nagle, a żar płonący w jej ciele zogniskował się w dole brzucha. Przypomniała sobie, dlaczego tu jest i jaki ma cel. Nie było w jej życiu miejsca na uczucia, nawet jeśli to miało być tylko pożądanie. Zauważył to, bo zatrzymał się w szaleńczym tańcu i objął ją zupełnie inaczej, raczej jak ktoś, kto chce dodać otuchy niż jak namiętny kochanek. Przymknęła oczy i zatopiła się w ciepłe jego ramion.

– Przy mnie nie musisz się niczego bać.

Chciała mu wierzyć, jednak coś jej podpowiadało, że Podolski jest jak wąż i wślizgnie się wszędzie, rozsmarowując swój urok osobisty niczym miód wabiący naiwne dziewczęta. Tyle że ona nie była już ani dziewczęciem ani naiwną trzpiotką, dlatego musiała grać swoją rolę wbrew wszystkiemu, czego pragnęła i do czego może nawet zaczynało się wrywać jej serce.

– Wiem. Dwa razy uratowałaś mi życie – westchnęła. – Już dość dla mnie zrobiłaś.

– Skąd ty się tu wzięłaś? – Podolski odszukał jej usta i kolejny raz ledwie je musnął. – To najgłośniejszy bal w Warszawie. Żeby zdobyć tu zaproszenie, trzeba być bogatym lub dobrze urodzonym. Najlepiej jedno i drugie.

Odwzajemniła pocałunek, zanim odpowiedziała, zyskując tym czas na znalezienie wytłumaczenia. Cieszyła się, że w ciemnościach nie widać wyrazu jej twarzy ani paniki w oczach. Mocniej go objęła, żeby nie mógł zadawać jej kolejnych pytań. Nie przewidziała, że Podolski będzie drażył i dopytywał, a przecież już nie raz usiłował wyciągnąć z niej prawdę. Równie dobrze mógł grać tak jak ona, byle dowiedzieć się czegoś nowego. Zmroziło ją.

– Nie zapominaj, że jestem Francuzką. Zaopiekowano się mną tu dobrze i pewnie tak zostanie, dopóki nie wrócę do kraju. Tu wszędzie są Francuzi.

Podolski chwycił ją za pośladek i przycisnął do siebie mocniej.

– Mógłbym cię teraz...

– Nie tu, Antoni – wysapała.

– Francuzów tu pełno od czasu, kiedy wasz król znalazł w Warszawie bezpieczną przystań – szeptał pomiędzy pocałunkami.

Émilie poczuła ulgę, bo najwidoczniej Podolski złapał się na jej historyjkę. Wiła się w jego ramionach, czując, że wbrew temu, co podpowiada jej rozum, ma ochotę na coś więcej niż te kilka pocałunków. Zatracała się w tym, choć walczyła ze sobą z całych sił. Dotąd tylko w ramionach jednego mężczyzny czuła się bezpieczna, ale nawet wtedy nie miała wrażenia, że ogarnia ją płomień, rodzący się w jej wnętrzu. Kiedy Podolski szarpnął jej suknię do góry i poczuła na udzie jego gorące palce, jęknęła cicho.

– Antoni... – wyrwało jej się.

– Chodźmy stąd – kusił. – Spełnię każde twoje życzenie. Zrobię, co tylko zechcesz.

Nie musiała się długo zastanawiać, jakie akurat w tym momencie ma życzenie, mimo to przyłgnęła całym ciałem do Podolskiego i zatopiła się w długim, namiętym pocałunku. Dopiero po kilku minutach oderwała się od jego ust i wyszeptała:

– Chciałabym poznać księcia Poniatowskiego.

Podolski zamarł.

– Nie wystarczy, że zobaczyłaś cesarza? Ilu śmiertelników może się pochwalić tym, że bawiło się na tym samym balu co Napoleon? – mówiąc to, drażnił jej ucho ciepłym oddechem, aż z przyjemności zapominała, o co jej dokładnie chodziło. – Książę nie ma zbyt dobrej opinii, jeśli idzie o kobiety. Nie chcę, żebyś znalazła się w jego pobliżu.

– Czyżbyś był zazdrosny, Antoni? – Teraz ona szeptała do jego ucha, trącąc je wargami. – A może to jest poza twoimi możliwościami, bo jeśli tak...

– Jestem tylko skromnym żołnierzem, który miał sposobność poznać księcia, lecz nie sądzę, by on mnie zapamiętał – wszedł jej w słowo. – Ale znam kilka dam z towarzystwa, które znają Marię Teresę Tyszkiewiczową, siostrę księcia, a ta z kolei jest blisko z Talleyrandem. Przedstawię cię im, by twoje marzenie rychło się spełniło.

Émilie drgnęła na dźwięk znajomego nazwiska. Czyżby to była przypadkowa zbieżność, a może Tyszkiewicz jednak miał kogoś z rodziny w pobliżu księcia, choć niekoniecznie ten ktoś mógł być przychylny jego sprawie. Jednocześnie miała ochotę zaśmiać się w głos. Mężczyzna w rękach kobiety jest jak kukielka, jak pupilek na sznurku. Pozwoliła sobie zapomnieć się jeszcze na jedną rozkoszną chwilę, żeby odsunąć w końcu coraz natarczywiej dobierającego się do niej Podolskiego. Otrzeźwiła ją myśl o prześladowcy przetrzymującym jej dziecko.

– Mamy czas, najmiłszy. Nie tu i nie tak.

Opuścili bezpieczną kryjówkę, żeby wrócić do sali balowej. Émilie starała się ignorować te wszystkie muśnięcia, ledwie zauważalne, ale wyczuwalne dowody zainteresowania ze strony Podolskiego, i jednocześnie obserwować otoczenie, a zwłaszcza Talleyranda i cesarza, co nie było trudne, ponieważ minister, wierny jak kulawy pies, nie opuszczał swego pana nawet na krok. Może z wyjątkiem chwil, w których ten porywał do kolejnego tańca Walewską, bo takie nazwisko dobiegło uszu Émilie, powtarzane tysiącem ust. Francuzka uśmiechała się do kobiety życzliwie i pocieszająco, bo ta nie wyglądała na zachwyconą nagłym zainteresowaniem Napoleona. Wreszcie w czasie przerwy pomiędzy tańcami, gdy cesarz, zajęty rozmową z jakimś arystokratą i śledzący nieustannie uważnym spojrzeniem Walewską, znalazł się w bezpiecznej od niej odległości, Podolski w ten irytujący i zarazem podniecający sposób wyszeptał do ucha Émilie, że teraz jest dobry moment, po czym pociągnął ją lekko za łokieć w stronę grupy kobiet.

Ich toalety mieniły się nasyconymi kolorami i oślepiały bogactwem klejnotów, ale Émilie wcale nie miała kompleksów z tego powodu. Widziała zazdrosne spojrzenia, które, choć starannie maskowane przez przesłodzone uśmiechy i życzliwe gesty, nie były spowodowane tym, co na sobie miała, a raczej tym, jak wysoko nosiła głowę, świadoma swej egzotycznej urody błyszczącej niczym diament. W jej przypadku oprawa drogiej kreacji nie przydawała blasku, a jedynie eksponowała atuty – zgrabną figurę, ciemne, naturalnie kręcone włosy, bystre, lśniące oczy i jasną cerę.

– Kogóż to moje zmęczone oczy widzą?! Nasz piękny Antoni! – zwróciła się do nich po francusku starsza kobieta o dziwnym, przerażająco nieruchomym oku, lekko przesłoniętym lokami, kiedy zbliżyli się do niej z Podolskim. Było w tym jej jedynym oku jakieś szaleństwo, odwaga, brawura, mimo że musiała liczyć przynajmniej czterdzieści lat. Émilie odczuła w niej bratnią duszę, kogoś siłą wciągniętego w wir wydarzeń wbrew własnej woli. Kobieta wyciągnęła rękę w kierunku Podolskiego, a ten z nabożną czułością złożył na niej pocałunek, po czym wskazał na Émilie.

– Jaśnie pani, niech mi wolno będzie przedstawić moją towarzyszkę, Émilie de Bériet. Hrabina Maria Teresa Tyszkiewiczowa.

Émilie dygnęła, kornie opuszczając wzrok i z trudem panując nad śmiechem, dostrzegła bowiem, jak jedna z kobiet kokietuje spojrzeniem Antoniego, a ten pąsowieje, udając, że tego nie dostrzega. Nie była brzydka, lecz po prostu jej uroda, a wraz z nią wiek, zostały skutecznie zamazane przez warstwy pudrów i mazideł, wymyślną kreację oraz wytworną perukę, bo ewidentnie jej włosy nie były naturalne. Émilie była przekonana, że Antoni musiał się przewinąć przynajmniej przez część łóżek i buduarów kobiet, które tu się bawiły. Inaczej nie otrzymałby zaproszenia. Rodzina Podolskich nie należała do zbyt znacznych, ale odpowiednie znajomości wśród wysoko urodzonych mogły zaowocować w przyszłości wspaniałą karierą.

– Cóż to za urocza istota, mój drogi Antoni? Czyją jest siostrą, a może żoną... – Ewidentnie ta dziwna kobieta bawiła się dobrze kosztem Podolskiego, teraz już tak skutecznie zawstydzonego, że Émilie aż poczuła jego bezwiednie zaciskającą się na jej plecach dłoń.

– Za pozwoleniem waszej miłości – odezwała się Émilie – zawdzięczam życie temu oto kawalerowi, który był mnie uratował przynajmniej dwa razy.

– Byłaby to prawda, Antoni?

Weszła jej zaraz w słowo nieco młodsza, pulchna i uderzająco piękna brunetka o oczach jak gwiazdzista noc. Antoni przedstawił ją jako Annę Licheńską.

– Choć nie raz nasz drogi Antoni dokazywał odwagi i sprawności swego oręża, o którym krążą legendy, to trudno uwierzyć, że tak wdzięczna istota mogła go do czynów bohaterskich przywieść zupełnie bezinteresownie. – Ciemnowłosa wbiła błyszczące źrenice w Podolskiego, a ten wydał wargi jak przyłapany na gorącym uczynku chłopiec, na co Émilie miała ochotę zareagować parsknięciem śmiechem. W ostatniej chwili opuściła jednak wzrok i przysłoniła twarz wachlarzem. Hrabina, której przedstawił ją Antoni, zauważyła jej reakcję i uśmiechnęła się dobrotliwie.

– Zaręczam ci, pani, że wszystko, czegom dokonał dla mej towarzyszki, było bezinteresowne i szczerze. Kierowało mną jedynie uczucie, w co zapewne trudno uwierzyć komuś, kto uczuciem gardzi – odciął się Antoni, a Émilie uważnie mu się przyjrzała.

Raczej nie podejrzewała go o takie wyznania, w dodatku czynione publicznie. Domyśliła się, że zapewne chodziło wyłącznie o to, by dokuczyć byłej kochance. Hrabina Tyszkiewiczowa zachichotała jak nastolatka, nie mogąc się powstrzymać, natomiast adresatka riposty zmrużyła oczy niczym kot. Już nie wyglądała tak uroczo jak przed momentem. Émilie miała wrażenie, że za chwilę rzuci się Podolskiemu do gardła i wysie z niego krew, ale ten skupił się na starszej z kobiet.

– Towarzyszki mojej wielkim pragnieniem jest poznać jego wysokość księcia...

Nie doczekali się jednak reakcji kobiety, bo oto od drzwi dał się słyszeć dziwny szum, a tłum zaczął falować i rozstępować się jak Morze Czerwone. W drzwiach największej z sal balowych pałacu, gdzie trwał kolejny kadryl, pojawiła się grupa mężczyzn, pięknych, wykwintnych i pewnych siebie. Przewodził im przystojny, choć niemłody już brunet z niewielkim, acz bardzo przydającym mu szyku wąsikiem, o sprężystej sylwetce i wejrzeniu naznaczonym znużeniem i rodzajem nostalgii za tym, co dawno minęło.

Émilie, podobnie jak większość kobiet, skupiła na nim całą swoją uwagę, aż uniosła się na palcach, by lepiej widzieć go pomiędzy ludźmi. To musiał być on, książę Pepi, jak o nim mówiono w towarzystwie. Jakież było jej zdziwienie, gdy razem ze swą siostrą podszedł prosto do nich. Zapewne wcześniej oddawał honory cesarzowi, czego skutkiem był ów szum i podniesione głosy, a teraz przybył do głównej sali, by powitać pozostałe wysoko urodzone towarzystwo. Damy, z którymi rozmawiali, gdy się pojawił, witały go wylewnie, a on był czarujący, miły i komplementował je w sposób absolutnie niewymuszony. Kiedy jego wzrok padł na Émilie, jej serce zabiło szybciej. Może nie był już młody, ale wciąż zachował posturę młodzieńca. Nie od razu też było widać, że nosi tupecik, co tylko świadczyło o kunszcie tego, kto dbał o jego fryzurę.

– Ładnie to ukrywać takie klejnoty, drogie panie? – zwrócił się do kobiet, ale patrzył tylko na nią. Podolski chrząknął znacząco, co Poniatowski zbył machnięciem ręki. Émilie ukloniła się, skromnie opuszczając wzrok i ignorując dłoń Antoniego na swoich plecach.

Zaraz hrabina Tyszkiewiczowa przedstawiła Émilie oraz Podolskiego księciu, który wykorzystał moment i zaprosił ją do właśnie rozpoczynającego się kadryla. Oczywiście nie mogła odmówić, choć Podolski wyglądał tak, jakby miał zamiar skoczyć z okna pałacu. Zaciskał dłonie i rzucał gromy wzrokiem.

– Z panem Podolskim mieliśmy przyjemność, ale pani jest jak kwiat świeżo wyrosły w ogrodzie pełnym chwastów – zagadnął ją, jednak kolejna figura oddaliła ich od siebie na tyle, że Émilie nie mogła nic odpowiedzieć.

– Wasza książęca miłość jest dla mnie zbyt łaskawy – rzuciła po chwili w półobrocie.

– Zapewniam, że mówię szczerą prawdę. – Poniatowski skłonił się wdzięcznie, przechodząc do następnej figury. Choć był pięknym mężczyzną, który z pewnością zdawał sobie z tego sprawę, Émilie miała świadomość, że mimo wszystko jej wzrok uciekał w stronę Podolskiego stojącego z chmurną miną w samotności. Nie zaprosił do tańca żadnej kobiety, za to nie spuszczał z niej oczu.

W tym momencie książę objął ją i ruszyli w kolorowym korowodzie w płasy wokół sali. Ledwie mogła złapać oddech. Poniatowski jednak nie wyglądał na zmęczonego.

– Pułkownik Podolski chyba ma zamiar wyzwąć mnie na jaki pojedynek – zaśmiał się książę,

gdy zwolnili tempo.

Émilie musiała odetchnąć, zanim odpowiedziała. Rzeczywiście Antoni był teraz blady i nie ukrywał nawet zaciśniętych pięści, ale zaintrygowało ją coś innego.

– Nie wiedziałam, że mój towarzysz jest pułkownikiem.

Książę odpowiedział dopiero po kolejnym obrocie.

– Nie pochwalił się damie, że otrzymał patent od samego cesarza po bitwie pod Pułtuskim? – zdziwił się Poniatowski, na co Émilie zdążyła jedynie pokręcić głową.

– Otóż skromny człowiek. Powinno się hucznie świętować takie wydarzenia, a nie ukrywać je przed światem.

– W czasie wojny, gdy wszystkie siły skupione są na walce, zapewne nie w głowie żołnierzowi świętowanie. – Odeszła kilka kroków w tył, a kiedy wróciła do partnera, on odpowiedział:

– Zawsze jest dobry czas na przyjemności ducha i ciała, moja droga. Życie jest zbyt krótkie, żeby o tym zapominać.

Émilie uśmiechnęła się pobłaźliwie. Z jednej strony miała ochotę powiedzieć coś niestosownego, z drugiej musiała wykazać się umiejętnościami dyplomatycznymi i nie zepsuć dobrego wrażenia, jakie wywarła na księciu. W końcu powiedziała:

– Życie jest zbyt krótkie, by trwonić je wyłącznie na rzeczy błahe, wasza miłość.

Książę zmarszczył brwi i potaknął, wykonując kolejną figurę.

– Zapamiętam tę sentencję. – Słowom tym towarzyszyło uściśnięcie palców, na które Émilie zareagowała skromnym opuszczeniem wzroku.

Muzyka umilkła i Poniatowski skłonił głowę, a następnie odprowadził swoją taneczną partnerkę w stronę Podolskiego i grupy kobiet. Dopiero teraz Émilie zorientowała się, że niemal wszystkie twarze są zwrócone na nią i księcia, a za kurtyną wachlarzy i uśmiechów sypią się kąśliwe uwagi i drobne złośliwości.

– Zwracam pański skarb, pułkowniku. Proszę strzec go, żeby kto się na niego nie połakomił. – Poniatowski podał rękę Émilie Podolskiemu, mrużąc oczy jak kot. – Zgłaszając się do mojej kancelarii w wiadomej sprawie, proszę zabrać ze sobą pana uroczą towarzyszkę. – Gdy to mówił, rzucił Émilie powłóczyście spojrzenie.

– Wasza miłość... – warknął tylko Antoni, a oczy zabłyśły mu niebezpiecznie, gdy książę się odwrócił. Émilie zaś miała nieodpartą ochotę zaśmiać się z mężczyzn zachowujących się jak koguty rywalizujące o prymat w kurniku. Tyle że Podolski doskonale wiedział, że gdyby Poniatowski postanowił ją uwieść, on sam nie miałby kompletnie żadnych szans, natomiast ona nie miałaby zbyt wiele do powiedzenia, bo nawet nie wypadałoby nie ulec.

Także Émilie zdawała sobie z tego sprawę i ze współczuciem patrzyła teraz na młodą kobietę, której swoje względy raczył okazać cesarz i która nijak nie mogła się od niego opędnąć, a wyglądała na coraz bardziej nieszczęśliwą i skonfundowaną tymi zalotami. Owszem, mogło to schlebiać jej jako polskiej hrabinie, może nawet jako kobiecie, ale jako istota ludzka musiała czuć się nieszczęśliwa, postawiona pod ścianą i zniewolona. W dodatku całe to głośnie, zepsute do szpiku kości i rozpasane towarzystwo patrzyło na nią z zawiścią pomieszaną z nadzieją, że oto cesarz znalazł w tym zimnym, niegościnnym i przygnębiającym kraju, którego de facto nie ma, obiekt zainteresowań mogący go tu zatrzymać na dłużej, a być może i zwrócić uwagę cesarską na interesy Polski. Już teraz Émilie zastanawiała się, co może to oznaczać dla niej i jej spraw i na ile to zainteresowanie Napoleona będzie trwałe.

– Chodź. – Podolski ujął jej ramię i próbował pociągnąć za sobą, ale zapała się obcasami.

– Ani myślę – rzuciła i wyszarpnęła mu się.

Pochylił się nad nią i wysyczał prosto do ucha:

– Chodź ze mną albo nie rękę za siebie.

Zrobiła krok w tył, choć dobrze usłyszała, że Podolski ma odwiedzić Poniatowskiego, a dla niej było to niebywałą okazją. Tylko trzymając się Antoniego, mogła coś ugrać i wywiązać się ze swego zadania, jednak ton jego głosu zadziałał na nią jak uderzenie w gniazdo os.

– To, że pozwoliłam ci się pocałować, nie znaczy, że będę teraz na każde twoje zawołanie –

odpowiedziała, twardo na niego patrząc.

Mierzył ją czarnymi jak noc oczyma. Niemal mogła zobaczyć, jak walczy ze sobą, jak się łamie, żeby wreszcie spokojnie poprosić ją o kolejny taniec. Skinęła głową i pozwoliła zaprowadzić się na środek sali, gdzie inni tancerze ustawiali się już do kolejnego kadryla.

– Czego chciał książę? – Podolski nie wytrzymał i przy pierwszej sposobności zaczął drażnić.

– Rozmawialiśmy o powinnościach i przyjemnościach – powiedziała z przekorą.

– Jakiego rodzaju przyjemnościach?

– Duchowych i cielesnych. – Śmiała mu się prosto w twarz, co rozsierdziło go jeszcze mocniej.

Ruchy miał teraz nieostrożne, mylił kroki, a od zaciskania zębów drgał mu mięsień na policzku. Książę tymczasem tańczył z kim innym, zupełnie nieświadomy tego, jak bardzo zrujnował humor pułkownikowi.

– Nie chcę, żebyś wpadła w jego sidła. To niebezpieczny człowiek – wydusił Antoni przy kolejnym piruecie.

– Doprawdy? Zrobił na mnie dobre wrażenie. – Z uśmiechem obróciła się i odeszła kilka kroków.

– Ostrzegam, jeśli cię dotknie... – Palce Antoniego zacisnęły się na jej dłoni, którą akurat uchwycił.

– Och, Antoni, chyba nie sądzisz, że możesz mi czegokolwiek zakazać.

– Nie wypada, żeby młoda kobieta... – Nie dosłyszała, co mówił, bo oddalił się ponownie, żeby wykonać ukłon.

– Więc chcesz grać rolę mej przyzwoitki – zaśmiała się dyskretnie. Coraz bardziej bawiła ją ta rozmowa.

– Chcę cię ustrzec przed popełnieniem błędu i zaangażowaniem się w znajomość, która nie spełni twych oczekiwań.

Muzyka umilkła, więc musieli odejść na stronę, by kontynuować rozmowę. Już nie wzbudzali niczyjzego zainteresowania, bo cesarz i Walewska oraz roześmiany książę w otoczeniu grona młodych kobiet o zaróżowionych emocjami i tańcem policzkach, a może i nadzieją na coś więcej niż flirt, przykuwali całą uwagę towarzystwa, mocno już rozochoczonego, rozgrzanego i zachowującego się nazbyt swobodnie.

Émilie i Antoni zatrzymali się w jednej z nisz utworzonych przez portfenetr osłonięty kotarami. Z sąsiedniej wnęki, mimo gwaru rozmów, dobiegały ich westchnienia i jęki. Francuzka domyśliła się, że jakaś para skryła się podobnie jak oni, tyle że postanowiła przyjemniej spędzić czas.

– Skąd wiesz, jakie są moje oczekiwania względem księcia? A może względem mężczyzn? Zbyt słabo mnie znasz – odparowała Antoniemu.

– Nie sądziłem, że jesteś jedną z tych... – Podolski nie dokończył, ale popatrzył na nią ze wstrętem, aż zachciało jej się śmiać.

– Myślisz, że jestem jedną z tych kobiet, które do tej pory przechodziły przez księżęcą, a może i twoją sypialnię. Kobiet, których jedynym celem jest używanie życia, póki są dość ładne i dość rozchwytywane, by kupczyć swym ciałem, sprzedając się za odrobinę zainteresowania. Kobiet, które karmią się wzdychaniem mężczyzn, którzy z kolei udają, że pragną im dać coś więcej niż chwilowy romans. – Wydeła pogardliwie wargi. Im dłużej mówiła, tym mocniej dochodziły do głosu tłumione emocje. – Brzydzę się tym teatrem, tym bezmyślnym tokowaniem, tym... – zrobiła okrągły ruch ręką i z błyskiem w oku dodała – ...wszystkim. Potrzeba czegoś więcej niż sława i pieniądze, by przykuć moją uwagę.

– Czegóż mianowicie?

– Siły charakteru, bohaterstwa, odwagi na miarę patentu pułkownika – rzuciła bez namysłu i zaraz pożałowała tych nieopatrznie wypowiedzianych słów, bo twarz Podolskiego rozjaśniła się w uśmiechu.

– Skąd wiesz?

– Jak myślisz?

– Od księcia – stwierdził.

– Nie chwalisz się tym.

– Nie ma czym. Mam większe ambicje. – Uniósł wysoko głowę. – Więc twierdzisz, że to ma dla ciebie znaczenie. – Wyglądał na mocno z siebie zadowolonego.

– Z pewnością większe niż puste komplementy.

Antoni nachylił się nad nią tak, że kiedy mówił, dotykał wargami jej ucha. Znowu odniosła to wrażenie, że jest jak beczka prochu, która mogłaby eksplodować w rękach tego mężczyzny, i że przez niego będzie miała kłopoty. Nie mogła sobie pozwolić na uleganie własnym namiętnościom, jednak ciało reagowało bez udziału jej woli.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo pragnę cię teraz stąd zabrać – szepnął.

– Więc zabierz – rzuciła, odważnie patrząc mu w oczy i zdając sobie sprawę, że popełnia ogromny błąd. Miała być czujna, miała zbierać informacje, tymczasem właśnie ulegała mężczyźnie, którego powinna wykorzystać i porzucić. Na swoje usprawiedliwienie miała tylko to, że skorzystała na znajomości z nim, a kiedy osiągnie swój cel, wyjedzie jak najdalej i o nim zapomni.

IV

Powóz kołysał się na wybojach, czasem podskakiwał i przechylał się niebezpiecznie, ale ani Antoni, ani Émilie nie zwracali na to uwagi, zatopieni w niekończących się pocałunkach. Podolski nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie dotrą do jego mieszkania. Szarpał się z jej suknią i bielizną, usiłując dotknąć nagiego ciała, ale kobieta powściągała jego zapędy.

– Poczekaj – szeptała – jeszcze nie teraz.

– Nie wytrzymam dłużej – sapnął, kiedy zębami chwycił za płatek jego ucha.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? Możesz potem żałować... – szeptała.

– Wolę żałować, że z tobą byłem, niż żałować, że pozwoliłem ci odejść.

– Nic o mnie nie wiesz, nie wiesz, kim jestem.

– Wiem tylko, że jesteś najwspanialszą kobietą na ziemi i że cię pragnę, słodka Émilie.

Zaśmiała się gardłowo.

– Pięknie kłamiesz, Antoine.

– Uwielbiam, kiedy nazywasz mnie w ten sposób. – Musnął językiem jej szyję, a ona odchyliła głowę. – Mówię szczerą prawdę.

– Podobnie jak setce kobiet przede mną – jęknęła.

– Nie wyglądasz, jakby ci to miało przeszkadzać. – Wargami pieścił jej nagie ramię.

– Czemu miałyby przeszkadzać? Jesteśmy tu dla przyjemności – zakończyła, szukając jego ust.

Jej zapach i smak uderzały mu do głowy coraz mocniejszymi falami. Badał jej ciało przez materiał sukni, szukał i chciwie całował. Wtedy, w gospodzie, zaskoczyło go, że pod warstwami ubrań jest taka szczupła, ale dopiero dziś odkrył wszystkie przyjemne dla rąk krągłości, których natura jej nie poskąpiła. W każdym jej ruchu, każdym jęknięciu, pieszczocie, którymi mu odpowiadała, czuł, że Émilie jest świadoma swej mocy, gotowa i szczerą w tym, co robi. Miewał wiele kobiet, dziewcząt, nawet matron, ale nagle zrozumiał, że wszystkie traktował jak przedmioty służące rozrywce i zaspokajaniu własnych żądz. Niewiasty zaś, nawet jeśli grały trudne do zdobycia, to był w tym fałsz, sztuczność, była udawana skromność i sporo umiejętności aktorskich.

Émilie nie grała ani nie siliła się, by robić wrażenie sztuką uwodzenia czy też wymyślnymi pieszczotami. Ona go pragnęła wbrew sobie – uderzyła go ta nagła myśl, aż zamarł na chwilę, co ona natychmiast zauważyła. Słyszał jej przyspieszony oddech, czuł go na swojej szyi, w którą wtulała się ustami.

– Antoine? – To jedno słowo wywołało w nim nową burzę uczuć. Mogła tylko powtarzać jego imię i było to bardziej podniecające niż widok stu szlachcianek defilujących przed nim nago. Objął dłońmi jej twarz i wpił się w jej usta łączywie, jakby chciał wchłonąć ją w siebie, zamknąć, zatrzymać. Nie rozumiał tego, bo dotąd nie przeszkadzało mu to, że był jednym z wielu. Ba, nawet ze Śniegockim dzielili się kobietami. Na samą myśl o tym, by pozwolić komukolwiek dotknąć Émilie, rosła w nim żądza krwi.

Powóz zatrzymał się płynnie, a Émilie chwyciła jego dłoń. Całując się i zatrzymując co chwila, znaleźli się w jego mieszkaniu. Antoni nie dbał już o nic. Normalnie nie potrzebował nawet łóżka, ale tę kobietę chciał widzieć w białej pościeli, chciał zasnąć obok niej i nie wyobrażał sobie, że pozwoli jej

odejść nad ranem. A może nawet kiedykolwiek. Po cichu liczył, że nasyci się nią i wszystko wróci na dawne tory. Wolał nie myśleć, że skończy się to inaczej. W ogóle wolał nie myśleć. Oderwał się od niej na chwilę, by zapalić świecę.

– Nie, Antoni – cicho zaprotestowała.

– Chcę cię widzieć. – Omiótł wzrokiem jej ciało, prześliznął się po opuchniętych od pocałunków ustach, po dekolcie z prawie nagimi piersiami, po biodrach i dopiero wtedy porwał ją w ramiona.

Chciał ją czuć wszystkimi zmysłami i na tym się skupił, gdy wreszcie naga spoczęła pod nim z rozrzuconymi na poduszce lokami, zdyszana, podniecona, gdy przyciągnęła go do siebie i kiedy się w niej zatopił. A kiedy zasypiał, obiecując sobie, że powtórzy wszystko nad ranem, objął ją dla pewności, by mu nie umknęła, by czuć każde jej drgnienie. Mimo to o świcie obudził się w łóżku sam. Uderzył pięściami w uda i zaklął pod nosem. Emilie mu uciekła i nie miał pojęcia, gdzie jej szukać.

ROZDZIAŁ V

I

Antoni postanowił nie czekać na zaproszenie do pałacu Pod Blachą, gdzie rezydował książę Józef Poniatowski, bo i skąd ktoś miałby wiedzieć, gdzie zatrzymał się nie tak znowu ważny oficer. Miał do wypełnienia zadanie, o czym zdążył już księcia powiadomić jego adiutant, Józef Szumlański, znajomy Antoniego z czasów spędzonych w Korpusie Kadetów. Bez pomocy księcia to zadanie mogło być trudne do zrealizowania, o ile w ogóle możliwe. Pułkownik wystroił się więc w galowy mundur, starannie ogolił i zadbał o to, by wysokie skórzane buty lśniły z daleka.

Z jednej strony cieszył się, że Émilie nie będzie mu towarzyszyła, a przez to Poniatowski o niej zapomni. Z drugiej jednak łapał się na tym, że myśli o niej i wcale nie nasycił się nią tak, jak się spodziewał. Gdziekolwiek się obrócił, czuł jej zapach i widział jej duże, poważne błękitne oczy, w których kryła się tajemnica.

Książę był znany z tego, że oficerowie mieli wolny wstęp do jego pałacu, nie tylko na odbywające się tam często bale w sezonie karnawałowym. Jedynie adiutanci regulowali ruch niezliczonej liczby petentów pojawiających się przed obliczem księcia. Antoni został zaprowadzony do pokoju adiutantów, gdzie urzędował Szumlański. Dzięki temu nie musiał długo czekać, by spotkać się z księciem.

Poniatowski zasiadał za ogromnym biurkiem pokrytym stosami papierów i rulonami map. Za jego plecami pyszniła się szafa wypełniona książkami. Pomieszczenie poza tym zagracone było zbieraniną dość przypadkowych mebli, co Antoni zauważył już wcześniej, przechodząc przez korytarze i pokój adiutanta. Widocznie książę nie przywiązywał aż takiej wagi do wystroju wnętrza jak jego stryj król, o którego ekstrawagancjach zarządzanych na zamku krążyły legendy. W powietrzu unosiła się woń tytoniu pomieszana z zapachem, który kojarzył się Antoniemu ze stajnią.

Zajęty podpisywaniem i czytaniem dokumentów Poniatowski nie podniósł głowy, gdy Podolski wszedł do kancelarii, więc oficer cierpliwie czekał, aż ten skończy, posypie dokument piaskiem i poda go z chmurnym czołem stojącemu już obok słudze, który składał wszystko starannie do teczki.

– Że też po wszystkich trzeba poprawiać. Żeby to jeden z drugim we własnym języku bezbłędnie nie potrafił się wypowiedzieć na piśmie, a kraju własnego im się zachciewa – sarknął książę. Wreszcie podniósł oczy na stojącego przed nim Podolskiego i wstał ze swojego miejsca zadowolony. – Kogóż to ja widzę?! A gdzież jest pana wdzięczna towarzysza, pułkowniku?

– Wasza książęca wysokość. – Antoni pobałdł, ale wyprostował się jak struna i skłonił z szacunkiem. Złość zapiekła go w piersiach, lecz mimo to poczuł satysfakcję, że Émilie była jego, a książę mógł sobie co najwyżej o niej pomarzyć. – Jestem tylko znajomym pani de Bérier, której miałem okazję pomóc w opresji, a moja rodzina zajęła się nią po tym, jak zaginął jej mąż.

– Co innego mówili mi moi ludzie, pułkowniku. – Książę rozsiadł się w fotelu i z nieukrywaną drwiną patrzył na Podolskiego, który to czerwienił się, to białł. Jeśli książę zadał sobie trud dopytywania o kobietę, to znaczyło, że nie była ona bezpieczna. Pytanie, czy Émilie uległaby temu bogatemu, utytułowanemu, czarującemu mężczyźnie o powierzchowności i sprawności, których mogli mu zazdrościć wszyscy w Warszawie, a może nawet w całej Europie. Ubrany w mundur, starannie ogolony i ufryzowany, z równym, zadbanym wąsikiem nadającym mu zawiadyki wygląd, stanowił wzór męskości. Antoni doszedł do wniosku, że nie tylko Émilie, ale żadna kobieta nie byłaby w stanie oprzeć się księciu i to go przygniotło do reszty. – Przypadkowi znajomi nie wychodzą razem z balu – dodał Poniatowski, zadowolony z siebie, czym pognębił Podolskiego jeszcze bardziej, a następnie odprawił gestem sługę. – Ale dość o tym. Cóż pana do mnie, pułkowniku, sprowadza? – zmienił temat.

Antoni odchrząknął i skupił myśli na czekającym go zadaniu. Za wszelką cenę musiał opanować szczerą chęć, by przyłożyć księciu, którego mina nie pozostawiała wątpliwości co do intencji względem Émilie.

– Ośmieliłem się zająć waszej książęcej wysokości czas w sprawie służbowej dość delikatnej natury. Sprawie, od której mogą zależeć losy nie tylko tej wojny, toczącej się na naszych niegdyś ziemiach, ale też losy Rzeczypospolitej.

Drwiący uśmiech zniknął z twarzy Poniatowskiego. Wychylił się do przodu, opierając łokcie

na biurku.

– Mów pan, pułkowniku, o co chodzi.

– Po bitwie pod Pułtuskim, w której miałem zaszczyt wziąć udział i któremu to starciu zawdzięczam ostatni patent, miał miejsce dość nieprzyjemny incydent. – Antoni zrobił przerwę dla nabrania oddechu, ale widać zaintrygował Poniatowskiego, bo ten zmarszczył gniewnie brwi i rzucił:

– Przejdź pan do rzeczy, bo czasu szkoda.

– Dowódcy naszej brygady, generałowi Treillardowi, zlecono osobiste nadzorowanie i zorganizowanie transportu dla korespondencji jego wysokości cesarza. Niestety, w potyczce na polach pod Pułtuskim został poważnie ranny.

– I jak to się ma do sprawy polskiej? – niecierpliwził się książę, łypiąc gniewnie na Podolskiego, który czuł się w obowiązku, by dokładnie naświetlić rzecz, żeby nie ryzykować jej zbagatelizowania. Dlatego też niezrażony ciągnął swój wywód.

– Jednakowoż zbiegło się to z dezercją osobistego ordynansa generała, niejakiego Henriego d’Artoisa. Wkrótce też jasne się stało, że wraz z nim zniknęły plany kampanii francuskiej przeciw Rosji w Prusach Wschodnich oraz rzeczona korespondencja cesarska. – Antoni umilkł, dając Poniatowskiemu czas na przetrawienie rewelacji.

Książę rozparł się w fotelu i zamyślił, wpatrując się w punkt za plecami Antoniego.

– Więc chce pan powiedzieć, pułkowniku, że dezerterski ma plany kampanii oraz listy Napoleona – rzekł bardziej do siebie niż do Antoniego. Zaraz jednak skupił swój czujny wzrok na Podolskim. – Cóż takiego było w tej korespondencji i do kogóż była adresowana? Bo chyba nikt nie kruszyłby kopii o listy do kochanek.

– Z tego, co mi wiadomo, wasza książęca wysokość, była to tajna korespondencja skierowana do cara Rosji – powiedział na jednym oddechu Antoni. Nie zdziwił się, zobaczywszy szok malujący się na twarzy księcia, który chwilę milczał, zapewne analizując zasłyszane informacje.

– Chcesz pan powiedzieć, że cesarz za plecami całej Europy spiskuje z carem – podsumował książę, wstając i podchodząc do okna. Wyjrzał przez nie zamyślony i powtórzył: – Spiskuje za naszymi plecami. A to się Małachowski^[6] zdziwi – rzekł, po czym obrócił się do Antoniego. – Bo oczywiście nikt nie wie, co było w listach?

– Sądzę, że skoro to korespondencja poufna, to tylko sam jego cesarska wysokość wie, co tam było. Zaś plany...

– Planów to najmniejszy problem. – Książę przerwał Podolskiemu, machnąwszy ręką. – Planów zawsze można zmienić i zapewne już zostały zmienione, o czym i sam zbieg wie, jeśli ma odrobinę oleju w głowie. Natomiast korespondencja... – Zapatrzył się w okno.

– Za pozwoleniem waszej książęcej mości, w tym rzecz, że nikt nie wie o kradzieży ani planów, ani korespondencji.

– Jak to? – Książę gwałtownie obrócił się do Antoniego.

– Generał Treillard otrzymał patent generała dywizji, zanim doszedł do siebie i zorientował się, co się stało. Ujawnienie kradzieży byłoby równoznaczne z cofnięciem...

– Teraz wszystko jasne! – Poniatowski wszedł Antoniemu w słowo. – Więc nikt, łącznie z cesarzem, nie wie, że ten chłystek ma w dłoni coś, co może zmienić bieg historii.

– Tak jest, wasza książęca mość! – potwierdził Antoni. – Powierzono mi misję odnalezienia tego człowieka, odzyskania dokumentów, zanim trafią w niepowołane ręce, i doprowadzenia zbiega przed sąd.

– Przed sąd? – zdziwił się książę. – Na miejscu Treillarda kazałbym się go pozbyć jako świadka własnej nieudolności! – dodał podniesionym głosem. – Rozumiem, że wtajemnicza mnie pan, pułkowniku, w tę misję nie bez powodu.

– Jako i wasza książęca mość, zdaję sobie sprawę z tego, co może być w tejże korespondencji i jaka może być jej waga dla sprawy naszego kraju. Widząc w osobie waszej książęcej mości człowieka honoru i gorącego patriotę, ale przede wszystkim osobę odpowiedzialną za bezpieczeństwo w mieście, za spokój i porządek, nie waham się prosić o pomoc w odnalezieniu tego zdrajcy, o którym wiadomo, że udał się do Warszawy, zapewne by przehandlować posiadane dokumenty.

Poniatowski podszedł do Antoniego i zajął mu w oczy. Byli jednakowego wzrostu, ale Podolski czuł się jak robak na książęcym bucie, mimo to wytrzymał spojrzenie bystrych oczu, które przewiercało go na wylot.

– Nie jest dla nikogo tajemnicą, że nie wierzę w szczerą intencję Napoleona i w to, jakoby zechciał nam kiedykolwiek pomóc w odzyskaniu wolności. – Poniatowski wrócił za biurko i rozsiadł się w fotelu. – Widzisz, drogi Podolski, z wolnością jest tak, że jeśli my sami jej sobie nie weźmiemy, jeśli o nią nie zawalczymy, nie poniesiemy dla niej ofiary, to nijak nie możemy o niej mówić, czy chociażby marzyć, a z pewnością jej nie docenimy. Ba, nie zauważymy jej nawet, bo ona zaczyna się od wolności jednostki, od jej prawa do samostanowienia. I póki my, jako Polacy, nie nauczymy się być wolnymi, to nie odzyskamy czegoś, czego nie rozumiemy i czego nie cenimy zbyt wysoko, chodząc na postronku Napoleona czy, jak chce imć książę Czartoryski, cara. Teraz jednak widzę, że nie mam wyjścia i chcąc zrobić cokolwiek dobrego dla tego kraju, muszę stwarzać pozory, udawać i czujnie obserwować, a także usilnie udowodniać, żeśmy godni tej wolności i że nie lękamy się o nią zawalczyć. – Książę zamyślił się, zaś Podolski nie bardzo rozumiał, o co mu chodzi.

Owszem, pojmował jego głęboką miłość dla kraju, a tym samym wiedział, że lepiej nie mógł trafić i przeczucie go nie myliło, by zwrócić się do Poniatowskiego o pomoc. Natomiast dopiero później dotarł do niego sens słów księcia, kiedy okazało się, że ten po wielu wahaniach przyjął stanowisko dyrektora Wydziału Wojskowego przy Komisji Rządzącej utworzonej przez Napoleona. Tymczasem zanim Antoni wyszedł z jego kancelarii, książę zlecił swojemu adiutantowi, by wszczął poszukiwania Gaskończyka, nie wspominając o posiadanych przez niego dokumentach.

Jakież było zdziwienie Antoniego, gdy opuszczając pałac Pod Blachą, w drzwiach niemal zderzył się z Émilie. Tym razem nie miała na sobie męskiego stroju, do którego trochę już przywykł, ale pod płaszczem podbitym futerkiem nosiła elegancką suknię wizytową w kolorze ciemnej wiśni ze skromnym dekoltem obramowanym dyskretnie koronką.

– Dzień dobry, Antoni. Sądząc po minie, nie spodziewałaś się mnie tutaj ujrzeć – zadrwiła i weszła pewnym krokiem do środka, potrącając przy tym męczyznę biodrem, co wywołało u niego przyjemny dreszcz i wspomnienie wspólnej nocy.

Podolski stanął jak wryty w pałacowej sieni. W świetle dnia Émilie wyglądała niczym świeżo ścięty kwiat, jak dama, która wybiera się na spotkanie z ukochanym, bo w jej oczach dostrzegł iskierki zadowolenia. Antoniemu nagle zrobiło się duszno, choć w pomieszczeniu panował chłód. Ona przysła tu do księcia, a kobieta do księcia może przyjść tylko w jednym celu.

– Czyś ty postradała zmysły? – wyszeptał, odciągając ją stanowczo na stronę. Radość w jej oczach ustąpiła miejsca irytacji.

– Puść mnie! – Szarpnęła się, ale trzymał ją mocno, może zbyt mocno, bo przez jej twarz przemknął grymas bólu. Oszałały z gniewu Antoni nie zareagował jednak i nie zwolnił uścisku.

– Nie mam zamiaru. Nie dopuszczę do tego, żebyś ty z nim... – Słowa utknęły mu w gardle. Mówił cicho, choć miał ochotę wrzeszczeć, a przynajmniej rozbić coś, najlepiej głowę księcia, jak kotlet. – Dla ciebie nic nie znaczyła ta noc?

– A dla ciebie znaczyła? – wyszeptała Émilie, zerkając przez ramię na przechodzącego obok męczyznę, prawdopodobnie kogoś ze służby.

Antoni zmarszczył czoło, zastanawiając się. Chciał jej tak wiele powiedzieć, jeszcze więcej pokazać i dla niej zrobić, lecz nim zdążył otworzyć usta, ona wykorzystwała ten moment wahania i uwolniła się. Zrobiła krok w tył i rzuciła mu z żalem, którego nawet nie ukrywała:

– Tak właśnie podejrzewałam. Dostałeś, coś chciał, i daj mi spokój. – Głos jej zadrżał. Odwróciła się i weszła szybko na schody.

– Émilie – zawołał za nią cicho, ale nie spojrzała na niego. Wypadł więc na zewnątrz, prosto w marznący deszcz, w błoto i wiatr, jakby go gnali czarci. Miał ochotę dopaść jakiegokolwiek konia i pognać prosto do Wisły. Zamiast tego zawył, chwycił się wolną ręką za włosy, a potem nerwowymi ruchami poluźnił kurtkę munduru, która raptem zaczęła go dusić. Zaklął kilka razy na głos i to spowodowało, że bicie serca zwolniło, a on zaczął logicznie myśleć. Dopiero teraz zauważył, że zwrócił na siebie uwagę ludzi kręcących się po pałacowym dziedzińcu.

II

Przekonanie adiutanta stojącego na straży książęcej kancelarii do tego, by umożliwił spotkanie z Poniatowskim, okazało się dziecinnie proste. Wystarczyło, że wspomniała o balu Talleyranda, a w oczach młodzieńca mignął błysk zrozumienia i drzwi gabinetu stanęły przed nią otworem. Książę przyjął Émilie w swojej kancelarii. Zaraz poderwał się zza biurka i wyciągnął do niej rękę, zanim zdążyła się przywitać i złożyć ukłon.

– Pani de Bérier! Co za niesamowita przyjemność widzieć panią w moich skromnych progach.

– Wasza książęca mość jest dla mnie zbyt łaskawy. – Émilie uśmiechnęła się nieśmiało, kiedy książę otoczył ją ramieniem i wskazał na drugie drzwi w pomieszczeniu. – Przejdziemy do saloniku, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. – Zastrzygł wąsem i obrzucił ją wymownym spojrzeniem.

Émilie miała ochotę wywrócić ostentacyjnie oczami, ale potrzebowała tego człowieka. Mogłaby pozwolić mu się uwieść, lecz nie umiała udawać zachwytów i przyjemności. Po nocy spędzonej z Antonim nie potrafiłaby oddać się księciu, choć był naprawdę pięknym, postawnym mężczyzną i nie dziwiło jej, że kobiety za nim szalały. W tym świecie wypełnionym beztrząsą, rozrywkami i rozpasaniem nie było jednak dla niej miejsca, a i ona sama nie chciała stać się znowu jego częścią. Mierzył ją i odpychał, zaś ona ze swoją wiernością jednemu mężczyźnie i jednej miłości, z przywiązaniem do własnego dziecka i umiłowaniem spokojnej egzystencji na obrzeżach wielkiego świata wcale do niego nie pasowała. Dlatego wyplątała się dyskretnie z objęć Poniatowskiego.

– Za pozwoleniem waszej książęcej mości, wolałabym zostać tutaj, bo sprawa, z którą przychodzę, nie jest salonową igraszką. To rzecz ważna i liczę w tej kwestii na wielki kunszt polityczny oraz, nie ukrywam, na pomoc waszej miłości.

– No tak. Na pomoc – zaśmiał się Poniatowski, wyraźnie rozczarowany jej zachowaniem i wrócił za biurko, jakby w ten sposób chciał pokryć zaskoczenie, że oto stoi przed nim kobieta, która nie reaguje na jego powierzchowność. – Więc ileż potrzeba i na co?

– Wasza książęca mość źle mnie zrozumiał. Możemy sobie wzajemnie pomóc i nie ma to nic wspólnego z pieniędzmi.

Poniatowski wskazał jej krzesło, na którym przysiadła, i przyjrzał jej się uważnie. Odniosła wrażenie, że dopiero teraz przestał w niej dostrzegać obiekt seksualny, przynajmniej taką miała nadzieję.

– Jestem szpiegiem – rzuciła bez wstępów. Usta księcia rozchyliły się, co świadczyło o zaskoczeniu, które wywołały jej słowa. Nie dała mu czasu na reakcję. Mówiła dalej: – Zanim książę raczy wydać zapewne zasłużony osąd o mej osobie, proszę wziąć pod rozwagę, że zostałam zmuszona, by nim zostać. Nie wiem, kim są moi mocodawcy, dość, że kilka miesięcy temu porwali moją córkę. Od tamtej pory przekazuję im wszystko, czego uda mi się dowiedzieć, jako żonie francuskiego oficera, generała Charles’a Treillarda. Dodam, że mąż mój to tyran i despota.

Książę drgnął na dźwięk jej prawdziwego nazwiska, lecz nic nie powiedział, więc kontynuowała.

– Zabrał mnie ze sobą na tę wojenną wyprawę, bym nie miała możliwości uciec mu czy w jakikolwiek sposób zhańbić jego nazwisko – wyjaśniła, nie umiając ukryć gorzkiej nuty, która zakradła się do jej głosu. – Proszę jednak nie myśleć, że chcę tu wylewać żale celem zmiękczenia serca waszej książęcej mości. Jedynym, czego pragnę, jest uwolnienie mego dziecka i powrót do Francji. Na niczym innym mi nie zależy. Okazja, by zyskać atuty w tej grze, której stawką jest wolność moja i mego dziecka, nadarzyła się tuż po bitwie pod Pułtuskim, gdzie mąż mój został raniony dość poważnie. Na tyle, że bez przeszkód mogłam opuścić go, zabierając przy tej sposobności pewne dokumenty... – urwała, pełna obawy, jak przyjmie jej opowieść książę, ale ten poruszył się niespokojnie i nadstawił ucha.

– Jak dotąd historia pani wydaje się niesamowita. Proszę mówić dalej. – Oczy księcia błyszczały jak w gorączce i z trudem hamował ciekawość.

– Część z nich, jak mniemam mniej ważną, przekazałam ludziom, którzy mnie szantażują.

– I mimo to nie oddali pani dziecka?

– Wasza książęca mość, przewidywałam, że tak szybko się to nie skończy, dlatego też część dokumentów zostawiłam dla siebie.

– Ciekawe... – Książę przyjrzał jej się uważnie. – A jaką rolę w tej kabale przeznaczyła pani dla

mnie, pani Treillard, bo rozumiem, że tak powinienem się do pani zwracać?

Émilie zebrała się w sobie i po namyśle powiedziała:

– Jest wasza książęca mość osobą odpowiedzialną za to miasto i za spokój w nim. Jeśli ktokolwiek może znaleźć moje dziecko i odebrać je tym, którzy dokonali porwania, to jest to tylko wasza wysokość. – Głos jej zadrżał.

– Jaki miałbym mieć w tym interes, by zająć się tą sprawą? Choć raczej powinienem zapytać, co pani ma mi do zaoferowania w zamian za pomoc? – mówiąc to, książę rozparł się w fotelu i obrzucił ją niedwuznacznym spojrzaniem.

Émilie bez słowa wyjęła z woreczka dokument i położyła go drżącą ręką przed księciem. Nie spuszczać z niej wzroku, Poniatowski sięgnął po kartkę, a kiedy przeczytał kilka pierwszych słów, wyprostował się i pobladał.

– Czy to jedyny list, w którego posiadaniu pani jest?

Émilie potwierdziła, a książę wrócił do czytania. Kiedy skończył, popatrzył na nią zupełnie inaczej niż dotąd.

– Proszę mi powiedzieć, czy zna pani treść tego listu?

– Wasza książęca mość, gdybym nie знаła, nie wiedziałabym, jak istotny to dokument.

– Rozumiem – rzucił książę, a po namyśle dodał: – Proszę mi w takim razie opowiedzieć wszystko na temat tego porwania, skupić się na szczegółach i tym, co ważne.

– Więc wasza książęca mość mi pomoże? – zapytała z nadzieją.

– Pomogę, wszakże pod jednym warunkiem: nie może pani nikomu zdradzić tajemnicy tych dokumentów pod groźbą śmierci własnej i dziecka – zastrzegł książę z groźną miną.

Gorliwie przytaknęła, po czym zaczęła swoją opowieść, której początek miał miejsce we Francji, w podparyskiej miejscowości, gdzie poznała swą wielką miłość, de Bériera. Owocem tego związku była córka, Marie. Jednak młodzi nie mogli się nacieszyć długo radością wspólnego życia, bo chłopak został wcielony do armii, a niedługo potem przysłała wiadomość, że zginął gdzieś w Egipcie. Wbrew jej woli rodzina wkrótce wydała Émilie za męża za dobrze sytuowanego hrabiego Charles'a Treillarda, tłumacząc to koniecznością uratowania jej przed nędzą. A że Treillard owdowiał i że był znacznie od niej starszy, nie miało żadnego znaczenia. Warunek był jeden – miała ulokować córkę z dala od niego. Mogła ją odwiedzać za pozwoleniem męża, który szybko okazał się nieznaną litości katem.

Émilie pominęła milczeniem gehennę, której doświadczyła w czasie tego małżeństwa. Dość, że niczego bardziej nie pragnęła jak tego, by i Treillard wyjechał czym prędzej wojować razem z wojskiem cesarza. Mąż wykazał się jednak sprytem. Bał się, że tracąc żonę z pola widzenia, przestanie mieć na nią wpływ, postanowił więc zabrać ją ze sobą w podróż przez niemal całą Europę. Oczywiście incognito, w przebraniu jednego z ordynansów. Nie wiedział, że już wtedy kobieta była szantażowana i przekazywała informacje Polakom. Tym bardziej nie spodziewał się, że Émilie ucieknie, zabierając ze sobą ważne dokumenty.

Kiedy skończyła swoją opowieść, Poniatowski siedział dłuższy czas ze wzrokiem utkwionym w okno, kiwając głową. Kobieta czekała cierpliwie. Nie chciała przerywać tej zadumy, która być może oznaczała, że książę rozważy, jak jej pomóc. Wreszcie Poniatowski odetchnął głęboko i zwrócił się do wpatrzonej w niego Émilie.

– Życie pani nie oszczędzało. Ubolewam nad tym, że część pani strapień spowodowali moi spragnieni władzy rodacy. Porywanie dzieci to... niehonorowe i nie wydaje mi się, by jakkolwiek cel był w stanie usprawiedliwić podobne działanie.

– Nie mnie to oceniać, wasza książęca mość. Jedyne, czego pragnę, to uwolnić moje dziecko.

– Doskonale rozumiem pani pobudki. Naturalnie pomogę pani. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by odnaleźć dziecko.

– Dziękuję, wasza książęca mość – wyszeptala kobieta i wydała z siebie dźwięk przypominający szloch, po czym zasłoniła usta dłonią. Kamień spadł jej z serca i walczyła ze sobą, by się nie rozpląkać z ulgi, która ją ogarnęła. – Będzie książę miał we mnie dożgonną dłużniczkę, gotową zrobić wszystko i słać jego imię wszędzie, gdziekolwiek się znaję.

– Proszę uważać, co pani mówi, bo jeszcze skorzystam z tej obietnicy – zażartował książę

i poprawił wąs.

Émilie natychmiast oblała się rumieńcem i spięła w sobie.

– Jeśli taka byłaby cena, to jestem gotowa na to poświęcenie – odparła drewnianym głosem, zaciskając palce na woreczku tak mocno, aż rozboleły ją stawy, na co Poniatowski zareagował głośnym śmiechem.

– Proszę się nie obawiać, moja droga Émilie. Nie zwykłem zmuszać kobiet do niczego. Zdecydowanie wolę te chętne i pozbawione tego, co u pani tak cenię – honoru.

– Dziękuję, wasza książęca mość. – Émilie odprężyła się lekko.

Oczywiście gotowa była na wszystko, tak jak mówiła księciu, ale na myśl, że kolejny raz ktoś miałby ją przymuszać do czegoś, co dla niej było męczarnią, robiło jej się słabo i mdło. Tym trudniej byłoby jej znaleźć się w łóżku z Poniatowskim, że Antoni przypomniał jej, jak powinno wyglądać zbliżenie dwójki ludzi, którzy, jeśli się nie kochają, to przynajmniej darzą sympatią lub zwyczajnie odczuwają przyjemność z obcowania ze sobą.

– Musi mi pani, droga Émilie, opowiedzieć jak najwięcej o swoich prześladowcach. Twierdzi pani, że są Polakami... – Poniatowski wbił w nią bystre spojrzenie.

– Ten, z którym się skontaktowałam i który mnie w to wciągnął, kazał się nazywać hrabią Tyszkiewiczem.

Poniatowski kolejny raz wyglądał na zaskoczonego, ale choć Émilie zamilkła w przekonaniu, że książę zechce ją spytać o tego człowieka, on nic nie powiedział, tylko gestem zachęcił, by mówiła dalej.

– Nie mam pewności, wasza książęca mość, czy to jego prawdziwe nazwisko. Natomiast w trakcie naszej rozmowy pojawił się dojrzały mężczyzna, bardzo piękny, znać w każdym jego ruchu było pewność wynikającą z dobrego urodzenia. Ten Tyszkiewicz tytułował go księciem. I choć ani razu nie użył żadnego nazwiska, to zdecydowanie miał dla niego wielki respekt. Zamilkł w jego obecności i nie śmiał zabrać głosu bez pozwolenia.

Tu Émilie opisała wygląd obydwu mężczyzn, ale Poniatowski wyraźnie się ożywił, gdy mówiła o tym księciu.

– Niebywałe! – wyrwało mu się w pewnym momencie i wtedy zrozumiała, że książę musiał rozpoznać obydwu jej prześladowców, co ją niezmiernie ucieszyło.

– Skoro nie oddano pani córki, to oznacza, że wyznaczono pani kolejne zadanie. Czyż nie? – Poniatowski splótł palce i przyjrzał się jej uważnie, jakby chciał ją przyłapać na kłamstwie. Émilie nie miała zamiaru go oszukiwać. Dość miała pokrętnych planów, nieuczciwości i wszystkiego, czego dopuściła się w ostatnim czasie.

– Wasza książęca mość ma niezwykłą bystrość umysłu. – Skłoniła z szacunkiem głowę, bo rzeczywiście nie spodziewała się takiej przenikliwości po tym mężczyźnie, który był jak starożytny bożek Proteusz: czasem beztrocki fircyk, łamacz kobiecych serc, kiedy indziej dumny książę i królewski bratanek lub dla odmiany zręczny polityk i przenikliwy obserwator ludzi. Książę zareagował na komplement skinieniem głowy i uśmiechem.

– Rzeczywiście, zlecono mi zbliżenie się do kogoś, kto w moim odczuciu stanowi konkurenta moich mocodawców. Miałam za zadanie znaleźć się w bliskim otoczeniu waszej książęcej mości, co niniejszym uczyniłam. – Widząc zaskoczenie malujące się na obliczu mężczyzny, Émilie skwapliwie dodała: – Jednakowoż nie mam najmniejszego zamiaru przekazywać żadnej informacji, która mogłaby zaszkodzić waszej książęcej mości i raczej w planach mam markowanie szpiegowania tak długo, jak się da.

Książę z aprobatą pokiwał głową.

– Nie jest to konieczne. Myślę, że możemy to wykorzystać – odparł zamyślony. – Jeszcze nie wiem jak, ale z całą pewnością dzięki pani mam możliwość sterowania moimi, jak się zdaje, zagorzałymi wrogami. Niech im pani przekaże, że otrzymała zaproszenie na bal do mojego pałacu oraz że przedstawiłem cesarzowi memoriał na temat odrodzenia Rzeczypospolitej, który spotkał się z uznaniem i przychylnością jego wysokości imperatora.

– Jak sobie wasza książęca mość życzy.

Mężczyzna wyjął z szuflady biurka świeży arkusz papieru i zamoczył pióro w atramencie. Émilie śledziła każdy jego ruch, każde najdrobniejsze drgnięcie.

– Proszę mi podać adres, pod którym pani przebywa. Chciałbym panią informować na bieżąco o postępach w poszukiwaniu dziecka.

Podyktowała księciu swój adres, a na wszelki wypadek zastrzegła:

– Bardzo proszę, by posłańcy zachowywali ostrożność, bo moje mieszkanie może być obserwowane. Nie chcę, by ktokolwiek dowiedział się o tym, kiedy i z czym byłam u waszej książęcej mości. – Nie wspomniała o tym, że nawet idąc do pałacu księcia, rozglądała się bacznie i kluczyła ulicami Warszawy, by upewnić się, że nie jest śledzona.

– Oczywiście zachowamy daleko idącą dyskrecję, droga Émilie. – Książę wstał, tym samym dając kobiecie do zrozumienia, że dowiedział się wszystkiego, co istotne, i wizyta dobiegła końca. Wziął do ręki leżący przed nim list i starannie go złożył. – Dokument oczywiście zostaje u mnie.

– Naturalnie, wasza książęca wysokość. – Émilie zgodziłaby się teraz na wszystko. Spłynął na nią ogromny spokój. Chociaż książę nie powiedział jej nic wiążącego, to podskórnie czuła, że jej pomoże. Dygnęła z wdziękiem, kiedy Poniatowski wyszedł zza biurka i dodał:

– Proszę być dobrej myśli, moja droga.

– Dziękuję waszej książęcej mości. – W przypiływie zalewającej ją wdzięczności chwyciła dłoń księcia, chcąc ją ucałować, ale Poniatowski jej to uniemożliwił.

Zamiast tego ucałował jej rękę i popatrzył z bliska w oczy.

– To wielki zaszczyt poznać taką kobietę jak pani. Mam nadzieję, że pułkownik Podolski doceni to tak jak ja.

Émilie zaczerwieniła się kolejny raz w czasie tej wizyty. Nie wiedzieć czemu, przypomniało jej się spojrzenie, jakim Antoni obrzucił ją, gdy stanęła przed nim naga.

Podziękowała jeszcze raz księciu i wyszła. Sił starczyło jej, by zejść schodami do sieni. Tam nogi się pod nią ugięły, aż musiała się zatrzymać i złapać oddech. Kiedy opuszczała pałac, rozpierała ją radość płynąca ze świadomości, że książę wysłuchał jej historii i zgodził się pomóc w poszukiwaniu Marie, ale też odczuła ogromną ulgę, mogąc komuś opowiedzieć tragiczną historię swego życia, zwierzyć się z problemów i być wysłuchaną.

Tuż za drzwiami czekał na nią nie kto inny jak Podolski, który wyglądał, jakby miał się na nią rzucić z pięściami. Wzrok miał dziki, a dłonie zaciśnięte. Mimo że było przeraźliwie zimno, mundur poluźnił pod szyją, zaś przekrzywiona czapka zjechała mu na tył głowy. Dосkoczył do Émilie i wyrzucił na jednym oddechu:

– Po co do niego poszłaś?

– Co cię to obchodzi? – Zareagowała agresją.

Nie miał prawa jej śledzić ani wypytywać. Ominęła go i ruszyła przed siebie, ale Antoni szybko zrównał z nią krok.

III

Książę Józef Poniatowski wyjrzał przez okno i dostrzegł Podolskiego, biegnącego za kobietą, która przed chwilą opuściła jego kancelarię. Miał krzyknąć, że pułkownik właśnie ją ściga i prawdopodobnie będzie chciał ją zabić. Powstrzymał się jednak. Jeśli łączyło ich prawdziwe uczucie, sami znajdą wyjście z tej sytuacji. A jeśli to tylko chwilowa igraszka, los rozstrzygnie, co z nimi będzie. O wiele bardziej zajęło go to, czego dowiedział się od tych ludzi i postanowił rozważyć, czy tych dwoje nie przeszkodzi mu w niczym.

Napoleon bowiem nie miał najmniejszego zamiaru tworzyć nawet namiastki Polski, choć i owszem, z Polaków chciał skorzystać, jak korzysta się z darmowej siły roboczej. Poniatowski podejrzewał to od samego początku, kiedy jeszcze Dąbrowski i Wybicki wydali tę swoją śmieszoną odezwę^[7]. W końcu jego rodacy znani byli z waleczności, honoru i wierności. W dodatku nigdzie i nigdy tak dobrze nie walczyli, jak pod obcym przywództwem. Tylko w sytuacji zagrożenia potrafili się zmobilizować, skrzyknąć i ruszyć z miejsca, o ile w tym czasie nie pożarli się o to, kto stanie na czele.

W przypadku Napoleona ten problem rozwiązywał się sam. Wystarczyło robić to, w czym byli najlepsi – dosiąść konia i bić wroga. Inni decydowali, kto jest tym wrogiem, gdzie mają walczyć i kiedy.

Mając w ręku oczywisty dowód intencji Napoleona, ksiązę mógł wreszcie twardo negocjować to, z czym zwrócił się do cesarza w spisanim z grupą polityków memoriale, podczas gdy wódz zbył ich pracę i postulatory milczeniem. Teraz nie będzie mowy o milczeniu.

Treillard nie miała pojęcia, jak mocno list, który mu oddała, wpłynie na losy tego nieszczęsnego narodu. Poniatowski, mając w ręku dowód prób porozumienia i przehandlowania Rzeczypospolitej z carem za inne ustępstwa i za zgodę na blokadę kontynentalną Anglików, mógł spróbować wymóc na cesarzu utworzenie przynajmniej namiastki Polski. Na ile Napoleon mu ulegnie, to pozostawało zagadką. Jedno było pewne – ksiązę posiadał obecnie mocną kartę przetargową, a to w połączeniu z możliwością wystawienia stu tysięcy żołnierzy, bo że tyle uda mu się zgromadzić, już teraz nie miał wątpliwości, gdyż rząd tymczasowy tylko tym się ostatnio zajmował, stanowiło argumenty nie do podważenia.

Inna rzecz, że rozumiał potrzebę utworzenia wywiadu, w czym mistrzami byli francuscy urzędnicy, budujący w całej Europie siatkę szpiegowską we wszystkich ważnych i tych mniej ważnych rejonach podbijanych terytoriów, do czego też namawiał go Murat^[8]. Teraz jednak Poniatowski miał pewność, że jego przeciwnicy pod przywództwem Czartoryskiego prowadzili od dawna takie działania. Nie miał zamiaru pozostać im dłużny.

Tymczasem kobieta wyszarpnęła się z ramion Podolskiego i ruszyła szybkim krokiem przez dziedziniec. Pułkownik stał chwilę jak zaczarowany, ale zaraz ją dogonił w kilku długich krokach. Szedł za nią niczym pies na sznurku i coś jej z zapamiętaniem tłumaczył. Wreszcie się zatrzymała. Poniatowski nie mógł ich słyszeć, ale wszystko wskazywało na to, że się pogodzili. Ksiązę uśmiechnął się do siebie. Zazdrościł Podolskiemu, że trafił na kogoś takiego jak Émilie Treillard. To kobieta z krwi i kości. Wielkiej odwagi i ogromnego serca, szczerza i prawdziwa do bólu. Jego otaczały najczęściej słodkie trzpiotki, gotowe zrobić wszystko, byleby raczył z nimi współżyć, o co skrupulatnie dbała Henrietta^[9], bojąca się utracić swą pozycję na rzecz kogoś młodszego, ładniejszego i przede wszystkim mądrzejszego.

Ksiązę westchnął ciężko. Choć gardził miłością, bo ta zniewala, ogranicza, ogłupia oraz podporządkowuje kobiecie, to czasem, kiedy patrzył na taką scenę, jak ta przed chwilą, budziła się w nim tęsknota za czymś, czego był doświadczył bodajże tylko raz, całe wieki temu.

– Moja słodka Karolino^[10]... – szepnął sam do siebie.

– Słucham, wasza książęca mość – zareagował natychmiast zbierający dokumenty sługa.

Poniatowski machnął lekceważąco ręką i wrócił za biurko, by kontynuować przerwana pracę.

IV

Nie tylko czujny wzrok księcia śledził kłótnię kochanków. Tajemniczy mężczyzna o mało nie wpadł pod koła pędzącego ulicą pojazdu, kiedy dostrzegł Émilie w odległości pozwalającej mu ją obserwować i jednocześnie pozostać niezauważonym. Wcale go nie zdziwiło, że tak szybko ją znalazł. Jeśli chodzi o tę kobietę, był jak pies myśliwski. Z daleka czuł jej zapach i smak, potrafił ją wywęszyć z odległości kilku kilometrów. Wiedział, że chcąc uciec, Émilie wybierze Warszawę, skąd będzie mogła pocztowym dyliżansem udać się na zachód. Bo że wróci do Francji, nie miał najmniejszej wątpliwości. Tam zostawiła tego bękarta, którego nazywała ukochaną córką.

Kiedy znalazł się w tym przygnębiającym, zimnym mieście przypominającym przedmieścia Paryża, zaczął się bacznie rozglądać, jeszcze zanim wynajął kwaterę. Émilie musiała gdzieś tu być. Na tyle blisko, by móc bez trudu stąd wyjechać. Choć od jej ucieczki upłynęło sporo czasu, był przekonany, że jeszcze nie opuściła miasta. Jego poszukiwania nie trwały długo. Zobaczył ją na środku ruchliwego placu u wylotu jednej z głównych ulic miasta, w pobliżu bramy. Pewnie by jej nie dostrzegł, gdyby nie kłóciła się z jakimś oficerem ubranym na modłę francuską. Najpierw miał ochotę się zaśmiać i ruszyć prosto w jej stronę, ale sposób, w jaki rozmawiała z tym żołnierzem, jego rozogniony wzrok i to, że jej dotknął, a ona nie protestowała, kazało mu się powstrzymać przed działaniem i ograniczyć do obserwacji tych dwojga, którzy ruszyli, wciąż dyskutując, w stronę bocznej ulicy.

Posuwał się za nimi ostrożnie. Nie słyszał słów, ale po żywiołowej gestykulacji i po tym, że co jakiś czas się zatrzymywali, domyślał się, że prowadzą spór. Zazgrzytał zębami i zaklął cicho. Poznał Podolskiego. Teraz wszystko stało się jasne. Ta dziwka uciekła pierwsza, a jej luby podążył

za nią. I pomyśleć, że sam ułatwił im zadanie, powierzając tej kanalii misję odzyskania dokumentów. Zdradzała go, nawet gdy wydawało się, że ma ją na oku. Na samą myśl, że inny mężczyzna ją miał, dostawał spazmów wściekłości i z trudem powstrzymywał chęć rzucenia się na nich. Już raz śmiała mu się przeciwstawić. Potem kilka tygodni kurowała rany, co nie przeszkadzało mu ją brać. Jeszcze nie wiedział jak, ale z pewnością znów mu za to zapłaci. Miał rację, że zabrał ją ze sobą. Gdyby została we Francji, puszczałaby się z każdym. Ledwie spuścił ją z oczu, a miał jak na dłoni potwierdzenie swoich obaw.

Nagle go olśniło. Dostrzegł, że ta wywłoka uściśnęła na pożegnanie dłoń towarzyszącego jej mężczyzny. W oczach błyszczały jej łzy, kiedy tamten sztywno się skłonił i najwyraźniej niezbyt zadowolony, odszedł, zostawiając ją pod drzwiami. Dziwka patrzyła za nim, gdy szedł przed siebie, a łzy płynęły jej po policzkach. Treillard już wiedział, jak się na niej zemści. Uśmiechnął się szeroko na samą myśl o czekających tych dwoje torturach. Będą żałować, że się kiedykolwiek poznali.

Niestety, Podolski miał do wykonania zadanie i generał niechętnie musiał przesunąć w czasie realizację swego planu. Na wszelki wypadek postanowił pilnować Emilie i pułkownika. Miał niejasne przeczucie, że mogli mieć coś wspólnego ze zniknięciem dokumentów, które mu powierzono. Nie było innego sposobu, żeby to wyjaśnić, jak wykazać się cierpliwością. Jeżeli stał za tym ten bezużyteczny Gaskończyk, wkrótce Podolski go znajdzie i się tego dowie. Ale jeśli to tych dwoje, wystarczy mieć ich na oku, a prędzej czy później skontaktują się z kimś, komu będą chcieli przehandlować papiery. Tak czy inaczej odzyska list oraz mapy i nikt się o tym nie dowie. Nawet osobiście dostarczy list tam, gdzie trzeba.

Uspokojony tą myślą, z ukrycia pożegnał cichym *au revoir* swoją żonę, wciąż lejącą łzy na schodach kamienicy, i ruszył za Podolskim.

V

Od czasu, kiedy Michał spotkał ją w bajkowym, odmalowanym barwami zimy ogrodzie, ciągle stała mu przed oczami jej zapłakana, nieco jeszcze dziecinnie buzia. Niby była wystarczająco dorosła, by rodzina myślała o wydaniu jej za męża, ale kiedy patrzył w te jej ciemne i naiwne oczęta, coś go ścisnęło za gardło i kazało za wszelką cenę bronić przed złem. Nie bardzo umiał sprecyzować, co to za zło miałoby być, ale gotów był dla niej na wiele. Nawet na to, by zadrzeć z Antonim, który jeszcze przed wyjazdem zakazał mu pod groźbą śmierci z jego ręki zbliżać się do siostry. I początkowo Śniegocki trzymał się tego, ale kiedy ją chwycił w ramiona, dotknął jej miękkiej twarzyczki, zrozumiał, że przegrał. Ganił się w myślach, tłumaczył, że to chwilowe zauroczenie, że wystarczy wyprzeć ją z głowy w jedyny skuteczny sposób. Znaleźć podobną do niej lub jakąkolwiek inną i zrobić to, co powinien był zrobić już dawno.

Jakoż okazja nawinęła się sama, i to w niedługim czasie. Dziewcząt i kobiet we dworze nie brakowało, a do pomocy przychodziło też kilka chłopek. Wypatrzył jedną, smagłą, rumianą i do złudzenia podobną do Krysi. Dotąd zagadywał, dotąd kręcił się jak lis wokół kurnika, aż dziewczucha wylądowała z nim w zaciszu wymoszczonego sianem sąsiedku. Przymknął oczy i ugniał jej ciepłe, miękkie piersi, gładził gorące uda, ale zapach krów, przy dojeniu których pomagała, a także wprawa, z jaką próbowała mu pomóc, sprawiły, że otworzył szeroko oczy i zaklął pod nosem.

– Coś panicz nie może się sprawić, ale ja pomogę – wysapała dziewczyna i zdecydowanym ruchem chwyciła go za spodnie w kroku.

– Dajesz spokój, kobieto! – Otrząsnął się z jej rąk, poderwał na nogi i biegiem puścił się ze stodoły na zewnątrz.

Dopadł pierwszego konia, który stał bez siodła, ale nie przeszkadzało mu to. Wskoczył na jego grzbiet i rozchełstany, bez czapki, bez ciepłego odzienia pogalopował przed siebie, żeby ugasić ogień, który podpaliła w jego żyłach ta cicha dziewczyna.

Gnąjąc, rozważał swoje nikłe szanse na to, by prosić o jej rękę i spotkać się z aprobatą rodziny Podolskich. Majątku prawie nie posiadał, a to, co należało do jego rodziny, już dawno popadło w ruinę. Źródła przyszłych splendorów i pieniędzy oczekiwał po wojnie i zasługach, jakie miałby położyć dla sprawy. Szybko okazało się, że u boku Antoniego zdobywanie kolejnych patentów nie było wcale aż tak trudne. Być może rodzina Krysi spojrzałaby łaskawszym okiem na bohaterskiego generała, jeśli nawet

byłby całkiem golas, ale do tego droga wciąż była daleka. Jedno nie ulegało wątpliwości, wreszcie miał cel i motywację, by do niego dążyć, a tym celem była ta śliczna, słodka ciemnowłosa dziewczyna.

ROZDZIAŁ VI

I

Pogoda idealnie oddawała jej samopoczucie. Wiało coraz mocniej i znowu zaczynał siąpić deszcz ze śniegiem, wbijając się tysiącem igieł w jej twarz. Niebo zaś zasnuwały ciemne, obrzmiałe chmury, zwiastujące krótki dzień. Kiedy Émilie weszła do salonu mieszkania, które dla niej wynajęto, trzęsła się jak osika. Dygotała nie tyle z zimna i nerwów, co z wewnętrznego poczucia, że właśnie ugasiła w sobie ostatnią iskrę tego zapomnianego dawno żaru, który rozniecił w niej ponownie Antoni Podolski.

– Popełniłam błąd i dałam się ponieść chwili – powiedziała mu głosem na tyle pewnym, na ile pozwalał jej rodzący się gdzieś w głębi żal.

– Chcesz powiedzieć, że ta noc nic dla ciebie nie znaczyła? – Podolski wpatrywał się w nią intensywnie zwilgotniałymi oczyma. – Że mnie wykorzystałaś, by znaleźć się bliżej księcia? – zapytał niepewnie, a ona to podchwyciła.

– Właśnie tak było. – Z trudem nad sobą panowała. Kiedy Antoni nie odchodził, tylko stał, wciąż na nią patrząc, dodała: – Nie żałuję tego i wiedz, że przegrałeś z godnym siebie przeciwnikiem.

Nie musiała go ranić, lecz nie znalazła innego sposobu na to, by wytłumaczyć swoją obecność w pałacu, jak tylko przyznać się do tego, co Antoni jej zarzucał – że dała się uwieść księciu jak jakaś pierwsza lepsza pusta panna.

Podolski poszarzał na twarzy i zacisnął szczęki, mimo to z jego gardła wydobył się groźny pomruk.

– Dlaczego to robisz, Émilie? Dlaczego? – wysyczał jej prosto w twarz. – Na litość boską, przestań się mną bawić. Skończ z tym teatrem.

W oczach miał łzy tak samo jak i ona. Przez moment miała wrażenie, że zaraz ją chwyci za ramiona, że nią potrząśnie, że ją pocałuje i utuli, a ona wszystko mu powie. Ale on tylko patrzył i czekał. Przełknęła rosnący w gardle szloch i powiedziała ciszej, niż zamierzała:

– Nie jesteś mi już potrzebny, pułkowniku Podolski.

Stali tak, patrząc na siebie bez słowa, rozdzieleni okrzykami ludzi, nawoływaniem przekupek, stukotem kół i kłaskaniem końskich kopyt w błocie, podmuchami wiatru niosącymi płaty śniegu oraz słowami tnącymi bardziej bezlitośnie niż szable.

– Nie będę stawał na drodze twemu szczęściu – rzucił sztywno Antoni. – Życzę ci powodzenia, Émilie de Bériet. Bądź zdrowa – mówiąc to, skłonił się lekko, odwrócił i sztywnym krokiem ruszył przed siebie. Nie widział łez, które popłynęły zaraz potem.

Służąca napaliła w kominku, od którego buchało przyjemne ciepło, ale choć Émilie usiadła blisko niego, choć otuliła się grubą narzutą, nie czuła się lepiej. W piersiach ją boleśnie uciskało, a łzy płynęły po twarzy, ledwie nadażwała je ocierać. W jej życiu nie było miejsca na uczucia. Jeśli chciała wygrać tę swoją wojnę, musiała zacisnąć zęby i działać jak jej przeciwnicy. W sposób przemyślany, zaplanowany, przewidując wszystko, cokolwiek mogło się wydarzyć i reagując elastycznie i adekwatnie do sytuacji.

Komplikacja w postaci najwidoczniej zadurzonego w niej Podolskiego nie mogła wyjść nikomu na dobre. Okazując mu uczucia, narażała jego, siebie i swoje dziecko na niebezpieczeństwo. Antoni nie miał pojęcia, kim była i tak musiało zostać. Nie miał też pojęcia, że zupełnie wbrew swojej woli obdarzyła go uczuciem gwałtownym i zaskakująco silnym, czym zdziwiła najbardziej samą siebie.

Dotąd żaden mężczyzna nie potrafił w niej obudzić nawet cienia sympatii. Całe jej życie upływało pod znakiem żaloby po ukochanym, którego wyniosła na piedestał. Wbrew temu, co sądził o niej Treillard, nie byłaby w stanie go zdradzić z nikim, zwłaszcza że wielokrotnie gwałcona przez męża, przestała się już nawet bronić, a o czerpaniu przyjemności z bycia z mężczyzną nie było nawet mowy. Wstydziała się tego, że w trakcie modliła się jedynie, by Bóg zabrał od niej tego człowieka, by któregoś dnia Treillard po prostu nie wrócił; że nie walczyła o swą godność, od kiedy dostrzegła, że temu okrutnikowi sprawa przyjemność łamanie jej oporu. Jednak jej modlitwy nigdy nie zostały wysłuchane, a Treillard nie mogąc ni prośbą, ni groźbą wzniecić w małżonce jakichkolwiek reakcji, z dnia na dzień utwierdzał się coraz mocniej w przekonaniu, że ona go zdradza. Potem dopisywał do tego pomysłu najróżniejsze scenariusze. O sąsiadach, o innych żołnierzach, o jego bliższych i dalszych znajomych.

Émilie niechętnie uczestniczyła w życiu towarzyskim, chadzała na przyjęcia czy obiady, bo po każdym takim wyjściu okazywało się, że nawet niewinny uśmiech albo krótka wymiana grzecznościowych formułek oznacza dla niej kilkugodzinną gehennę po powrocie do domu. W takich chwilach cieszyła się, że Marie jest z dala od tego koszmaru, bezpieczna, pod opieką dobrej bony. Na samo wspomnienie córki i tego, jak się nad nią pastwił Treillard, rozplakała się jeszcze bardziej i skuliła pod narzutą.

Służąca, pulchna kobieta o zaróżowionych policzkach, która widać dostrzegła, w jakim stanie jest Émilie, postawiła przed nią tacę z ciastkami i dzbankiem z parującą herbatą. Pani podziękowała jej z nieśmiałym uśmiechem i ponownie się rozplakała. Obcy człowiek, prosta kobieta zadbała o nią, a widząc jej łzy, powiedziała coś w tym ich dziwnym, trzeszczącym języku. Nie trzeba było go rozumieć, by usłyszeć współczucie i pociechę.

– *Merci, merci beaucoup* – wyszeptła Émilie i pociągnęła nosem. Kobieta naląła jej herbaty do filiżanki i dygnęła, po czym ze współczującym uśmiechem zniknęła, zostawiając ją samą, zapatrzoną w ogień.

Émilie wspominała tę jedyną noc z Antonim, kiedy poddała się płomieniowi gorejącemu w niej od chwili, gdy niósł ją wychudzony i cuchnący. Brnął wtedy przez zasy, a potem zakradł się nocą do jej pokoju. I choć zrobił to, by ją przerazić, choć jej nie ufał, ona w głębi serca wiedziała, że to nie jest człowiek, który mógłby jej zrobić krzywdę. Gnał za nią, kiedy uciekła, trzymał ją nocą w ramionach i tulił do siebie, kiedy marzła, jednocześnie nie umiając się przyznać, że pod płaszczykiem bawidamka ukrywa się opiekuńczy i czuły mężczyzna. Nawet gdyby jej mąż, któremu uciekła, dopadł ją i jej nie zabił, to z pewnością nigdy nie obejmowałby jej tak troskliwie jak Podolski. De Bérier, ojciec jej dziecka, również nie był typem rycerza. Owszem, marzył o bohaterskich czynach, ale tak był skoncentrowany na sobie, tak przyzwyczajony do zachwytów otoczenia, że ignorował uczucia matki swojej córki.

Widziała Antoniego na łonie rodziny i dostrzegła szacunek, z jakim traktuje kobiety. Może i korzystał na byciu oczkiem w głowie matki, ale nie trawił życia na czczych zabawach, a przynajmniej nie tylko na nich. Przyłączył się do wojsk napoleońskich i walczył o swój kraj.

Tamtej nocy jego dotyk koił i rozpałał jednocześnie, goił jej rany, przywracał wiarę w miłość i pożądanie, którego dotąd nie doświadczała z taką mocą. Kochała ojca Marie, a ich zbliżenia były piękne, spokojne, nacechowane nieśmiałością i delikatnością wynikającą z braku doświadczenia. Teraz jednak rozumiała, że z czasem przestałyby jej wystarczać, natomiast gwałtowność, z jaką pragnęła Antoniego, przerażała ją i napawała rodzajem grzesznej przyjemności, która wynika właśnie z tego, że jest zabroniona. Bo nie wolno jej było pragnąć, a tym bardziej kochać tego mężczyzny, i to nie tylko z powodu różnicy wieku, bo przecież był młodszy, ale też z powodu niemożności bycia razem. Nawet jeśli uda jej się uciec przed mężem, to Antoni nigdy nie zostawi rodziny, domu ani kraju, by z nią być. I ta myśl sprawiła, że wreszcie Émilie zebrała się w sobie.

Dopiła herbatę i z ciężkim sercem postanowiła udać się czym prędzej do Tyszkiewicza, by przekazać mu to, czego udało jej się dowiedzieć, oczywiście pomijając powód wizyty w pałacu Pod Błachą, bo o samej wizycie zamierzała wspomnieć. W każdym kłamstwie, by było wiarygodne, powinno być ziarno prawdy.

II

Udając się do budynku, w którym rezydował jej prześladowca, nie mogła pozbyć się wrażenia, że jest obserwowana, że czyjeś czujne oczy śledzą każdy jej krok. Zatrzymała się u zbiegu ulic Miodowej i Senatorskiej i rozejrzała bacznie, ale nie dostrzegła nikogo, kto by wykazywał nią zainteresowanie. Nie wiedzieć czemu, nagle odczuła paniczny, zwierzęcy wręcz strach, który kojarzyła z jedną osobą, ze swoim mężem. Zdawała sobie sprawę, że z całą pewnością jej szukał, ale nie był w najlepszym stanie, kiedy go widziała ostatni raz. Teraz żałowała, że zabrakło jej odwagi i nie uśmierciła go, zanim zniknęła z obozu. Liczyła, że on nie przeżyje z powodu rozległej rany głowy. Wiedziała jednak, że jeśli tylko dojdzie do siebie, będzie kwestią czasu, kiedy ją odnajdzie, dlatego tak się spieszyła. Pozostawanie w tym mieście lub w jakimkolwiek innym miejscu na dłużej wiązało się z oczywistym niebezpieczeństwem.

Nie zauważywszy niczego podejrzanego, uznała, że długotrwałe życie w strachu przed

despotycznym mężem pozostawiło w niej uraz, którego być może nigdy nie będzie w stanie wyleczyć. Czym prędzej ruszyła w kierunku miejsca, w którym spodziewała się znaleźć Tyszkiewicza.

Tak jak poprzednim razem milczący sługa w liberii zaprowadził ją do ponurego salonu, w którym czekał na nią jej mocodawca, rozwalony w fotelu obok kominka.

– Czegoś się dowiedziała pani tym razem? I proszę sobie darować rewelacje w rodzaju nowej sympatii cesarza, czyli tej Walewskiej, z którą rzekomo bawił się całą noc. – Tyszkiewicz zaczął bez wstępów, wymachując upierścienioną dłonią. – Cała Warszawa o tym plotkuje i rozpisują się gazety. Tyle wiemy, że nasi adwersarze będą usiłowali z pomocą kobiety wymóc na cesarzu przychylnie spojrzenie na sprawy naszego kraju. – Wydał pogardliwie wargi.

W tym jednym Émilie akurat mogła się z nim zgodzić. Składanie na barki kobiety, która wcale nie wyglądała na uszczęśliwioną tą atencją, odpowiedzialności za kraj, zakrawało na kpinę. Choć z drugiej strony, o ile było wiadomo Francuzce, to ten akurat plan z powodu skłonności cesarza do płci pięknej mógł się powieść o wiele skuteczniej niż jakikolwiek inny oparty na męskich argumentach.

– Pan mnie nie docenia, hrabio – rzuciła twardo. – Pragnę donieść, że moja wizyta na balu okazała się bardzo owocna, bo książe Poniatowski zaprosił mnie był do swego pałacu.

Tyszkiewicz aż wstał, usłyszawszy to. Założył ręce za plecami i podszedł do niej. Obrzucił ją przy tym kpiącym spojrzeniem. Doskonale wiedziała, co pomyślał, lecz nie miała zamiaru zaprzeczać ani się obrażać. Dumę dawno temu zostawiła tam, gdzie i serce.

– I czegoż się pani dowiedziała, poza tym, że z pewnością była to przyjemna wizyta? – zakpił, a Émilie zdała sobie sprawę, że ten podstarzały, ubrany niekoniecznie modnie, ale bogato hrabia, zazdrości księciu powodzenia u płci pięknej i zrobiło jej się z tego powodu lżej na duszy. Nawet prześladowcy mają, jak widać, swoje słabe punkty.

– I owszem – odrzekła, śmiało patrząc w oczy Tyszkiewiczowi. – Książe ma to, czego wam brakuje, czyli charyzmę i wdzięk osobisty, a także umiejętność zjednywania sobie ludzi życzliwością, nie szantażem.

Dłoń mężczyzny wylądowała na jej policzku. Choć cios nie był silny, skóra zapiekła. Émilie miała jednak ochotę głośno się zaśmiać.

– Taka dziwka jak ty nie powinna mówić takich rzeczy. Tym bardziej że to nie ciebie spotka kara, a twoje dziecko, które notabene zaczyna przypominać już kobietę – wycedził przez zęby Tyszkiewicz, zbliżając swoją twarz do jej twarzy, aż poczuła jego cuchnący oddech i przymknęła oczy.

Ta uwaga okazała się celniejsza niż policzek. Émilie zagryzła wargę do bólu, a potem powiedziała bardzo cicho:

– Jeśli mojej córce stanie się cokolwiek złego, jeśli spadnie jej choćby włos z głowy, żaden z was, niezależnie od majątku czy pozycji, nie pozostanie przy życiu. Nie na próżno spędziłam ten przyjemny czas w pałacu Pod Blachą... – urwała, pewna, że mężczyzna zrozumie groźbę i złapie się na blef. Rzeczywiście, po twarzy Tyszkiewicza przemknął cień niepewności i to jej wystarczyło, by wiedzieć, że nieobliczalny Poniatowski budzi respekt nawet u takich kanalii.

Hrabia odsunął się od niej i wrócił na swój fotel, zapewne by zamaskować niepewność.

– Więc czegoż się pani dowiedziała?

Émilie dobrze przemyślała to, co może powiedzieć Tyszkiewiczowi, by wypaść wiarygodnie, sprawić wrażenie, że ma ważne informacje i tym samym wreszcie zmusić go do wypuszczenia jej dziecka.

Opowiedziała mężczyźnie o memoriale, o którym wspomniał książe. Widziała błysk zawiści w oczach Tyszkiewicza i nie rozumiała, jak można życzyć porażki ludziom, którzy pragną tego samego, co i on.

Wywnioskowała z tego, że Tyszkiewicz i jego mocodawca zainteresowani byli wyłącznie zdobyciem władzy i wykluczeniem konkurencji, która działała z zupełnie innych, i z pewnością szlachetniejszych, pobudek. Tacy ludzie doprowadzili do upadku ten kraj. Nieważne dla nich było to, że ktoś zabierze im wolność, najważniejsze, by konkurenci zostali pokonani. Własne ambicje i żądze stawiali przy tym na pierwszym miejscu.

Émilie zdradziła też, że książe przeciągnął mimo wszystko cesarza na swoją stronę, zaś ten

obiecał mu ponoć utworzenie Polski w bliżej na razie nieokreślonych granicach, które będą zależały od powodzenia kampanii w Prusach Wschodnich. To wyraźnie zaniepokoiło Tyszkiewicza, bo zacisnął pięści na podłokietnikach. Nie dodała, że przekazany księciu list z pewnością przekona Napoleona do tego, by ulec Poniatowskiemu.

– To diabeł wcielony! – wykrzyknął, nie mogąc się powstrzymać, co znowu wywołało na twarzy Émilie uśmiech. Hrabia na szczęście nie zwrócił na to uwagi, zajęty wyrażaniem księciu. – Niedoczekanie!

Opuszczała pałac bardzo z siebie zadowolona, mimo że miała się nadal trzymać blisko księcia. Oczywiście znowu pytała o córkę, ale Tyszkiewicz kolejny raz odwlekał pokazanie dziecka. Jednak dobry humor jej nie opuszczał, bo ufała, że Poniatowski w końcu jej córkę uwolni, a wtedy będzie mogła zostawić tych ludzi i to miasto za sobą.

III

Mimo zimowej aury, padającego od kilku dni śniegu i dojmującego zimna, z powodu którego Émilie często budziła się nocą, szukając dodatkowych nakryć w postaci narzuty czy szlafroka, Warszawa bawiła się i żyła karnawalem. Émilie z okien kamienicy wychodzących na ulicę widziała galopujące powozy, w nich rozochoczone pary w uściskach, mężczyźni głośno wykrzykujących niezrozumiałe hasła, a także wesołe, ukryte wstydliwie za futrzanymi kapturami kobiety, których śmiech niósł się i odbijał od ścian budynków. To miasto było jak pogrążone w amoku i nieustających bachanaliach, święcie wina i rozpusty. Nawet nocą budziły ją odgłosy kopyt i kół na bruku, kiedy elity wracały z balów, rautów i spotkań towarzyskich.

Ona czekała tylko tego jednego wydarzenia, na którym miała się pojawić, czyli balu w pałacu Pod Blachą, choć miała wrażenie, że akurat tam bawiono się stale i równie hucznie, co u Talleyranda, w dodatku zabawa rozpoczęta wieczorem często przeciągała się do późnych godzin popołudniowych dnia następnego. Émilie obserwowała rozświetlone, rozedrgane muzyką i śmiechami okna pałacu, gdy wychodziła pooddychać świeżym powietrzem, by nie zgnuśnieć w mieszkaniu. Nie wiedziała, kiedy przyjdzie jej znowu galopować konno, więc wołała nie tracić sprawności. Dość miała swojej złotej klatki. Jej protektorzy zadbali o nią, ale niepokój gnał ją przed siebie. A i tęsknota za opiekuńczymi ramionami Antoniego nie dawała jej oddechu. Ganiła się za to, że traci swój cel z oczu, że są chwile, gdy nie wspomina córki, bo jej myśli krążą wokół tego mężczyzny.

Jakoż niebawem dostarczono jej zaproszenie na bal w pałacu i jeszcze tego samego dnia przywieziono kolejną modną suknię, jednocześnie żądając zwrócenia toalety, którą nosiła na poprzednim balu. Służąca przygotowała wszystko i Émilie widziała przez okno, jak posłaniec pakuje do powozu zabezpieczoną i zapakowaną garderobę. Nie miała zamiaru zatrzymywać niczego, co dostała od tych ludzi, nawet tych kilku zmian ubrań, w których obecnie chodziła. Na wszelki wypadek kazała służącej oczyścić mundur i płaszcz, które miała na sobie, gdy znalazła się w Warszawie. Tak samo zadbała o to, by koniem zajęto się troskliwie, zaś pieniądze zabrane Treillardowi trzymała na czarną godzinę, na wypadek gdyby musiała uciekać zdana tylko na siebie.

Kiedy zajechał po nią powóz, była już gotowa do wyjścia. Szafirowa suknia z suto marszczonym trenem spływającym od pleców w dół łagodnymi fałdami wyszczuplała ją podobnie jak wysoko upięte ciemne loki ozdobione piórem i delikatnymi perłami. A te idealnie harmonizowały z kolorem sukni przypominającym morską toń, na której tle odbijały się niczym gwiazdy na niebie. Wystarczyło zarzucić płaszcz na ramiona, poprawić rękawiczki i zanurzyć się w tętniącą radością noc.

Miasto w świetle gazowych latarń przypominało jej baśniową krainę. Zakryte całunem śniegu odbijającym żółte płomienie, pulsujące życiem dzięki powozom zajeżdżającym jeden za drugim na dziedziniec pałacowy, a przybywającym z różnych stron, nie było już tym niegościnnym, zimnym skupiskiem przypadkowych ludzi.

Émilie wysiadła z powozu, a wewnątrz pałacu wchłonęło ją niemal natychmiast i wessało w siebie, otaczając gwarem rozmów, śmiechów i bliskością ludzi niedbających o nic poza dobrą zabawą. Ktoś ją witał, ktoś dopytywał o coś, ktoś zachęcał, by szła dalej i dalej, aż wreszcie trafiła na siostrę księcia, którą miała okazję poznać wcześniej. Podeszła do kobiety olśniewającej bogactwem stroju i skłoniła się z szacunkiem. Tyszkiewiczowa natychmiast ją rozpoznała i otoczyła opieką, kierując na nią wzrok

towarzyszących jej kobiet, które chłodziły się bogatymi wachlarzami, bo we wnętrzach panował niesamowity zaduch. Jakby ktoś napalił mocno w kominkach i pozamykał szczelnie wszystkie okna, a na zewnątrz było lato, nie mroźna zima.

– To nasza piękna pani de Bérier – zwróciła się do niej nazwiskiem, które wymienił Antoni.

Émilie nie wyprowadziła jej z błędu. Hrabina przedstawiła jej swoje towarzyszki, kojarzące się Émilie ze starymi malowidłami, które ktoś usiłował odświeżyć, nakładając zbyt wiele krzykliwych barw. Efekt był opłakany, momentami wręcz komiczny. Na szczęście księżę pojawił się przy niej w odpowiednim momencie.

– Widzę, że wpadłaś w sidła mojej drogiej siostry – zagał.

Émilie ukloniła się z gracją.

– Z przyjemnością oddałam się w opiekę pani hrabiny, wasza książęca mość, ponieważ nie znam tu nikogo... – urwała, widząc raptem przed sobą jedną znajomą twarz. Zakręciło jej się w głowie, kiedy serce na moment stanęło, a oddech uwiązł w piersiach.

– Dlatego też zostawiam panią pod lepszą nieco kuratelą i z pewnością ciekawszą – zaśmiał się Poniatowski, widząc jej reakcję. – Wybacz, droga siostrze. Panie...

Émilie ledwie co słyszała z reszty dialogu między kobietami a księciem. Widziała tylko czarne, roziskrzane oczy wpatrzone w nią z mieszaniną żalu i pretensji. Poczowała silne palce Podolskiego zaciskające się na jej dłoni, którą podał mu księżę. Powinna była uciec, a przede wszystkim przewidzieć, że może go tu spotkać. Stała teraz nieprzygotowana, odsłonięta, skonsternowana.

– Co ty tu robisz? – warknęła, gdy pierwszy szok minął.

Podolski już nie patrzył na nią z uwielbieniem.

– Bo co ty tu robisz, wiedzą wszyscy. – W jego oczach czaiła się pogarda.

Wiedzona chęcią zadania kłamu temu, co o niej myślał, odpowiedziała, zanim zdążyła się powstrzymać.

– Nic nie rozumiesz, Antoni. Doprawdy widzisz to, co chcesz widzieć. Sądzisz ludzi swoją miarą.

– Wydeła usta w pogardliwym grymasie.

Podolski chwycił ją za łokieć i szarpnął ku sobie, aby zaciągnąć ją w ustronne miejsce, za którym rozglądał się, krocząc przez salę, a potem korytarz. Émilie udawała, że idzie za nim z własnej woli, ale jego palce, boleśnie ściskające jej ramię, nie dawały szans na ucieczkę. Znajomy strach oplótł klatkę piersiową i zimnymi smugami sunął ku szyi, choć ufała Podolskiemu na tyle, by wiedzieć, że nie robi jej krzywdy. Wreszcie znaleźli się w jakimś ciasnym przejściu, rodzaju korytarzyka, który Antoni musiał dobrze znać. Odwrócił ją ku sobie, aż na niego wpadła.

– Jak śmiesz mnie kompromitować? – wyrzuciła z siebie i uderzyła pięściami w jego piersi.

– Kompromitować? Ciebie? Nie dość się skompromitowałaś, włączając księciu niemal siłą do łóża?

Zanim pomyślała, jej dłoń poszybowała w stronę jego policzka. Rękawiczka złagodziła uderzenie, ale kiedy Podolski podniósł na nią wzrok, Émilie zamarła i skuliła się ze strachu. Coś w niej pękło. W murze, którym się otoczyła, by nie cierpieć, pojawiła się rysa, a strach zawładnął nią całkowicie. Cofnęła się o krok.

– Przepraszam – szepnęła przerażona nie tyle tym, co zrobiła, co nieuchronną karą. Kiedy Podolski zrobił krok w jej stronę, skuliła się i jęknęła ze strachu, jednak zamiast spodziewanego uderzenia usłyszała:

– Émilie?

Podniosła wzrok na Antoniego, a on objął jej twarz dłońmi i kiedy przymknęła oczy, omdlała ze strachu, wycisnął na jej ustach pocałunek. Nie mogła się ruszyć, nie była w stanie go odwzajemnić, co mężczyzna widać błędnie odczytał jako niechęć z jej strony. Tymczasem ona śmiertelnie się bała. Odsunął się od niej, dysząc ciężko.

– Rozumiem – rzucił gorzko i odszedł, trącając jej ramię.

Niemal straciła przytomność, aż przytrzymała się ściany, by dojść do siebie. Demony strachu i niepewności osaczyły ją z niespotykaną siłą. Nawet Podolski nie potrafił ich odegnąć. Ze wszystkich sił próbowała się uspokoić i nie rozplakać. Minęło jednak kilka długich minut, zanim mogła wrócić w gęstniejący z każdą sekundą tłum gości. Podano kolację i Émilie dołączyła do kobiet, lecz nie mogła

zmusić się, by coś zjeść. Kiedy zagrała wreszcie muzyka i goście wrócili do sali tanecznej, bezskutecznie rozglądała się za Antonim. Nie mogła go dostrzec w tłumie. Nie miała najmniejszej ochoty bawić się ani tańczyć, mimo to pozwoliła kilka razy zaprosić się do tańca.

W swym roztargnieniu nie zauważyła nawet wysiłków Poniatowskiego, który zaszczyił ją tańcem, by ją rozbawić. Nie zorientowała się, że celowo tak ją poprowadził, że wreszcie dostrzegła Podolskiego, który szeptał coś na ucho młodej kobiecie, rozkosznie rozchichotanej i wystawiającej mu przed nos ledwie osłonięte piersi, w które zaglądał z zainteresowaniem.

– Sama widzisz, moja droga, że my wszyscy jesteśmy tacy sami – podsumował scenę księżę, pochylając się do jej ucha.

Nie skomentowała tego. W głowie jej szumiało i w oczach się dwoiło, jakby wypita zbyt dużo wina. Dokończyła taniec, unikając patrzenia w stronę Antoniego, który rychło zniknął jej z oczu, i pozwoliła się odprowadzić, kiedy muzyka umilkła. Zaraz potem, lawirując zręcznie pomiędzy gośćmi, udała się w stronę wyjścia. Jakież było jej zdziwienie, gdy dostrzegła w głębi jednej z sal na piętrze Podolskiego z tą rozchichotaną blondyneczką. Ich spojrzenia się spotkały, ale Émilie szybko odwróciła wzrok.

Zbiegła schodami do sieni, gdzie zarzuciła na siebie byle jak płaszcz i prawie wybiegła na dziedziniec, dużymi haustami łapiąc w płuca zimne powietrze. Musiała opanować emocje, które się w niej kotłowały na myśl, że Antoni jednak nie jest taki, za jakiego go uważała. Nie czekał długo, by poszukać pocieszenia w ramionach innej. Émilie najchętniej biegłaby teraz przed siebie, jak najdalej od tego przybytku rozpusty, ale podjechał obszerny powóz. Chciała odsunąć się od niego, lecz wtedy z jego wnętrza wynurzyła się ciemna postać, która chwyciła ją za ramiona i usiłowała wciągnąć do środka. Krzyknęła krótko, przeciągle i szarpnęła się z całej siły, jednak drugi napastnik zasłonił jej usta i pchnął tak, że Émilie tylko ostatkiem sił zapałała się ciałem o stopnie.

– Zamknij się, suko – wysyczał jej w ucho.

Poczuła, jak sztywnieje ze strachu, a oczy zasnuwa jej czarna mgła. Być może tylko dzięki temu, że znieruchomiała, napastnik miał problem z wepchnięciem jej do powozu. Zanim zdążyła pomyśleć, coś odciągnęło człowieka, który zatykał jej usta, zaś jego dłoń zemknęła się z jej twarzy, zostawiając na niej bolesne pręgi. Wiedzona instynktem kobieta wyszarpnęła się drugiemu mężczyźnie wciągającemu ją do wnętrza powozu i odskoczyła na bok, aż się zatoczyła. Fałdy sukni i płaszcz płątały jej się między nogami, a pantofle, ślizgające się na oblodzonym bruku, uniemożliwiały ucieczkę. Przyłgnęła plecami do powozu. Dopiero teraz dostrzegła mężczyzn, którzy tarzali się na pałacowym dziedzińcu, rycząc przy tym niczym walczące niedźwiedzie.

Na pomoc zamaskowanemu bandycie ruszył ten, który jeszcze chwilę wcześniej szarpał ją i ciągnął do powozu. Rzucił się z głuchym rykiem na tego w lekkim mundurze. Émilie rozpoznała w nim Podolskiego i z cichym okrzykiem rzuciła się na prześladowcę, wykonującego zamach i celującego pięścią w głowę Antoniego. Skoczyła na plecy mężczyzny, starając się wbić palce w jego oczy. Ten zawył i szarpnął się, by ją z siebie zrzucić. Okazał się silniejszy, niż myślała. Cofnął się i uderzył jej plecami o koło powozu, aż straciła oddech i bezwiednie rozluźniła palce. W ferworze walki nie dostrzegła, kiedy na pomoc Antoniemu, powalonemu na bruk i okładanemu pięściami, ruszyli inni oficerowie i ktoś ze służby. Napastnicy nie czekali, aż dopadną ich zbiegający się zewsząd mężczyźni. Jeden wskoczył na kozła i krzyknął na konie, a drugi rzucił się do wnętrza powozu. W ostatniej chwili Émilie odskoczyła, ratując się przed stratowaniem. Antoni poderwał się, ale zamiast próbować dogonić powóz, chwycił ją w ramiona.

– Émilie! – krzyknął, a potem powtórzył już ciszej, kiedy wtuliła się w niego rozdygotana, słaniająca się na nogach i obolała: – Émilie, nic ci nie jest? – Odsunął ją od siebie, by baczenie się jej przyjrzeć, ale nie zdążyła mu odpowiedzieć.

Ktoś pognął za powozem, ale musiał zawrócić, bo bruk był tak śliski, a pojazd tak szybki, że nie było szans, by na niego wskoczyć. Kilku oficerów zasypało ich pytaniami, ktoś ciągnął ich do wnętrza pałacu, w którym bawiono się w najlepsze, jakiś wysoki jegomość basowym głosem zapewniał, że to szczyt bezczelności. W tym ferworze przymknęła powieki i oparła się na piersiach Podolskiego, czując, że ziemia usuwa jej się spod stóp.

– Émilie, trzymam cię – szeptał jej do ucha. – Zabiorę cię stąd. Wytrzymaj.

Pokiwała głową, z całej siły wczepiając się palcami w kurtkę jego galowego munduru. Czuła, jak Antoni drży, zapewne z emocji i zimna, mimo to uspokoił rozwrzeszczane zbiegowisko i poprosił o powóz.

– Odwiozę panią de Brier do jej mieszkania.

– Powiniście dostać obstawę. Nie możecie ryzykować ponownego napadu – rzucił oficer o basowym głosie i wyprawił z nimi kilku ludzi.

Ktoś narzucił na plecy Podolskiego płaszcz i Émilie poczuła się jak w bezpiecznym kokonie, otoczona zapachem Antoniego, jednak mimo to odsunęła się nieznacznie od niego i popatrzyła mu w oczy.

– Wrócę sama. Nic mi nie będzie. Nie będą ryzykowali drugi raz tej samej nocy.

Ci z zebranych na dziedzińcu, którzy usłyszeli jej słowa, zaczęli zaraz protestować i przekrzykiwać się wzajemnie, aż Podolski musiał ich ponownie uciszać.

– Zawiozę cię do mieszkania i upewnię się, że jesteś bezpieczna.

Otwierała usta, by zapewnić go, że da sobie radę, ale on warknął:

– Nie ma mowy, że pojedziesz sama. – Po czym pociągnął ją do powozu, który właśnie dla nich podstawiono.

Pomógł jej wspiąć się do środka, żeby po chwili do niej dołączyć. Zajął miejsce obok, choć mógł usiąść po przeciwnej stronie. Zebrani udzielali im jeszcze dobrych rad i instruowali oddelegowanych jako eskorta żołnierzy. Wreszcie konie szarpnęły i powóz potoczył się po bruku.

Émilie starała się zachować dystans między nimi, ale wtedy Antoni rzucił:

– Wiem o wszystkim.

Zamarła. Kolejny raz tego wieczoru przeżyła szok, zawód i niedowierzenie.

– Książę ci powiedział... – szepnęła, a łzy zakręciły się pod powiekami.

– Émilie... – W półmroku powozu rozpraszającym bladym światłem latarni oczy Podolskiego lśniły jak czarne jeziora. – Dlaczego mi nie powiedziałaś prawdy?

Zapadła cisza, bo Émilie nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć. Rozczarowanie, że książę zdradził jej tajemnicę, że naraził ją, piekło nieznośnie.

– Bałam się, że nie zrozumiesz – wydusiła z siebie.

– Czego? Że próbujesz odzyskać dziecko? Że szukałaś u księcia pomocy?

Z powodu ulgi, którą odczuła, nie mogła z siebie wydobyć głosu. A więc Poniatowski nie powiedział mu całej prawdy. Odetchnęła i jednocześnie odczuła smutek, że nadal ten mężczyzna wie o niej niewiele, a jeżeli kiedyś się dowie, nie spojrzy już nigdy na nią w taki sposób, w jaki patrzy teraz. Z nadzieją, z podziwem, z radością.

– Mogłaś poprosić o to mnie. Nie odmówiłbym ci. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Émilie. – Jej imię wypowiedział miękko, prosząco, ciepło, aż coś w niej stopniało i rozlało się po całym ciele.

– Nie chciałam cię obarczać, a książę stoi na straży porządku w tym mieście.

– Émilie, najdroższa.

Nie odpowiedziała mu, bo pocałował ją, a ona nie miała sił się bronić.

Tej nocy do niczego między nimi nie doszło, choć Antoni został z nią do rana i nawet zasnęli w jednym łóżku.

Galowy mundur zawisł na krześle, kiedy Émilie ostrożnie obejrzała twarz pułkownika. Przyjrzała się jej na tyle, na ile pozwalał na to blady płomień świecy. Oczyściła otarcia wilgotnym ręcznikiem, ciesząc się, że poza kilkoma siniakami Antoniemu nic poważniejszego się nie stało.

– Kim mogli być ci ludzie? – zagadnął Podolski, chwyciwszy ją za rękę, która zawisała nad jego policzkiem. – Dlaczego chcieli cię porwać?

Émilie wszędzie poznałaby głos, który usłyszała na dziedzińcu. To był moment, w którym Podolski powinien był poznać prawdę, a przynajmniej tę jej część, która nie sprawi, że ją znienawidzi. Mimo tej świadomości milczała dłuższą chwilę, patrząc w ufne oczy mężczyzny. Cofnęła się i wyrwała dłoń z jego dłoni.

– Oni musieli cię pilnować, Émilie. Musieli wiedzieć, kim jesteś i czekać właśnie na ciebie. –

Antoni myślał głośno. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie porzywa kobiety z dziedzińca pałacu, na oczach gwardii księcia. Kim oni byli? – Przyjrzał się jej uważnie. – Ty wiesz, prawda? Kim ty jesteś? – Chwył jej dłoń. – Émilie, ty wiesz...

– To mój mąż, generał Charles Treillard – powiedziała cicho, nie patrząc Antoniemu w oczy. Wtedy puścił jej rękę, jakby nagle rozgrzała się do czerwoności.

Kiedy podniosła na niego wzrok, zobaczyła pustkę w rozszerzonych zdziwieniem oczach.

– Jak to? Przecież ty się nazywasz de Bérier... – zaczął, ale urwał, gdy pokręciła głową.

Émilie przysiadła na stojącym obok krześle i zakryła twarz dłońmi. Nabrała powietrza i odetchnęła głęboko, żeby znaleźć w sobie kolejny raz siłę na opowiedzenie historii swego życia.

– Nazwisko de Bérier nosił mój ukochany, ojciec mojej córki, który zginął w czasie kampanii w Egipcie. Rodzina wydała mnie za Treillarda, by zapewnić mi dostatnie życie, ale mój mąż okazał się potworem. Nakazał mi odprawić dziecko. Na szczęście mogłam córce zapewnić odpowiednią opiekę, ale warunek był taki, że miałam stać się dla niego dobrą żoną. Tylko jak miałam nią być dla kogoś, kto robi te wszystkie straszne rzeczy? – zapytała i umilkła. Nie potrafiła mówić spokojnie o tym, co ją spotkało, choć starała się z całych sił panować nad emocjami. Ogarnął ją nagle wstyd. Nie chciała, by Antoni dowiedział się, jak wyglądało jej małżeństwo. Nie patrzyła na niego, by nie wyczytał tego z jej oczu.

– Émilie, co on ci zrobił? – zapytał spokojnie, a kiedy nie odpowiedziała, wstał i klęknął przy niej, zaglądając jej w oczy. – Powiedz mi, co on ci zrobił, że uciekłaś? Musiałaś mieć ważny powód.

Wystarczyło, że wspomniała o gwałtach i biciu, a dłonie Podolskiego zacisnęły się na jej dłoniach. Czują, jak spina się jego ciało, jak cały się jeży, jakby zaraz miał doskoczyć do Treillarda.

– Zabiję go – wysyczał i wstał.

– Nie możesz nic zrobić, Antoni – powiedziała spłakany głosem. – Należę do niego, a póki nie mam przy sobie mojej córki, nie odzyskam wolności.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz męża? Dlaczego mnie okłamałaś? – zapytał nagle.

– Nie okłamałam, tylko nie powiedziałam ci wszystkiego! – wykrzyknęła ze łzami w oczach i poderwała się, żeby podejść do kominka i otoczyć się ramionami. Ogarnął ją nagły chłód. – Człowiek, którego kochałam i z którym miałam spędzić życie, zginął. Treillard dopilnował, by znalazł się tam, gdzie nie miał szans na przeżycie.

– Jak to?

– Dowiedziałam się tego przypadkiem od jednego z jego przyjaciół, takich samych jak on tyranów i ludzi bez serca, którzy za wszelką cenę stawiają na swoim, nawet kosztem ludzkich tragedii i śmierci. – Otarła mokre od łez policzki.

– Przecież mogłaś od niego odejść. We Francji to nie jest chyba takie trudne.

– Nie od tego diabła – zaśmiała się głucho. – Czy myślisz, że pozwoliby mi na to? Zapominasz, że miał mnie w garści, bo mam córkę, za którą oddałabym życie.

– A jednak uciekłaś od niego tamtej nocy po bitwie, kiedy leżał ranny. – Antoni pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Uciekłam, bo dowiedziałam się, że moja córka... – zawahała się, ponieważ w tym miejscu musiała pominąć pewne fakty, tak by Podolski nie zorientował się, kim naprawdę była. Nie umiała mu w pełni zaufać. – Ona została porwana. Treillard chciał mieć mnie przy sobie, ale widać to mu nie wystarczało. Chciał mną manipulować za pomocą dziecka – dokończyła z nadzieją, że takie tłumaczenie go zadowoli.

Podolski podniósł się i podszedł do niej.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy, Émilie? Treillard jest moim dowódcą – odparł Antoni głuchym głosem. – Wie, że go zaatakowałam, że stanąłem w twojej obronie.

– Był zamaskowany, a ty ruszyłeś na pomoc kobiecie. Nikt nie będzie miał ci tego za złe – powiedziała niepewnie.

– Nie o tym mówię. Dlaczego mi nie zaufałaś, nie poprosiłaś o pomoc? Wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko. – W jego głosie pobrzmiwała pretensja.

– Skąd miałam to wiedzieć? – odparła buńczucznie. – Jesteś jego podkomendnym. Wydawało mi

się nawet przez moment, że to on cię na mnie nasłał; że to jedna z jego chorych gier.

– Émilie – szepnęła Antoni i objął ją mocno, aż westchnęła z ulgą i przyłgnęła do niego, pierwszy raz czując błogość, jakiej nie doświadczyła od dawna. – Ja ci ufam, dlatego zdradzę, po co przyjechałem do Warszawy – mówił cicho. – Treillard wysłał mnie tu, ponieważ jego ordynans zdezerterował z ważnymi dokumentami, o czym nikt nie wie.

Émilie wstrzymała oddech i znieruchomiała. Już wiedziała, co usłyszy, ale modliła się, by prawda okazała się inna.

– Mam znaleźć tego człowieka, odebrać mu dokumenty i zlikwidować go.

Zamknęła oczy i stłumiła szloch rodzący się w gardle. Jej życie było pasmem nieporozumień. Od śmierci ojca Marie wszystko, czego się dotknęła, sypało się i rozpadało, a ona czuła się jak liść szarpany wiatrem i rzucany gdzie popadnie.

– Podobno ten chłopak uciekł gdzieś tutaj. Być może będzie starał się przedostać do Francji pocztowym dyliżansem, a może ruszy samotnie, choć to duże ryzyko, ale wcześniej spróbuje na pewno spieniężyć dokumenty. To coś ważnego, o czym nie mogę mówić. Dla pewnych ludzi ma to dużą wartość i sądzę, że on o tym wie. Dlatego rozmawiałem z księciem. On tu zna wszystkich, będzie wiedział, gdzie chłopak z tym poszedł, jeśli tylko to robi. Treillard był poważnie ranny. Nie był w stanie odebrać patentu generała dywizji, ale najwyraźniej doszedł do siebie i postanowił osobiście się tu zjawić w twojej sprawie, bo jak widać po dzisiejszej nocy, to raczej ty zajmujesz go bardziej niż poszukiwania ordynansa.

– On ma obsesję na moim punkcie. Nie daruje mi tej ucieczki. Będzie mnie ścigał do końca. – Émilie starała się mówić spokojnie, by nie dać poznać po sobie, jak przeraziła ją myśl, że Antoni nawet nie wie, że to ona powinna zginąć, to właśnie jej szuka, choć nie ma o tym pojęcia.

Jednak teraz było za późno, by wyznać mu prawdę. Zrozumiała, że ucieczka Gaskończyka uratowała ją przed zdemaskowaniem, a ordynans nawet nie domyślał się, że ktokolwiek go ściga. Pozostawało tylko brnąć w kłamstwo i modlić się, by książę trafił jak najszybciej na trop Marie, a potem zniknąć z tego przeklętego miasta, zostawiając za sobą też Podolskiego. Ich znajomość tak czy inaczej nie miała żadnych szans na przerodzenie się w coś więcej niż chwilowy romans. Porażona tą myślą Émilie wtuliła się mocniej w ramiona Antoniego, by choć przez chwilę jeszcze pławić się w bijącym od niego cieple.

IV

Ta głupia suka, dla której się poświęcił i której zapewnił dostatnie życie, okazała się niewdzięczną dziwką. Tak mu się odplaciła za to, że pozwolił jej odwiedzać tego małego bękarta; że się go nie pozbył. Poznała go, czuł to. Jej ciało spięło się i naprężyło jak do skoku, więc wciąż w niej budził podniecenie i na nią działał.

Żarty się skończyły. Treillard zerwał maskę z twarzy i przejrzał się w zwierciadle. Nawet w słabym świetle świecy dostrzegł, że świeża rana ciągnąca się od skroni do policzka otworzyła się pod wpływem ciosów tego chlystka, którego wysłał na poszukiwania ordynansa. Umazany był krwią, ale nie czuł bólu. Otarł mokrym ręcznikiem policzek, jednak krew sączyła się nadal, więc przycisnął materiał i ryknął, ze złości kopiąc stojące w pobliżu krzesło. Zrozumiał, że go oszukali. Razem wykradli dokumenty i śmiali mu się w twarz, gdy zlecał poszukiwania ordynansa. Ten Polak i ona byli w zмовie.

W głowie zaczynało mu szumieć i dzwonić, jakby ktoś uwięził tam rój pszczół, a potem kazał je rozdeptywać batalionowi wojska w podkutych butach. Chwycił się obydwoma dłońmi za obolałą czaszkę i zawył dziko, nie zważając na krew, która zaczęła skapywać na podłogę.

Zemścić się, osaczyć ją, żeby umierała ze strachu i cierpiała jak najdłużej – tego chciał. Taka była jego ostatnia myśl, zanim padł jak rażony piorunem na podłogę.

V

Dni mijały, a Kryśka wciąż rozmyślała o mężczyźnie, który zajmował teraz pokój Antoniego. Nie śmiała nawet się do niego zbliżyć, choć raz, kiedy zobaczyła go, jak pogalopował na oklep na koniu, odważyła się tam zakraść. Na oparciu krzesła wisiała kurtka munduru polowego. Wysłużona, z trudem doczyszczona przez Manię, ale kiedy przytuliła policzek do jej rękawa, wciąż wyczuwalny był na niej zapach mężczyzny, który ją nosił. Wiatr igrający nad stawem w letnią noc – pomyślała, gdy przymknęła

oczy. Spłoszył ją hałas w głębi domu i od tamtej pory trzymała się z dala od Śniegockiego, ale przed snem często odtwarzała ślad, który pozostawiły na jej twarzy jego palce.

ROZDZIAŁ VII

I

Podolski niechętnie rozstał się bladym świtem z Émilie. Dzień wstał słoneczny, chociaż mroźny, ale Antoni, mimo zapuchniętego oka i obolałych żeber, czuł się doskonale. Wreszcie wyjaśnili sobie wszystko i ogarnął go spokój. Nabrał pewności, że z jego pomocą Émilie pozbędzie się wreszcie Treillarda ze swego życia. Jeśli będzie trzeba, był gotów uciec z nią jak najdalej stąd. Oczywiście wcześniej miał zamiar pomóc jej w odnalezieniu dziecka. Już widział oczami duszy, jak kobieta rzuci mu się z wdzięczności w ramiona. Zanim to jednak nastąpi, musi uporać się ze swoją misją. Leniwy uśmiech wypełził mu na usta na wspomnienie jej pocałunków i drobnych pieśczoł. Choć działał na zlecenie Treillarda, to teraz nie był pewien, czy nadal powinien mu przekazać dokumenty, o ile uda mu się je odzyskać. Czy cesarz nie ukarałby Treillarda dotkliwie, gdyby dowiedział się, że ten nie upilnował swego ordynansa? Kto wie, być może skazałby go nawet na karę śmierci i tym sposobem wszystkie problemy Émilie rozwiązałyby się same, a wtedy on mógłby...

No właśnie. Antoni przyłapał się na tym, że on, zagorzały kawaler, chciałby z tą kobietą spędzić życie. Było w niej coś takiego... Jakaś sprzeczność, siła i jednocześnie delikatność. Niezdolna do niemoralnego zachowania, a z drugiej strony gotowa na wszystko dla dobra dziecka, zaskoczyła go siłą charakteru i odwagą. Nie dorównywała jej nawet jego własna matka, która stanowiła dla niego wzór kobiecych cnót. Marianna Podolska gotowa była na wiele dla swych dzieci, ale chyba raczej w granicach swojej bezpiecznej przystani, jaką stanowił dwór w Podolanach. Kolejny raz pułkownik uśmiechnął się do swoich myśli. Już wiedział, czego chce i postanowił dążyć do tego celu, choćby i po trupach, najlepiej Treillarda i jego zbirów.

Jakaż była jego radość, gdy okazało się, że w mieszkaniu czekała na niego wiadomość z pałacu Pod Blachą. Los mu sprzyjał, był tego pewien. Miał się udać niezwłocznie do lazaretu wojskowego przy Miodowej, gdzie podobno znajdował się francuski żołnierz, uczestnik potyczki w Prusach Południowych, mogący być poszukiwanym ordynansem. Podolski zmienił galowy mundur wymagający czyszczenia na cywilne ubranie i udał się prosto na Miodową, do budynku, w którym dawniej znajdowało się Collegium Nobilium. Pierwsze kroki skierował do gabinetu oficera zarządzającego placówką, któremu pokazał list od księcia, mający mu umożliwić odwiedzenie chorych.

Najpierw jednak poprosił o rozmowę z personelem medycznym. Jeśli ktokolwiek mógł mu udzielić wiarygodnych informacji, to właśnie lekarze. Chciał potem iść bezpośrednio do poszukiwanego, żeby ten w żaden sposób nie został uprzedzony o jego wizycie. To dawało mu element zaskoczenia i pewność, że zbieg nie ucieknie.

– Rzeczywiście, przewieziono do nas kilku mniej i poważniej rannych – poinformował go krępy mężczyzna w mundurze, na który narzucił lekarski kitel. W jego ruchach widoczne było znużenie i niechęć. Nie wyglądał na kogoś, kto przeprowadza amputacje czy inne zabiegi, bo ci z reguły nosili brudne od krwi i wydzielin fartuchy, a za paznokciami mieli zaschniętą posokę. Raczej był kimś w rodzaju nadzorcy. – Część z nich to nie ofiary kul armatnich czy szabel, a mrozów i braków aprowizacyjnych.

– Czy wśród nich znalazł się może szczupły, blady Gaskończyk z twarzą ledwie oprószoną pierwszym wąsem? – zapytał Antoni, choć chłopak mógł wychudnąć, a choroba czy rany mogły go zmienić nie do poznania, przez co sam mógł mieć kłopot z rozpoznaniem go. Jednak na jego korzyść przemawiał charakterystyczny akcent i sposób, w jaki chłopak seplenił, dzięki czemu lekarz mógł zapamiętać młodzika.

– Trudno powiedzieć – zastanowił się. – Zazwyczaj mamy tu takich, co za dużo nie mówią, raczej pojękują. Niech pan przejdzie, panie pułkowniku, najpierw do sal na parterze, a potem na piętro.

Antoni poszedł za radą lekarza, ale uprzednio poprosił o kitel lekarski, żeby nie rzucać się w oczy i nie wzbudzać czujności chorych. Kiedy wszedł do obszernej sali, najpierw w jego nozdrza uderzył fetor wydzielin, starej krwi i niemytych ciał, a następnie usłyszał rodzaj jednostajnego sapania przeplatane go stęknieniami i pojękiwaniami. Szedł niespiesznie, przyglądając się rannym i chorym z powodu wyczerpania i zimna, nie zawsze ułożonym w łóżkach. Niektórzy spoczywali na siennikach leżących wprost na drewnianej podłodze.

Raczej nie było tu oficerów. Domyślał się, że ci kurowali się w nieco lepszych warunkach. A przecież on też mógł tu leżeć albo spoczywać w jakiejś zbiorowej mogile jako bezimienny trup. Wzdrygnął się na tę myśl. Czy jakkolwiek kraj, jakkolwiek idea jest warta tego, by ci w większości młodzi mężczyźni, przed którymi życie stało otworem, musieli cierpieć i umierać z dala od rodzin, od ojczyzny? Nie zdążył sobie odpowiedzieć na to pytanie, bo w kącie sali coś się poruszyło, coś zaburzyło ten rytm oddechów i pojękiwań. Antoni obrócił się i dostrzegł w ostatniej chwili, jak ktoś znika w sąsiednich drzwiach. Mignęła mu tylko kula, na której podpierał się uciekinier. Wiedziony bardziej przecuciem niż pewnością, poszedł w tym kierunku.

Wyszedł na korytarz i znowu dostrzegł tylko plecy człowieka z kulą, który zniknął za rogiem, a gdy zawołał za nim, ten przyspieszył. Podolski ruszył za nim i kiedy dotarł do kolejnego załamania korytarza, był pewien, że trafił na Gaskończyka. Dojrzał go ledwie kilka kroków przed sobą. Nie musiał nawet biec, by go dogonić, bo tamten najwyraźniej opadał szybko z sił, a kula, której używał, nie pomagała mu.

– Stój, d’Artois!

Chłopak ostatkiem sił, ledwie człapiąc, dopadł kolejnych drzwi, ale zanim zdążył je otworzyć, Antoni doskoczył do niego i rąbnął nim o ścianę, aż tamten pobałdł z bólu. Podolski przyjrzał mu się uważnie.

– Kim jesteś i dlaczego uciekasz? – wysyczał w przerażoną twarz, która niestety nie należała do Gaskończyka.

Chłopak wyjęczał, że wziął go za cesarza, który go prześladowuje, bo zawiódł na polu walki. W oczach miał obłęd i Antoni domyślił się, że młodzik pod wpływem tego, co musiał przeżyć w czasie bitwy, nie jest do końca sprawny na umyśle. Mimo to zapytał go o młodego Gaskończyka imieniem Henri.

– Tak, panie, był tu. Obcięli mu palce u stopy. Odmrożenia paskudne. – Cmoknął jakby z podziwem chłopak. – Przeżył amputację i gdzieś go odesłali.

Antoni uwolnił chłopaka i przez moment zastanawiał się, czy przyparty do muru mówi prawdę, czy zmyśla, by mu się przypodobać. Był tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

– Opisz go. Jak wyglądał?

Młodzik okazał się bystrym obserwatorem, jednak najbardziej Antoniego przekonało to, jakoby Gaskończyk dziwnie mówił. Z wymową ordynansa rzeczywiście było coś nie tak. Jakby mu język uciekał przez zęby. Teraz wystarczyło dowiedzieć się, gdzie go wyeksponowano, co okazało się prostsze, niż Podolskiemu się wydawało.

Wrócił do nadzorującego placówkę. Tam dowiedział się, że według rejestrów prowadzonych dość skrupulatnie, ordynansa wysłano prawdopodobnie na drugi brzeg Wisły, gdzie zgodnie z poleceniem Napoleona rozpoczęto wyburzanie dotychczasowej zabudowy i planowano fortyfikacje. Jednak to musiało poczekać do następnego dnia, bo ten chylił się ku końcowi, a w ciemnościach szanse Podolskiego na odnalezienie ordynansa drastycznie malały.

II

Choć Émilie nie była zbyt długo na balu w Pałacu pod Blachą i nie dowiedziała się tam zgoła niczego interesującego, bo i cóż istotnego z punktu widzenia polityki mogło wydarzyć się w czasie, gdy ludzie chcą się bawić, zapominając o bożym świecie i pogrążając się w szale tańców, korowodów i folgowania wszelkim żądzom, to i tak postanowiła odwiedzić swego mocodawcę, by zdać mu szczegółowy raport.

Jak zawsze powitał ją ten sam nadęty sługus. Tym razem jednak nie zaprowadził jej prosto do swego pana. Powiedział coś w tym dziwnym, szeleszczącym języku, którego melodia odbijała się od wysokiego, półokrągłego sklepienia i ścian przyozdobionych trofeami myśliwskimi w postaci skór i poroży oraz całych łbów zwierzęcych.

– Nie rozumiem. Proszę mówić po francusku – upomniała sługę, ale ten tylko wzruszył ramionami i zostawił ją samą w zimnej sieni, znikając za dużymi drzwiami.

Odczekała jakiś czas, ale robiło jej się coraz zimniej. Ciepły płaszcz nie chronił dostatecznie przed chłodem, gdy nosiło się pod spodem suknię.

– Ciepłej było w mundurze – skonstatowała pod nosem Émilie i otuliła się szczelniej, co niewiele zmieniło, podobnie jak przytupywanie dla rozgrzewki.

Mijały kolejne minuty, ale nikt po nią nie przychodził. Wreszcie, przemarznięta i zdesperowana, otworzyła drzwi, za którymi znajdował się obwieszony obrazami korytarz. Niepewnie ruszyła truchtem ku schodom. Ktoś powinien był pilnować drzwi, ale najwidoczniej sługus niezbyt przykładał się do pracy. Nie zatrzymywana przez nikogo, ruszyła na piętro, ku salonowi, w którym przyjmował ją Tyszkiewicz. Stojąc u szczytu schodów, jeszcze raz bacznie się rozejrzała, ale nadal nie dostrzegła nikogo, więc podeszła do drzwi. Zdziwiło ją to, że nie były zamknięte i tylko dzięki temu usłyszała znajomy głos, którego dźwięk ją zmroził i odebrał zdolność ruchu i logicznego myślenia.

– Uciekaj, Émilie, uciekaj – szeptał gorączkowo głos w jej głowie, lecz ona nie mogła oderwać stóp od podłogi, jakby ktoś je do niej przybił.

Drgnęła dopiero, kiedy w salonie ktoś jęknął cicho i żałośnie. Usłyszała w tym tłumionym odgłosie ból, od którego zimny dreszcz spłynął jej po kręgosłupie, a potem głuche łupnięcie. To oraz odgłos zbliżających się do drzwi kroków wyrwały ją z marazmu. Nie miała czasu na ucieczkę. Gorączkowo rozejrzała się w poszukiwaniu schronienia. Najbliżej znajdowały się drzwi. Nawet nie zdążyła się zastanowić albo, co bardziej adekwatne, pomodlić, by były otwarte, a już naciskała klamkę. Ustąpiły, co przyjęła z ulgą tak wielką, że aż jej rozsadzała płuca. W pomieszczeniu panował półmrok, jak chyba w całym tym upiornym domostwie. Wstrzymała oddech i zacisnęła oczy, gdy zamknęła ostrożnie drzwi. Docierały do niej stłumione podniesione głosy, nerwowe kroki zza ściany i odgłosy szurania, zaś piersi rozsadzał ból od wstrzymywanego powietrza. A potem dał się słyszeć rytmiczny stukot, zapewne butów na schodach. I cisza. Émilie odetchnęła głęboko, ale wolno, kiedy już ledwie mogła wytrzymać, bo bała się, że nawet świst powietrza może ją zdradzić.

Nasłuchiwała dłuższy czas, ale nic się nie działo i najlżejszy dźwięk z wnętrza domu nie dobiegł jej uszu. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że z ulicy niesie się nawoływanie i inne ludzkie odgłosy, a także stukot kopyt oraz terkotanie kół na bruku. Ostrożnie chwyciła za klamkę i uchyliła drzwi. Przez szparę w nich nic nie było widać, a w budynku panowała głucha cisza, w której szelest płaszcza i sukni rósł do rozmiarów odgłosu metalowego dzbana spadającego po schodach. Zamarła spłoszona, ale po chwili zrobiła kolejny krok i wyjrzała na korytarz. Cisza i spokój. Zamknęła za sobą drzwi pokoju, w którym znalazła schronienie. Już miała zejść na dół, lecz jakaś ciekawość, przecucie kazało jej zajrzeć do salonu, gdzie rezydował Tyszkiewicz, tym bardziej że uchylone drzwi sugerowały, iż nikogo wewnątrz nie ma.

Położyła dłoń na klamce i lekko pchnęła skrzydło. Zaskrzypiało, aż ją zabolął ten dźwięk, wywołując kolejny dreszcz strachu. Widok, który pojawił się przed jej oczami, miał na zawsze wryć się w pamięć i wracać w koszmarach. W plamie światła padającego z wyjątkowo odsłoniętego okna zobaczyła Tyszkiewicza, a raczej jego zmasakrowane zwłoki przywiązane do fotela, w którym zwykł ją przyjmować. Wyłamane palce rąk sterczały w różnych kierunkach. Twarz przypominała miazgę, jakby ktoś siekał ją szablą. Émilie niewiele się pomyliła, bo obok krzesła leżał porzucony pogrzbacz do kominka. Rozbryzgi krwi na dywanach i meblach sprawiały wrażenie, jakby wybuchła w pomieszczeniu krwawa bańka. Kobieta otworzyła usta, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Przerazenie skutecznie odebrało jej głos.

Za drzwiami leżał w kałuży krwi służący, z oczami wbitymi w sufit, jakby wypatrywał tam ratunku przed śmiercią, która przyszła niespodziewanie i musiała być bolesna, o czym świadczył wyraz jego twarzy, zastygłej w grymasie naznaczonym cierpieniem.

Gdyby nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa, pewnie uciekłyby w popłochu. Na szczęście nie popełniła tego błędu.

Myśl, Émilie – powtarzała sobie w duszy, usiłując zapanować nad kłębiącymi się w głowie sprzecznymi emocjami. Chęć ucieczki walczyła w niej z racjonalną stroną natury, nakazującą rozejrzeć się. Dobrze wiedziała, czego powinna szukać.

Charles musiał ją śledzić, kiedy była tu ostatnim razem. Spodziewał się wycisnąć z Tyszkiewicza, dlatego go odwiedzała. Wnosząc po obrażeniach mężczyzny, cokolwiek zdradził Treillardowi, nie spotkało się to z jego aprobatą. Wyładował na jej prześladowcy swoje frustracje i choć nie pałała

do Tyszkiewicza sympatią, to nikomu nie życzyła takiej śmierci. Zapewne mężczyzna zdradził jej mężowi, że to ona miała skradzione dokumenty i to z pewnością rozwścieczyło tego despotę do reszty. Émilie mogła sobie tylko wyobrazić, jak toczy pianę z ust i tłucze bez opamiętania dawno nieprzytomnego Tyszkiewicza, kiedy dowiedział się o jej zdradzie. Dotąd znosiła w milczeniu jego prześladowania, więc nie miał powodów, by ją podejrzewać. Tym większe musiało być jego zaskoczenie.

Jej wzrok szybko odnalazł wśród walających się na podłodze bibelotów i książek, na których kartach dostrzegła odcisnięte krwawe ślady butów, poszukiwany przedmiot. Otwarta szkatuła leżała na stosie rzeczy, strasząc uniesionym wiekiem jak rozwartymi w niemym krzyku ustami. Émilie domyśliła się, że Treillard niczego w niej nie znalazł, bo zapewne ten cały księżę dawno zabrał dokumenty, a z pewnością zrobił z nich użytek. Przesunęła się kilka kroków w jej stronę, starając się nie zostawiać nigdzie odcisków butów, po czym dostrzegła leżący obok obryzganym krwią papier, na którym widniał zamaszty podpis z dwoma okrągłymi zawijasami biorącymi w okrąg litery nazwiska i jednym ozdobnym poniżej.

– Czartoryski – odczytała Émilie cicho i podniosła papier, który musiał być listem do Tyszkiewicza.

Drgnęła, zaniepokojona jakimś odgłosem we wnętrzu domu i czym prędzej wsunęła złożony papier do woreczka. Nie miała czasu, by zastanawiać się, czy do czegokolwiek jej się przyda. Ruszyła do wyjścia, ale nie wybiegła, jak początkowo podpowiadał jej instynkt, tylko ostrożnie wyjrzała na korytarz. Nie dostrzegłszy nikogo, wyszła i, najciszej jak się dało, zbiegła po schodach. Stała jak wryta u ich podnóża, gdzie natknęła się na służącego w liberii, który coś powiedział do niej po polsku.

– Nic nie rozumiem – rzuciła i chciała go ominąć, ale ten zatarasował jej przejście. W ostatniej chwili zrobiła unik i dopadła drzwi.

Krzyczał za nią, ale wyskoczyła na ulicę, jakby gnało ją stu diabłów. Trzymała w garści spódnicę tak wysoko, jak tylko się dało, żeby nie zaplątała jej się między nogami. Wskoczyła do czekającego powozu, nie bacząc na jazgot służby, która wyłoniła się z sieni, wrzeszcząca i machająca rękami. Woźnica krzyknął na konie, powóz ruszył, a Émilie opadła na siedzenie, uderzając głową o ścianę, aż jej zadzwoniło w uszach. Długo jeszcze nie mogła uspokoić oddechu i rozbieganych myśli. Za każdym razem, gdy przyknęła oczy, widziała zmasakrowanego Tyszkiewicza, którego jedno oko łypało na nią prześmiewczo z krwawej miazgi twarzy. Nagle zorientowała się, że powóz jechał w stronę jej mieszkania. Skoro Charles odnalazł Tyszkiewicza, musiał wiedzieć, gdzie mieszka ona, a być może i gdzie przebywa Antoni. Jej lokum z całą pewnością było obserwowane.

– Niech to diabli! Ty beznadziejna, głupia kukło! – warknęła sama do siebie i uderzyła dłonią o siedzenie.

Zastukała w ścianę powozu za plecami woźnicy, a kiedy ten zajrzał do wnętrza, kazała mu zmienić kierunek. Uspokoiła się dopiero wtedy, gdy skręcił w wąską i wyboistą uliczkę, wiodącą według jej rozeznania w przeciwną stronę niż jej mieszkanie.

Znow opadła na siedzenie i zaczęła się półgłosem łajać. Poczuli się na tyle pewnie pod skrzydłami Tyszkiewicza i księcia, że straciła czujność i na przekór zdrowemu rozsądkowi zostawiła w mieszkaniu większość pieniędzy ukradzionych mężowi. Co prawda ukryła je dobrze, ale co z tego, skoro nie mogła po nie wrócić. W woreczku miała niewiele, może na dwa, trzy noclegi w jakimś zajeździe pocztowym. Bez nich nie miała jednak szans na znalezienie jakiegokolwiek schronienia. Pozostawał zawsze pałac Pod Blachą, jednak nie chciała nadużywać przychylności księcia i tym samym powiększać długu wdzięczności wobec jego osoby. Owszem, miała list, którym mogła prawdopodobnie coś ugrać u Poniatowskiego, ale kto wie, jak na tym by wyszła.

Mieszkanie Antoniego też nie wchodziło w grę. Powinna go była ostrzec, dlatego kazała woźnicy jechać pod adres, który zapamiętała, gdy spędziła z Podolskim noc. Modliła się, by nie było go w mieszkaniu. Miała nadzieję, że zobaczy go zmierzającego tam i zdąży go ostrzec, zanim zostanie zauważona przez ludzi Charles'a.

– Aaa! Co ja sobie myślałam?! – Ponownie wyładowała swoją bezsilność na siedzeniu, uderzając w nie otwartą dłonią. Liczyła na to, że wspólnie z Antonim znajdą jakąś bezpieczną kryjówkę na czas

poszukiwań jej córki, a potem ona zniknie, zaś razem z nią zniknie zagrożenie, które wisiało nad Podolskim. Przynajmniej taką miała nadzieję, bo zakładała, że Treillard ruszy jej śladem, o ile wpadnie na to, gdzie ona się wybiera.

Kiedy dotarło do niej, że każde spotkanie z Antonim naraża go na zemstę Charles'a, uszło z niej powietrze i opadła z sił. Widziała przed chwilą, do czego zdolny jest jej mąż potwór i na samą myśl, że miałby jej jeszcze kiedykolwiek dotknąć, zrobiło jej się niedobrze. Załomotała w ścianę powozu. Ledwie zdążyła krzyknąć, żeby woźnica zatrzymał pojazd. Nie wysiadła nawet, tylko otworzyła drzwi i zwymiotowała. Torsje szarpały jej wnętrznościami kilka minut, jakby ogromna dłoń zaciskała się na jej żołądku, wrywając z niego całą zawartość. Wreszcie dała sygnał woźnicy, że mogą ruszać, po czym wycieńczona i roztrzęsiona kolejny raz opadła na siedzenie.

Kiedy dotarli do zaułka, który prowadził do mieszkania Antoniego, zatrzymała powóz i rzuciła monetę woźnicy, ale nie wysiadła. Wolała czekać w środku, bo dzięki temu nikt jej nie widział, a ona sama mogła bezkarnie lustrować okolicę. Krótki, słoneczny i mroźny dzień dobiegał końca. Kamienice rzucały ponure cienie na wąskie, pokryte zamrzniętym błotem i opustoszałe ulice. Nogi jej wciąż dygotały, więc nie miała szans, by dotrzeć do drzwi kamienicy. Rozglądając się na wszystkie strony, starała się znaleźć podejrzaną osobę kręcącą się bez celu w uliczce. Nie dostrzegła nikogo w żadnej bramie, w żadnym przejściu na podwórze czy załamaniu muru, mimo to nie zbliżyła się do wejścia. Woźnica uspokajał konia, nerwowo przebiegającego kopytami, co postawiło Émilie w stan gotowości. Zwierzęta były o wiele bardziej czułe niż ludzie, o czym przekonała się niejednokrotnie w czasie podróży z armią Napoleona przez Europę. Wyjrzała na zewnątrz, jednak nikogo podejrzanego nie zobaczyła.

Stopy zaczynały jej marznąć, lecz nie zdecydowała się na wyjście z powozu. Antoniego wciąż nie było, choć w gęstniejącym z każdą minutą mroku i tak już mało co widziała. Prędzej usłyszałyby w ciszy zapadającego w wieczorną drzemkę miasta odgłos kroków, niż zobaczyłyby kogokolwiek.

Błyskawica myśli rozświetliła na jedną sekundę jej otumaniony wrażeniami, skołatany strachem i zalany adrenaliną mózg. Popęłniła błąd, który mógł kosztować życie trójki ludzi. Kiedy łomotała w ścianę powozu, by kazać woźnicy ruszać, wiedziała, że jest za późno i że przegrała wszystko łącznie z życiem swojego dziecka. Nikły płomyk nadziei drgał ledwie zauważalnie. Przecież mogła się pomylić, przecież Antoni wcale nie musiał do niej jechać. Mógł po prostu jeszcze nie wrócić, mógł się z kimś spotkać. Ale w głębi duszy przeczuwała, że to może być koniec.

III

Z dzieciństwa spędzonego w Podolanach zapamiętał najbardziej posiłki, latem pełne soczystych warzyw i owoców z ogrodu, a zimą syte, mięsne i pachnące suszonymi w kuchni ziołami powiązanymi w pęki. Nigdy i nigdzie nie smakowała mu żadna potrawa tak, jak tam najprostszy smakołyk, jakim był rozplływający się na języku miód wyssany z plastra podebranego pszczołom, nierzadko z narażeniem życia.

Matka na czas obiadu zwoływała ich wszystkich do stołu, gdzie zasiadali przebrani, uczesani i z czystymi dłońmi, w odwiecznym rytuale przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Obowiązkowo zaczynano posiłek modlitwą i w określonej kolejności spożywano dania. Marianna Podolska dbała, by niczego im nie brakło, ale nie znosiła, gdy marnowało się jedzenie. Żyli i jedli dostatnio, lecz nie wystawnie. Zresztą Antoni rozumiał, że czasy są ciężkie, a ojciec musi zaciskać pasa z powodu nakładanych na dwory licznych podatków. W trakcie ostatniego krótkiego pobytu w Podolanach ojciec skarżył mu się na nowe obciążenia, i to nie tylko ze strony Wielkiej Armii Napoleona, gdzie ciężar aprowizacji żołnierzy na leżach zimowych spadł na miejscową ludność. Również odradzająca się polskość wymagała coraz to nowych nakładów, składek i danin, które pochłaniało zazwyczaj utrzymanie formowanych właśnie polskich oddziałów.

Ani Antoni jako młody chłopak, ani jego siostra Kryisia nigdy nie odczuwali tego, z czym na co dzień zmagali się ich ojciec w nowej, pruskiej rzeczywistości po upadku insurekcji. Dopiero jako dziedzic rodzinnego majątku mężczyzna był wdrażany w arkana powinności nakładanych na szlachcica przez państwo, naród, Boga i historię. Antoni żałował bardzo, że nie ma braci, bo na myśl o stagnacji i zasiedzeniu się w rodzinnym majątku dostawał konwulsji. To dlatego prosto z Korpusu Kadetów

w Kaliszu chętnie przystał na służbę do Krasińskich, którzy akurat wrócili po zagranicznych wojażach do rodowej siedziby w Opinogórze. Już wtedy od swego protektora Podolski słyszał o Napoleonie, który przyjął Wincentego Krasińskiego na audiencji i wywarł na magnacie tak wielkie wrażenie, że ten zorganizował oddział Gwardii Narodowej na okoliczność wkroczenia wojsk francuskich na tereny pruskie, a wcześniej przecież należące do Rzeczypospolitej. Dzięki temu Antoni przy pierwszej nadarzającej się okazji zaciągnął się do armii. Miał świadomość, że jego wolność kiedyś dobiegnie końca, gdy zabraknie ojca, ale na razie o tym nie myślał.

Wracając z lazaretu do przytulnego mieszkania Émilie, pierwszy raz w swoim życiu pomyślał, że z tą kobietą mógłby osiąść w Podolanach, chociażby po to, by mieć ją tylko dla siebie, żeby żaden książę czy inny hrabia nie mógł zawrócić jej w głowie. Wszak spędził dość czasu na salonach, by wiedzieć, że prędzej czy później kobiety nudziły się w małżeńskim stadle i szukały rozrywki wśród gości oraz przyjaciół domu. Antoni odtrącał krążącą jak natrętny owad myśl, że jego ukochana miała już męża, którego wcale nie tak łatwo było się pozbyć, a w dodatku on sam wypełniał jego rozkazy jako podkomendny.

Tak samo wolał nie myśleć, co powiedzą matka i ojciec na wieść, że ich jedyny syn, dziedzic majątku, nadzieja rodu, pragnie spędzić życie z kobietą co prawda utytułowaną i nieustępującą mu urodzeniem, ale rozwiedzioną. Dotąd głównie przez upór matki, która przebierała i wybierała w jego potencjalnych kandydatkach, potrafiąc w każdej znaleźć jakąś rysę, wadę lub coś, co ją dyskwalifikowało, ale też po części przez własną opieszałość, Antoni nie ożenił się. Matka tak ojcu umiała obrzydzić i tak zohydzić wszystkie panny z okolicy, że ten nie należał dość wyraźnie na ożenek syna, a i widać staremu Podolskiemu raczej nie zależało, by ożenić Antoniego byle jak. Miał zapewne większe aspiracje niż okoliczna, często zubożała szlachta. Młody Podolski zdał sobie sprawę, że gdyby nie to, dawno już zostałby przymuszony, pod groźbą utraty ojcowskich względów, do małżeństwa.

Wizja rychłego spotkania z Émilie wypełniała go rodzajem podekscytowania, które zwykł był odczuwać, gdy wyruszał w kolejną podróż lub gdy zachodziły w jego życiu istotne zmiany. Nie zapowiadał się z wizytą, ale był przekonany, że ukochana ucieszy się na jego widok, a tę radość okaże mu, spędzając z nim noc. Znowu miał przed oczami jej idealne ciało, kokieteryjnie skrywające się w półmroku sypialni. Jadąc konno niemal opustoszałymi, oświetlonymi gazowymi latarniami ulicami Warszawy, uśmiechał się sam do siebie, mimo dojmującego chłodu. Kręcił z niedowierzaniem głową, że tak mu ta ciemnowłosa, ponętna i niemłoda, bo przecież dwudziestokilkuletnia kobieta zawróciła w głowie, że gotów był dla niej rzucić wszystko i uciec z nią na koniec świata. Zaraz sobie jednak przypomniał o jej córce. Émilie nie ruszyłaby się nigdzie bez dziecka. Następnego dnia w pierwszej kolejności postanowił więc pojechać do pałacu Pod Blachą i spotkać się przynajmniej z Szumlańskim, adiutantem księcia, jeśli nie z nim samym, i dowiedzieć się, kto zajmuje się odnalezieniem córki Émilie oraz jakie poczyniono postępy w tej sprawie.

Do ulicy, przy której mieszkała Francuzka, dotarł już po zmroku, ale zanim zdążył tam skręcić, drogę zajął mu powóz, który nagle pojawił się nie wiadomo skąd i z którego wyjrzała Émilie.

– Antoni, nareszcie! – powiedziała ściszym głosem, a Podolski natychmiast zeskoczył z konia i podeszedł do otwartych drzwi powozu.

Kobieta rozejrzała się uważnie. On bezwiednie powtórzył jej ruch, lecz nikogo nie dostrzegł ani w głębi uliczki, ani tym bardziej w pobliżu pojazdu. Dopiero wtedy ukochana rzuciła mu się w ramiona i krótko go uściskała, całując mocno w usta.

– Cóż to się stało, żem zasłużył na tak gorące przywitanie... – Chciał ją objąć i pocałować, ale wywinęła się i wciągnęła go do wnętrza fiakra.

– Nie ma czasu do stracenia, musimy stąd odjechać i gdzieś się ukryć – szeptała gorączkowo, aż pomyślał, że jego wspaniała Émilie postradała zmysły. Zastukała w ścianę pojazdu. Antoni słyszał, jak woźnica zeskakuje z kozła i wiąże do niego konia, żeby czym prędzej odjechać.

– Ukryć się?

– Tak, Charles wie, gdzie mieszkam. Czekałam tu, żeby cię ostrzec – umilkła. W mroku słyszał jej nerwowy, przyspieszony oddech, a jej zapach, który wypełnił wnętrze, obezwładniał go. – Byłam u ciebie. Nie wiedziałam, że tu przyjedziesz. Potem zrozumiałam, gdzie możesz się udać. – Ponownie

go objęła. – Och, Antoni.

– Już dobrze, najdroższa. Jestem cały i zdrowy. Nic mi się nie stało – uspokajał ją, kiedy gorączkowo się do niego tuliła, cicho płacząc. Wolał to niż chłodną ostrożność i dystans, którymi najczęściej go raziła.

– Myślałam, że on cię dopadł, że ty... – urwała, kiedy odnalazł jej usta i całował ją zachłannie, jakby zaraz miał się skończyć świat.

Podolski w jakimś przebłysku pomyślał, że gdyby nie jej chory mąż, zapewne nigdy nie witałaby go tak gorąco i słodko. Zaraz jednak wszelkie myśli uleciały mu z głowy, kiedy dotarł do zagłębienia jej szyi.

Niespodziewanie Émilie odepchnęła go od siebie.

– Musimy się gdzieś ukryć – rzuciła zdyszana. – Nie możemy wrócić do mojego mieszkania ani do ciebie. Jego ludzie obserwują je.

– Gdyby tak było, dawno by nas dopadli. Émilie, nie wiem, co cię tak przeraziło, ale jestem tu cały i zdrowy i doprawdy nie sądzę, by cokolwiek nam groziło ze strony twego męża. Nie odważy się nas zaatakować...

– Ty go nie znasz. Nie wiesz, do czego jest zdolny. – Chwyciła go za ramiona, wbijając spazmatycznie palce w rękawy jego kurtki. – On zabija ludzi, torturuje ich, morduje z zimną krwią. Potrafi pastwić się godzinami nad swą ofiarą. Jego ordynans nie uciekłby od niego, nie zdradziłby go, gdyby nie okrucieństwo Charles'a. Czy ty rozumiesz, że grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo? – wycedziła, a każde jej słowo ociekało przerażeniem.

– Dobrze – odrzekł po pełnej napięcia chwili namysłu. – Dziś zatrzymamy się gdzieś, gdzie nikt nas nie znajdzie, ale jutro, za dnia...

Émilie połuźniła uścisk, lecz jej głos ciągle zdradzał zdenerwowanie.

– Nie, nie możemy wracać nawet za dnia. Antoni, musisz mi uwierzyć. Ja wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale on nas zabije, a w najlepszym przypadku będzie chciał zabić ciebie, żebym cierpiała. I uwierz, nie zrobi tego od razu.

– Émilie, ja jestem żołnierzem. Na litość boską. – Pokręcił głową z niedowierzaniem i objął kobietę, starając się wlać w nią całą pewność, na jaką było go stać. Nie wierzył, że Treillard, generał, bądź co bądź człowiek honorowy, jest zdolny do rzeczy, o jakich opowiadała Émilie. Owszem, nie podziękowałby mu za to, że uwiódł jego żonę, ale przecież mogli to załatwić jak mężczyźni. Wierzył ukochanej, gdy mówiła o tym, jak mąż źle ją traktował. Nie wyglądała na taką, która bezpodstawnie użala się nad sobą. Podejrzewał nawet, że Treillard robił jej o wiele gorsze rzeczy niż te, o których wspominała. Na samą myśl, że generał mógł ją krzywdzić, wstępowała w Antoniego nadludzka siła i w tej sile, w swej żołnierskiej sprawności odnajdował pewność, że nic nie zagrozi ich szczęściu. Mimo to posłuchał jej i zabrał ją do mieszkania Śniegockiego, które było ponurym, pustym pokojem ze skromnym umeblowaniem, ale przynajmniej mogli czuć się tam bezpiecznie.

IV

Przeprawa bladym świtem na Pragę o tej porze roku nie należała do przyjemności, zwłaszcza w płaskodennej łodzi nazywanej łyżwą, która mogła pomieścić nie tylko ludzi, ale też konie i całe powozy. W porannym powietrzu unosiły się kłęby marznącej mgły. Ludzie usiłowali się rozgrzewać, poklepując dłońmi ramiona, kręcąc się, pochrzäkując i spluwając do wody, której istnienia można się było tylko domyślać pod kawałami lodu objającymi się o burty. Woda przypominała roztopioną smołę, na powierzchni której dryfowali w kierunku ledwie mającego w oddali brzegu. Podolski, ukojony miarowym pluskiem i stukaniem, przymknął oczy, wciąż obserwując wydobywające się z końskich pysków oraz ludzkich ust obłoki pary i wspominając noc spędzoną z Émilie.

Wreszcie zrozumiał, dlaczego chciała, by kochali się w ciemności, choć on pragnął patrzeć na nią cały czas. Miał wiele kobiet, pięknych i brzydkich, szlachcianek, arystokratek i prostaczek, bogatych i biednych, ale żadnej nie pożądał tak jak jej. Widok jej nagiego ciała, poznaczonych srebrnymi nitkami ud i brzucha, niewielkich piersi, nie tak jędrnych jak u bardzo młodej dziewczyny, ale wciąż pełnych, doprowadzał go do szaleństwa, gdy patrzyła na niego wielkimi, błękitnymi oczyma, w których czaił się ogień i milcząca prośba. Zrozumiał też, czemu, kiedy była z nim pierwszy raz, wzdrygała się pod

wpływem jego dotyku. Składał to wtedy na karb nieśmiałości i wyrzutów, bo przecież myślał, że musiała stracić męża i mogły w jej pamięci pozostać ślady jego dotyku. Zrozumiał wreszcie, czemu odniósł wrażenie, że ona kocha się pierwszy raz, że jest bardzo niedoświadczona zarówno w sztuce dawania przyjemności, jak i jej brania. A z całą pewnością zaskoczył ją, doprowadzając do szczytu. Nie musiała nic mówić. Wyczytał to w jej zwilgotniałych od łez oczach, w zdziwieniu, które w nich dostrzegł.

Tej nocy, kiedy wbrew jej prośbom pozostawił zapalone świece, a poblask kominka, w którym sam musiał napalić, dodatkowo rozświetlał norę Śniegockiego, dostrzegł wreszcie to, co tak skrzętnie usiłowała przed nim ukryć, a na myśl o czym pięści same mu się zaciskały. Kiedy w miłosnym szale Émilie się zapomniała, obrócił ją do siebie tyłem, jednak choć miał przed oczami kształtne pośladki, podniecenie uleciało jak dym. Bo od pośladków w górę ciągnęły się równo ułożone, jak wykonane z precyzją chirurga paski blizn.

– Émilie, mój Boże – wyszeptał, zanim zdążył się powstrzymać. Pochylił się, chcąc scałować ból, który musiała przeżyć, ale zanim zdążył dotknąć jej ustami, ona obróciła się i szybko naciągnęła na siebie derkę, pod którą mieli spać.

Panika w jej oczach sprawiła, że złość odebrała mu głos.

– On ci to zrobił, prawda?

Nie musiała odpowiadać. Łzy w jej oczach były wystarczającym potwierdzeniem. Nic nie powiedział. Broniła się, ale obrócił ją i najpierw wodził palcami po śladach na plecach i pośladkach, a potem zaczął je delikatnie całować. Dopiero po chwili zorientował się, że Émilie płacze.

– Nie płacz, najdroższa. Już nigdy więcej cię nie dotknie. Nie pozwolę na to – wyszeptał jej do ucha, a ona obróciła się i wtuliła w jego ramiona. Jej szloch rozdzierał mu serce i gdyby to nie był środek nocy, znalazłby tego drania od razu i rozplątał mu brzuch.

Rany na ciele Émilie się zagoiły, choć zostały blizny. Bóg jeden wiedział, ile takich lub gorszych blizn nosiła jej dusza. Antoni zdawał sobie sprawę, że ona nie zapomni o nich nigdy, ale pragnął, by przeszłość zostawiła za sobą i uwierzyła, że jest warta miłości. Jego miłości. A on już zadba o to, by nikt jej nie skrzywdził, zwłaszcza ta szuja, Treillard.

Podolskiego ocucił z zamyślenia głos przewoźnika. Dopłynęli do brzegu i trzeba było rozprostować przemarznięte, zeszywniałe od siedzenia w jednej pozycji ciało. Do działania napędzała go kobieta, dla której chciał jak najszybciej uporać się z powierzonym mu zadaniem, a potem wyrwać ją z tego piekła, którym było jej małżeństwo. Powróciła myśl, że rodzice nie będą zadowoleni z jego wyboru, a przekonanie ich do Émilie może graniczyć z cudem. Na taką okoliczność miał na razie z grubsza zarysowany plan. W każdym razie gotowy był zaryzykować utratę rodzinnego majątku i uciec, byle być razem z nią.

Poruszył kilka razy ramionami, zanim dosiadł konia i rozprostował porządnie nogi. Dopytał wcześniej jednego z przewoźników o to, gdzie dokładnie ma się udać, ale ten stwierdził, że daleko szukać nie będzie, bo wyburzenia już się zaczęły, a Francuzi mieszkają w budynkach będących w najlepszym stanie.

Zgodnie z planem Napoleona miała tu powstać jedna z kilku budowli obronnych. Ordynansa odesłano tu do nadzorowania prac, skoro nie mógł się przydać gdzie indziej, więc wystarczyło znaleźć budynki, w których mieszkali oddelegowani do tego celu Francuzi.

– Jaśnie paniczu, pół miasta zburzyć mają, kościoły i cmentarze. Płacą dobrze, to ludziska idą, ale i cóż z tego, jaśnie paniczu. Toć to świętokradztwo, żeby na poświęconej ziemi, żeby trupy ziemi wrywać... – Przewoźnik zrobił znak krzyża i wrócił do machania wiośłem.

Antoni poprawił podbitą futrem czapkę i skierował konia w stronę, jak mu się wydawało, miejsca, gdzie zaobserwował wyrwę w przeważnie drewnianej zabudowie miejskiej, po części już opuszczonej. Cienka warstewka śniegu przykryła chwilowo stare, brudne zasy, rachityczne domostwa, nieliczne murowane kamienice, świeże gruzowiska i miejsca, gdzie oznakowano pierwszymi wykopami kształt mających powstać ceglanych umocnień. Wszystko to sprawiało wrażenie krajobrazu po bitwie, a raczej po ostrzale artylerii. Podolski mijał składowiska drewna, zapewne spławionego tu rzeką, sterty cegieł, desek i rozmaitych materiałów, jak się domyślał, pozostałych z rozbiórek. Z budynków zaanektowanych na potrzeby nadzorujących cały proces francuskich inżynierów i żołnierzy nikt się

jeszcze nie wyłonił. Zresztą nie miało zbyt wielu ludzi. Ta część miasta była jak wymarła. Nie miał pojęcia, jaką funkcję miał tu pełnić ów nieszczęsny ordynans, ale nie interesowało go to.

Dziwiło go, że chłopak, mający w garści taką kartę przetargową jak plany kampanii, nie zrobił z nich dotąd użytku, nie sprzedał ich ani nie wyniósł się daleko stąd, zanim go znajdą i zlikwidują. Bo przecież taki rozkaz otrzymał Antoni. Pozbyć się chłopaka, który wiedział i widział zbyt wiele. Podolski podejrzewał, że Gaskończyk mógł nie do końca mieć świadomość, w czego posiadaniu jest. Ale z drugiej strony gdyby tak było, nie zabierałby tych map i całej reszty. Po prostu by uciekł i nie ścigał na siebie pogoni. Antoni uznał więc, że uciekinier albo chciał przeczekać i przyczaić się, albo, co bardziej prawdopodobne, miał zamiar sprzedać dokumenty konkretnej osobie i czekał na nią lub na środki, które miał otrzymać.

Podolski raz po razie poprawiał zimowy płaszcz, ale to niewiele dawało. Mokre powietrze obłapywało lodowatymi paluchami i paraliżowało ruchy. Dlatego pułkownik z przyjemnością wszedł do budynku przypominającego nieco kamienicę po drugiej stronie Wisły, ale nie tak okazałego jak one. We wnętrzu nie było wcale dużo ciepłej, a przynajmniej nie w korytarzu, gdzie natknął się na kogoś w rodzaju stróża. Mężczyzna, opatulony w łachmany, kiedyś mogące być zimowym mundurem, a obecnie jego nędzną imitacją, pociągał nosem i wyraźnie utykał. Widać nie był to jakoś pilnie strzeżony obiekt, bo Antoni nie dostrzegł nigdzie żadnych straży.

– Obywatel do kogo? – odezwał się stróż po polsku.

Antoni wyłuszczył mu, kim jest, wymieniając szarżę i wyjaśniając, kogo szuka, choć nie podał przyczyny. Wspomniał o seplenieniu poszukiwanego Gaskończyka. Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie, drapiąc się po zarosniętym policzku.

– Ano jest tu taki jeden. Może się nadać na tego, co go obywatel oficer szuka. – Bez słowa obrócił się i ruszył w głąb budynku, a Podolski rozejrzał się, uznając, że powinien iść za stróżem. Jakoż po kilku krokach mężczyzna obrócił się i upewnił, czy żołnierz za nim podąża. Wskazał na schody, których w półmroku Antoni nie dostrzegł od razu.

– Niech obywatel oficer wejdzie na górę. Zawołać po nazwisku, a się odezwie – doradził i cofnął się z powrotem ku drzwiom.

Antoni za radą stróża wszedł po drewnianych, rozchybotanych stopniach na piętro, ale nie zawołał Gaskończyka. Rozejrzał się po wąskim korytarzu z szeregiem drzwi, na końcu którego małe okienko wpuszczało ledwie odrobinę bladego światła. Słyszał odgłosy rozmów i jakieś szuranie dobiegające zza drzwi. Skradając się korytarzem, starał się wyłapać znajomy głos z charakterystycznym akcentem. Szybko zrozumiał, że tak niczego nie wskóra. Odczekał więc, aż wzrok przyzwyczaił się do małej ilości światła. Chrząknął i zmieniając głos na tubalny i głośny, zawołał:

– Henri d’Artois, z rozkazu dowódcy stawić się zaraz przy wyjściu.

Odpowiedziała mu cisza i już miał powtórzyć komunikat, kiedy jedne z drzwi się uchyliły, skrzypiąc przy tym niemiłosiernie, i pojawiła się w nich głowa, a potem cała sylwetka. Antoni musiał zrobić kilka kroków naprzód, żeby móc się przyjrzeć mężczyźnie, ale nadal nie był pewien, czy ten wychudzony osobnik to ten sam ordynans, który służył Treillardowi.

– Henri d’Artois? – powtórzył nazwisko i zbliżył się do mężczyzny na tyle, że rozpoznał w nim poszukiwanego ordynansa.

Na twarzy Gaskończyka mignęło zaskoczenie, a zaraz potem przerażenie, bo widocznie rozpoznał w Podolskim znajomą twarz.

– Pójdziesz... – zaczął Antoni, ale nie skończył, bo mężczyzna z całych sił pchnął go otwartymi dłońmi w piersi, aż pułkownik zatoczył się na ścianę, cudem tylko utrzymując równowagę.

Ordynans wystrzelił jak z procy i w kilku susach znalazł się na schodach. Antoni rzucił się za nim w pogoń, mając w pamięci, że chłopak jest pozbawiony palców u stopy, więc nie będzie mógł zbyt szybko uciekać. Mimo to Gaskończyk zdążył wybiec na ulicę, niemal wpadając pod koła furmanki ciągniętej przez człapiące noga za nogą szkapy. To go odrobinę spowolniło, akurat na tyle, by Podolski, któremu pogoń utrudniały poły ciężkiego płaszcza, zdążył skoczyć na niego i powalić go na ziemię. Tamten jęknął pod ciężarem Antoniego nie wiadomo czy z bólu, czy też z bezsilności, bo szarpnął się jeszcze, próbując zrzucić z siebie napastnika, ale Podolski już go nie puścił. Chwytał go za kołnier

i podniósł ku górze, dźwigając się na nogi.

– Tuś mi, bratku – wysapał po polsku zdyszany w ucho zbiega i poprawił skrzywioną od upadku czapę.

Chłopak dygotał z zimna i przerażenia. Wytrzeszczone oczy w bladej twarzy błyszczały łzami.

– Czego ode mnie chcecie? Ja niczego nie zrobiłem – tłumaczył się, kiedy Antoni ciągnął go z powrotem do wnętrza budynku. Przed zlikwidowaniem go musiał się dowiedzieć, gdzie są dokumenty.

– To czemuś uciekał? Co? – Popchnął lekko ordynansa, ale go nie puścił. – Poznałeś mnie? – Obrócił chłopaka twarzą do siebie, kiedy znaleźli się w sieni kamienicy, a ten wzruszył ramionami.

– Co miałem nie poznać. – Gaskończyk wyraźnie się rozluźnił, co Antoniego zdziwiło. Albo był skrajnym idiotą, albo nie miał już dokumentów. – A uciekałem, bo mnie wasza miłość gonił.

– Gdzie to masz? – Podolski nie miał zamiaru tracić całego dnia na rozmowy z tym młokosem.

Chłopak wytrzeszczył oczy i umilkł, najwyraźniej zaskoczony tym pytaniem.

– Ale jak to? – wyszeptał, nadal patrząc nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Nie udawaj głupiego. Gdzie masz dokumenty?

Ordynans wyglądał teraz na zupełnie skołowanego. Przełknął ślinę, co Antoniemu nasunęło skojarzenie z rybą, która po wyjęciu z wody wygląda na zdziwioną i zaskoczoną, a jej pysk spazmatycznie chwyta powietrze. Dokładnie tak wyglądał d'Artois.

– Nie mam żadnych dokumentów, jaśnie panie – powiedział niepewnie.

Podolski chwycił go mocniej za rozchełstaną kurtkę munduru, uniósł i uderzył o ścianę, aż z tamtego uszło powietrze i zamrugał gwałtownie. Był na tyle chudy, że Antoni zdziwił się, jak mało waży. Mundur wisiał na nim jak na kołku.

– Gadaj, coś zrobił z mapami? – wysyczał przez zęby Antoni. – Komuś je oddał, niecnoto?

– Nie oddałem, jaśnie panie – zapewniał płacząco chłopak, wijąc się jak piskorz. – Nie miałem żadnych map.

Podolski zluzował ucisk, bo ordynans ledwie mógł mówić. Kolejny raz odniósł wrażenie, że coś tu się nie zgadza, mimo to znów uderzył chłopakiem o ścianę.

– Komuś je oddał? Dla kogo pracujesz? Komu je przekazałeś?

– Nie wiem nic o żadnych mapach, jaśnie panie. Jestem ordynansem generała Treillarda. Dla niego pracuję, jaśnie panie. – Gaskończyk wytrzeszczył oczy, jakby to mogło sprawić, że Antoni mu uwierzy.

– Kłamiesz. Zdeztererowałeś w noc po potyczce z Rosjanami pod Pułtuskim. Czyżbyś nie pamiętał? Odcięli ci palce, a nie głowę. Zabrałeś dokumenty z namiotu dowódcy. Co z nimi zrobiłeś? – Dla odświeżenia pamięci znowu uderzył chłopakiem o ścianę, aż wreszcie stróż wyjrzał na korytarz, ale Podolski krzyknął na niego i ten w popłochu ukrył się za drzwiami. Te się raczej nie zamknęły, a mężczyzna, ciekawy, o co chodzi, nadal zapewne podsłuchiwał.

– Uciekłem, jaśnie panie. – Gaskończyk teraz już dygotał na całym ciele, z trudem utrzymując się na czubkach butów. – Generał, jaśnie panie, on mnie zabije, jeśli wrócę – jęknął, a w oczach miał łzy. – To potwór, nie człowiek. Odważny, ale potwór. Z samym czortem ma konszachty. Z taką raną głowy, a on gadał ze mną, jakby nigdy nic. Jaśnie panie, ja uciekłem, lecz tylko od niego, nie z armii. Jestem żołnierzem, jaśnie panie, nie szmatą, co nią można wytrzeć najgorszy gnój.

Podolski zdał sobie sprawę, że chłopak nie może kłamać. Jego tłumaczenie, jakkolwiek chaotycznie brzmiało, tylko przez to nabierało cech prawdziwości, jednak mimo wszystko postanowił spróbować jeszcze raz wycisnąć z niego, co się wydarzyło w noc, gdy Treillard otarł się o śmierć.

– Skoro nie ty zabrałeś dokumenty, to kto?

W oczach chłopaka mignęło coś na kształt zrozumienia. Wiedział, kto był sprawcą kradzieży.

– Gadaj – ponaglił Antoni, podnosząc go kilka centymetrów wyżej, aż uciekinier zacharczał i Podolski musiał zluzować ucisk.

– Żona – sapnął Gaskończyk i zakasłał. – Tej nocy widziałem ją. Generałową.

– Co ty bredzisz, u diabła. Kogo widziałeś? – Podolski postawił mężczyznę, czując, że jakieś niedobre podejrzenie załęga mu się za skórą i pełźnie w stronę głowy.

– Nie poznałem jej. Myślałem, że to jakiś żołnierz, że szeregowy i chciałem ją wyrzucić, żeby

nikt mnie nie widział. Byłem gotowy od dawna. Czekałem na taką chwilę. Generał Treillard leżał nieprzytomny, w pobitewnym zamieszaniu nikt by nie zauważył, że mnie nie ma. A nawet jeśli, byłbym już daleko...

– Kogo tam widziałeś? – przerwał mu Antoni.

– Byłem już poza namiotem, ale wróciłem, bo wydawało mi się, że generał mnie woła. Miał spać albo być nieprzytomny. Wszedłem i ją zobaczyłem. Grzebała w dokumentach. Krzyknąłem, ona się odwróciła i wtedy ją poznałem. Zmieszałem się. Ona chyba też. Nie spodziewała się nikogo zastać przy mężu. Była w mundurze, ubrana po męsku. Kazała mi odejść, bo powiedziała, że chce zająć się rannym sama. – Chłopak urwał i wpatrywał się w Antoniego, którego zamurowało. W głowie mu szalał huragan. Jeśli Gaskończyk kłamał, skąd wiedział, że miała na sobie mundur, gdy przyjechała do Podolan? A może zwyczajnie zrzucił winę na kogoś innego, by oddalić podejrzenia od siebie? Tylko po jakiego czorta wymyślił najbardziej niedorzeczną historię ze wszystkich, które mógł mu sprzedać?

– To była kobieta? Żona generała?

– Tak, pani generałowa Émilie Treillard. Poznałbym ją wszędzie. To piękna i dobra kobieta. Ona jedna okazywała mi serce, kiedy...

– Zamilcz! – wrzasnął Antoni i uderzył chłopakiem o ścianę tak mocno, że tamtemu aż zagrzechotały kości. – Skąd wiesz, że ona zabrała dokumenty? Może próbujesz mnie oszukać, co? Przebiegła z ciebie kreatura – wysyczał przez zęby i przysunął się tak blisko do Gaskończyka, że widział plamki na tęczęwkach jego przerażonych oczu.

– Przysięgam, że generałowa tam była – załkał ordynans. – Stała nad otwartą skrzynią na dokumenty, a w ręce trzymała listy chyba jakieś. Zapieczętowane to było...

– Co z tym zrobiła?

– A czy ja wiem? Kazała mi wyjść, to uciekłem, gdzie pieprz rośnie. Szedłem przed siebie, aż wpadłem w jakieś krzaki, to przesiadziałem do rana, a jak zaczęło się rozwidniać...

– Diabli z tobą! – krzyknął Antoni i uwolnił ordynansa.

Przyglądał mu się niewidzącymi oczyma, mimo to chłopak nawet nie drgnął. Podolski nie mógł uwierzyć, że ona tam była, że mogła go oszukać, że nie mówiła mu od początku, kim jest, nie zdradziła swoich prawdziwych zamiarów. Czy w sprawie dziecka też kłamała? Co było prawdą, co błagą? Ile z każdej ich wspólnych nocy było grą pozorów, zmyleniem przeciwnika, a ile autentycznym zaangażowaniem? Czy jej blizny rzeczywiście były śladami małżeńskiej niedoli? I najważniejsze, kim była kobieta, która okradła męża i po co lub dla kogo to zrobiła? Być może Treillard w porę się zorientował, że wywiodła go w pole, może znał ją od zupełnie innej strony niż Antoni?

Nie mogąc sobie poradzić z mnóstwem wątpliwości i pytań, chwycił się za głowę i wydał z siebie zduszony okrzyk. Musiał z nią porozmawiać. Chciał wiedzieć wszystko. Znać prawdę. Jakakolwiek ona była, choć jeszcze nie był pewien, co z tą prawdą robi.

– Wszystko dobrze, jasnie panie? – Gaskończyk wyrwał go ze stuporu, w jaki wpadł, przygnieciony natłokiem myśli.

– Pójdiesz ze mną – warknął na ordynansa.

– Tylko nie każcie mi, panie, wracać do generała. Błagam. – Chłopak upadł mu do nóg i próbował ucałować rękę, ale Podolski się wywinął.

– Zbieraj swoje rzeczy i za mną. To rozkaz.

Gaskończyk rzucił krótkie „tak jest” i powłókł się na piętro, co dało Antoniemu czas na wyjście z sieni i złapanie kilku oddechów zimnego powietrza. Rozpiął mundur na piersiach i poluzował chustkę pod szyją. Brakowało mu tchu, a zaskoczenie z wolna wypierała złość do spółki ze wstydem, że dał się wyprowadzić w pole kobiecie. On, pogromca niewieścich serc. Parsknął sam do siebie, zsunął czapkę na tył głowy i zaczął nerwowo chodzić w tę i nazad, ale nawet to nie przynosiło mu ulgi. Wstyd palił go tak nieznośny, że miał ochotę skoczyć w odmętę Wisły, byle ugasić pożar.

– Jasna cholera! – warknął sam do siebie, bo doszedł do wniosku, że musi jak najszybciej porozmawiać z Émilie, ale powinien też odstawić ordynansa gdzieś, gdzie nikt o niego nie będzie dopytywał i nie zechce go przesłuchiwać, dochodząc prawdy na temat zaginionej korespondencji. Póki tylko on wiedział, zdrajczyń, na której ciążył wyrok śmierci, była bezpieczna. Nie mógł pozwolić,

by wpadła w łapy Treillarda lub Poniatowskiego, nim z nią porozmawia i wyjaśni to wszystko, o ile ona będzie potrafiła jakkolwiek to, czego się dopuściła, uzasadnić. – O, Śniegocki, przydałbyś mi się jak nic... – mamrotał do siebie.

Przyjaciół mógłby przypilnować chłopaka, żeby nie uciekł. Antoni, kiedy już uspokoił emocje, zaczął się zastanawiać nad tym, czy nie rzucić winy na ordynansa i torturami nie wymóc na nim przyznania się do kradzieży dokumentów. To odsunęłoby podejrzenia od Émilie, ale jej nazwisko i tak padłoby w trakcie przesłuchań. Jedyńm wyjściem było więc pozbycie się świadka zdrady, czyli ordynansa. Tym samym nieboszczyka można by było obarczyć winą za wszelkie występki, choć Podolski zdawał sobie sprawę, że póki nie porozmawia z ukochaną, nie upewni się co do jej winy, nie będzie wiedział, jak postąpić.

Nieświadomy niczego Gaskończyk, okutany w jakieś łachmany wystające spod niezbyt grubego płaszcza i z tobołkiem w garści, wyszedł z budynku. Podskoczył, kiedy stróż zatrzasnął za nim drzwi, a Antoniemu skojarzyło się to z trzaśnięciem wieka trumny.

Wrócili na brzeg. Podolski konno, zaś utykający Gaskończyk pieszo. Antoni zatopił się w niewesołych myślach, usiłując zrozumieć, jak to się stało, że rankiem, wsiadając na łyżwę, był najszcześniejszym mężczyzną po obydwu stronach rzeki, podczas gdy nie minęły dwie godziny i wszystko wywróciło się do góry nogami. Dotąd myślał, że wolny człowiek jest panem swego losu, że sam steruje okolicznościami, w których się znajduje, jak flisak, znający doskonale każdy kamień i każdą płyciznę w rzece, steruje łodzią. Tymczasem wystarczyło, że wody wezbrały, rzeka kapryśnie zmieniła swój bieg lub naniósł piachu czy też go wymyła, a najbardziej doświadczony flisak mógł stracić głowę tak, jak on ją stracił.

Antoni doszedł do wniosku, że wolność to nie sterowanie łodzią tam, gdzie się chce, ale unoszenie się na życiowych falach i dopasowywanie do najbardziej niespodziewanych wydarzeń, z pewną dozą zaufania we własne umiejętności, bo poza nimi na nic więcej nie mamy wpływu. Wzdychał raz po razie i zerkał na wlokącego się obok jego strzemiesienia chłopaka, nie mając żadnego pomysłu, gdzie go ulokować do czasu wyjaśnienia sprawy z Émilie. Uznał bowiem, że dopiero wtedy będzie mógł podjąć jakieś decyzje co do losu ordynansa i oczywiście własnego. Nie był gotowy, żeby rozstać się z Émilie, nie tak. Wiedział, że to tylko zaklinanie rzeczywistości, iż ona może okazać się kimś zupełnie innym, niż mu powiedział Gaskończyk, ale nie wierzył, że we wszystkim go oszukała.

Zanim Podolski i jego więzień wsiedli na łódź, która właśnie przybiła do brzegu, musieli odczekać, aż zbierze się większa liczba pasażerów i załoga załaduje wszystko, co ci ludzie chcieli zabrać na drugą stronę Wisły. Antoni usadził Gaskończyka obok siebie przy burcie łodzi, żeby nie zwracali zbyt niu niczyjej uwagi. Wreszcie odbili od przystani i łódź wolno zanurzyła się we mgle, która nie podniosła się znad rzeki, mimo że kryjące się za chmurami słońce wstało dawno temu. Antoni miał wrażenie, że przepływają Styks, a po drugiej stronie czeka na niego nie ukochana kobieta, a głębin y Tartaru. Nie miał pojęcia, jakim cudem przewoźnik wiedział, gdzie płynąć, ale musiał zaufa ć, że dotrą na miejsce.

Łyżwa z cichym pluskiem wiosł sunęła po wodzie. Ludzie w większości milczeli, z rzadka pochrząkując i kaszląc. Jakoż wkrótce ukazały się im majaczące we mgle zabudowania i skarpa, na której wznosił się zamek. Pasażerowie zaczęli podrygiwać na swoich miejscach, gotując się do wyjścia na brzeg. Ordynans również rozglądał się niespokojnie na boki i mocniej przyciskał do siebie tobolek.

– Czego się kręcisz? – ofuknął go Podolski, co na chwilę osadziło go w miejscu, ale kiedy znaleźli się na płyciźnie, nagle chłopak wstał i skoczył do wody.

Antoni tylko wyciągnął za nim rękę i przechylił się przez burtę, o mało nie wpadając w toń, ale zanim w jakikolwiek sposób zareagował, Gaskończyk zniknął pod powierzchnią.

– Do krośet! Rzućcie linę! – krzyknął, choć woda zamknęła się za chłopakiem z cichym młaśnięciem i nie wiadomo było, gdzie go szukać. Antoni uderzył otwartymi dłońmi o burtę i zaklął.

Na łyżwie zawrzało, aż załoga musiała wrzeszczeć, żeby ludzie przeszli na swoje miejsca, bo łódź zachybotała się niebezpiecznie. Podolski wpatrywał się w wodę, ale niczego nie mógł dostrzec. Zbliżali się do przystani i przeróżne dźwięki – okrzyki ludzi, plusk wiosł, stukot kopyt o drewniane

pomosty oraz pokłady łodzi – zagłuszały wszystko inne, łącznie z tragiczną śmiercią Gaskończyka.

– Panie, w zimnej wodzie nikt długo nie wydoli. Poszedł jak kamień do dna. Nawet nie ruszył palcem – zawyrokował spokojnie przewoźnik, wpatrując się w toń. – Widać mu życie nie miłe było – dodał, splunął i wrócił na swoje miejsce.

Podolski rozumiał, że właśnie część jego problemów rozwiązała się sama. Chłopak nie miał szans na przeżycie w zimnej wodzie. Być może myślał, że ucieknie, bo są już wystarczająco blisko brzegu, ale widać przecenił swoje możliwości. Na łądzie, utykając, nie miał szans na ucieczkę przed Antonim. Tu może mógłby mu uciec, gdyby nie to, że był środek stycznia, a temperatury nie nastrajały do kąpieli.

Teraz tylko on znał tajemnicę Émilie.

V

Poławiana przez matkę Krysia pociechy szukała jak zawsze w długich spacerach. Matka nigdy nie była z niej zadowolona. Wytykała jej każde potknięcie, we wszystkim, czego Krysia tknęła, widziała niedoskonałość dziewczyny.

Dziś z Leosią siedziały w bawialni, zajęte rozmową i wyszywaniem. Krysia naprawdę pierwszy raz od dawna miała wrażenie, że kobieta, której przyszło żyć na łasce rodziny, ma dobry dzień. Kiedyś próbowała matce wytłumaczyć, że z Leosią nie jest najlepiej, że miewa dziwne stany, że krzyczy czasem nocą, aż Krysia z trwogą tuli się do poduszek. W czasie lekcji zamyślała się, odpływała na godziny, a potem tłumaczyła Krysi, że rozmawia z duchami, które jej zdradzają przyszłość. Dziewczyna czasem zastanawiała się, ile jest w tym prawdy i czy przypadkiem jej nauczycielka i powierniczka nie jest na skraju załamania nerwowego, a może dawno już przekroczyła tę niewidzialną granicę i właśnie na jej oczach popada w szaleństwo. Jednak matka nigdy jej nie słuchała.

Tego dnia matce nie spodobał się wzór delikatnych niezapominajek, który haftowała na chustce. Wyobrażała sobie, że odważy się dać ją Śniegockiemu i zawsze wtedy widziała oczyma duszy ukwieconą łąkę opadającą ku stawowi i jego zielone oczy.

– Co to ma być, na Boga, dziewczyno?! – Zrędlivy głos matki rozdarł bezlitośnie jej marzenia, a igła wbita w palec zamiast w materiał zostawiła na tkaninie krwawy ślad. – Szkoda nici, ledwie z miasta dostała takie piękne kolory, a ty rachityczne jakoweś te kwiaciny wyszywasz. Ba, żeby to wyszywanie było. Płatanie supłów najwyżej. Do tego ugniecione to jakieś.

Krysia pochyliła głowę jeszcze niżej, na co Leosia tylko westchnęła i nauczona doświadczeniem kornie milczała. Dziewczyna wysłuchiwała zrządzenia matki w pokorze, choć serce jej się ścisnęło coraz bardziej, a dłonie drżały, aż bała się wbić kolejny raz igłę w materiał. Oczekała, aż matka opuści bawialnię, i zerwała się, rzucając robotę precz.

– Przepraszam – szepnęła do Leosi i nie oglądając się na nią, wybiegła do sieni. Ledwie zdążyła chwycić kubrak, już pędziła parkiem ku stawom. Łzy paliły ją na smaganych lodowatym wiatrem policzkach.

Zapłakana i zgnębiona, gnała wprost ku tafli lodu. Nawet nie zauważyła, kiedy skończył się brzeg, a zaczęło zmarznęte lustro wody. Brnęła przed siebie, łkając i zaklinając, by Bóg zechciał ją zabrać co rychlej z tego świata. Owszem, rolą matki było strofowanie, ale jej rodzicielka zachowywała się tak, jakby miała tylko jedno idealne dziecko i był tym dzieckiem Antoni. Ona zaś nie zasługiwała na jakąkolwiek pociechę.

Jakoż i dobry Bóg szybko jej wysłuchał, co zwiastował złowrogi trzask pod jej stopami. Dziewczyna zamarła, raptem zdając sobie sprawę, że tkwi na środku zamarzniętego stawu. Po ostatnich odwilżach pokrywa nie była widać aż tak wytrzymała, a może Ignacy rybom przerebłę wycinał i ją osłabił. Dość że strach sparaliżował Krysię. Myśli gnały szaleńczo, szukając ratunku i jednocześnie jakiś głos podpowiadał jej, że wreszcie mogłaby skończyć swe męki. Może wtedy matka zapłakałaby nad nią i pożałowałaby, że jej dokuczała.

Krysia odetchnęła głęboko i zrobiła krok ku brzegowi, ale kolejne trząśnięcie kazało jej ponownie się zatrzymać.

– No dalej, zdecyduj się – wyszeptwała sama do siebie, niepewna, czy tupnąć mocniej, czy może próbować się ratować i czym prędzej uciekać w stronę pokrywanego przeciwny brzeg sitowia, którego

mogłaby się uchwycić. W sukni, kubraku, butach nie miała najmniejszych szans w wodzie, a co dopiero w lodowatej wodzie.

– Krysiu! – rozległo się wołanie za jej plecami. – Niech panienka wraca!

Wszędzie poznałaby ten głos. Uśmiechnęła się przez łzy i wolno odwróciła. Śniegocki długimi krokami pokonywał aleję prowadzącą nad brzeg stawu. I wtedy pokrywa pękła, a ona znalazła się w uścisku lodowatej wody, która wycisnęła jej z płuc powietrze i sparaliżowała ciało, zaś ubranie pociągnęło ją na dno. Pod jej powiekami zastygł obraz przerażonego Śniegockiego, który stanął jak wryty na brzegu. Jej ostatnią świadomą myślą było, że nie chciała mu sprawić przykrości. Potem nastąpiła ciemność.

ROZDZIAŁ VIII

I

Od kiedy Antoni wyszedł, zabierając ze sobą cały jej spokój, nie mogła sobie znaleźć miejsca w tym ascetycznie urządzonej pomieszczeniu. Zasłała łóżko i uprzątnęła naczynia po posiłku składającym się z tego, co udało się dostać w kuchni tego przybytku prowadzonego przez szemrane towarzystwo w postaci szczerbatej, chudej kobiety i równie brudnego, wychudzonego mężczyzny z głową pokrytą pozlepiętymi w strąki włosami.

Wyglądała na ulicę, chodziła od okna do drzwi, wreszcie usiadła i wydobyła z falban halki, do których wszyła niewielką kieszeń, pieniądze ukryte tak przemyślnie, by nie pobrzękiwały. Odliczyła niewielką kwotę, wystarczającą, by kupić ciepłe jedzenie dla siebie, bo o Antonim wołała nie myśleć, przynajmniej na razie. Oczywiście nie miała zamiaru opuszczać kryjówek, a co najwyżej wysłać kogoś po posiłek. Kiedy i to załatwiła, wróciła do spacerów po pokoju. Wyłamywała sobie palce i intensywnie myślała.

Gdyby nie dziecko, uciekłyby z Warszawy, nie bacząc nawet na Podolskiego. Wciąż nie bardzo mogła uwierzyć w jego uczciwe zamiary, a jeśli nawet takowe miał, to przecież doskonale zdawała sobie sprawę, jakie obowiązki ciąży na nim jako na dziedzicu rodzinnego majątku. To, że była żoną Treillarda, nie stanowiło doprawdy największego problemu. Była starsza, miała córkę z innego związku i w dodatku jej niemały przecież majątek trafił w ręce mężczyzny, przed którym uciekała. Nie mogła zbyt wiele dać Podolskiemu poza kompromitacją, skandalem i niepewnością, czy zdoła go pokochać. Gdyby Warszawa nie była małym prowincjonalnym miastem, być może teraz, zaraz mogłaby ukryć się i przed Antonim, i przed mężem.

Zganiła się za te myśli. Im dłużej pozostawała w pobliżu Podolskiego, tym mocniej obydwójce się angażowali i tym więcej bólu mu sprawi, kiedy jej pobyt tutaj dobiegnie końca. Przyłapała się na tym, że zależy jej na szczęściu mężczyzny, któremu zawdzięcza tak wiele. Rozbudził w niej to, o czym nie miała pojęcia – namiętność i rodzaj przywiązania, które zmniejszyło dystans między nimi z każdą wspólnie spędzoną nocą. Émilie pierwszy raz w życiu odczuła, jak mocno potrafi drugi człowiek zniewolić. Treillard zamknął ją w domu i potem zabrał ze sobą na tę wojnę. Zdarzało się, że trzymał ją pod kluczem, mimo to wystarczył moment jego nieuwagi, a ona wyrwała się z klatki jak ptak, który nigdy nie zapomniał smaku wolności. Podolski mógł jej założyć o wiele gorsze kajdany. Jesliby go pokochała, już nigdy nie uwolniłaby się spod jego wpływu i poszłaby za nim wszędzie, z własnej woli. Dlatego nie mogła pozwolić sobie na to, by zadurzyć się w nim jak niedoświadczona dziewczyna.

– Nie powinnaś zapominać, że Antoni szuka właśnie d’Artoisa, a kiedy go znajdzie, dowie się prawdy – upomniła się na głos.

To, że ją zniechęci, kiedy ordynans powie mu, że nie posiada dokumentów, nie było jej jedynym kłopotem. Miała świadomość, że zapewne jest poszukiwana przez służby pilnujące porządku w mieście jako świadek zbrodni na Tyszkiewiczzu. To dodatkowo skomplikowało jej już i tak niełatwą sytuację.

– Muszę stąd uciekać czym prędzej – powiedziała do siebie. – Najpierw Marie... – urwała, bo koło się zamknęło.

Poniatowski, jeśli posiadał jakieś wieści na temat jej dziecka, nie miał szans na przekazanie ich, bo Émilie nie mogła zostać pod podanym mu adresem. Uderzyła z całej siły dłońmi o stary stół, który zachwiał się niebezpiecznie. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to wymknąć się stąd niezauważenie, żeby dotrzeć do pałacu Pod Blachą, zanim księżę uzna, że uciekła i zanim wróci Podolski. Tyszkiewicz nie żył i być może jej córka wreszcie odzyska wolność. Do tego czasu musiała poszukać bezpiecznego schronienia, prosząc księcia, by nie zdradził miejsca jej pobytu.

II

Antoni uznał, że nie ma na co czekać, dlatego też jak tylko dotknął suchą stopą brzegu, dosiadł konia i udał się do pałacu Pod Blachą. Przez całą drogę układał sobie, co powiedzieć księciu, kiedy już będzie mógł z nim porozmawiać. Z całą pewnością nie chciał zdradzić Émilie.

Niezawodny Szumlański przesunął go w kolejce petentów tak, że ani Podolski się obejrzał, a znalazł się w błękitnym gabinecie przed biurkiem, za którym pisał coś z wielkim zacięciem jego

książęca mość. Pułkownik odczekał kilka minut, w trakcie których parę razy zmieniał wersję wydarzeń z dzisiejszego dnia. Kiedy Poniatowski wreszcie podniósł na niego wzrok, odłożywszy dokument na bok do wyschnięcia, Antoni nadal nie był do końca pewien, jak wytłumaczyć księciu tragedię sprzed ledwie kilku godzin.

– Cóż tam wydarzyło się nowego, pułkowniku Podolski? – zagaił książę, rozpierając się w fotelu i z uśmiechem poprawiając wąża.

– Wasza książęca mość, niestety ordynans nie żyje i nic więcej nie powie ponad to, co udało mi się z niego wyciągnąć.

– Doprawdy? – Poniatowski wyprostował się i zastrzygł wąsem. – Co z dokumentami? Wiadomo coś?

– Kiedy go odnalazłem po drugiej stronie Wisły, w budynku przeznaczonym dla budujących fortyfikacje Pragi, wmawiał mi, że nie ma żadnych dokumentów. Zabrałem go ze sobą, by wnikliwie przesłuchać i oddać w ręce waszej książęcej mości, ale kiedyśmy dopływali do brzegu, wskoczył do wody...

– Do wody powiadacie... – Książę zamyślił się.

– Tak jest, wasza książęca mość. Nie miał żadnych szans na przeżycie. Mróz, zimna woda... Poszedł zaraz na dno.

– Nie ma świadków, żadnych śladów? – Poniatowski przyjrzał mu się przenikliwie i wstał, aż Antoni nabrał podejrzeń, czy rzeczywiście książę nie ma innych informatorów, którzy opowiedzieli mu, jak było naprawdę.

Książę stanął przy oknie, założywszy ręce do tyłu.

– Rozumiem, że dokumentów nie da się już odzyskać?

– Nie sądzę, wasza książęca mość. Jeśli miał je przy sobie, to utonęły, a jeśli je ukrył, to nikt nie wie gdzie.

– Czyli zakładasz, że nie przekazał ich nikomu?

– Nieee – odparł z ociąganiem Antoni. – Gdyby to zrobił, nie czekałby z pieniędzmi, które zapewne by mu zapłacono. Dawno by wyjechał. Zresztą mapy, plany czy cokolwiek to było, gdzieś już by wypłynęły, ktoś robiłby z nich użytek, a jednakowoż nie słychać, żeby...

Książę uniósł rękę, przerywając Antoniemu.

– Sądzisz, że ten, kto dostał w swoje ręce plany kampanii Napoleona chwaliłby się tym? – W głosie Poniatowskiego pobrzmiwał sarkazm.

– Jeśli ma dość rozumu, żeby milczeć, to może z nich zrobić użytek, wasza książęca mość, bo jest tajemnicą, że te plany zostały wykradzione. Jeśli puści parę z gęby, Treillard straci głowę... – Antoni zawahał się, bo zrozumiał, że na rękę byłby mu taki właśnie obrót spraw. Pozbyłby się rywala i prześladowcy w jednej osobie. – A ten, kto je przejął, straci okazję, by je prehandlować albo wykorzystać przeciw armii cesarza Napoleona.

– Jeśli, powiadasz, nie puści pary z gęby... – Książę ponownie się zadumał, patrząc przez okno, jakby spodziewał się tam zobaczyć odpowiedź na to, co mu zakomunikował Podolski. Wreszcie odwrócił się i obrzucił stojącego przed nim Antoniego uważnym spojrzeniem bystrych oczu.

– I nie zdążył ten nieszczęśnik powiedzieć, dlaczego uciekał?

– Niestety, wasza książęca mość. – Antoni uznał, że lepiej nie wdawać się w szczegóły tego, jakim dowódcą był Treillard i jak traktował swych ludzi. Sam na własnej skórze doświadczył bezwzględności tego człowieka, gdy pędzić im kazał w błocie wygłodzone oddziały, a kiedy się który żołnierz przeciwstawił, zaraz mu dokładał roboty i drogi, bo kazał chodzić tam i z powrotem.

– Więc straciliśmy szansę na zdobycie map. A to dałoby nam dodatkowe plusy u cesarza, który z pewnością chciałby wiedzieć, że udało nam się udaremnić przechwycenie jego planów. – Poniatowski zrobił wymowną przerwę i Podolski domyślił się, co zaraz książę powie. Mimo to z kamienną twarzą słuchał i starał się nawet nie mrugnąć okiem. – Co prawda wszystko to odbyłoby się kosztem generała Treillarda, którego niefortunnie okradziono. Zapewne straciłby życie, ale – Poniatowski uniósł wskazujący palec ku niebu – czegoż nie czyni się dla miłości, pułkowniku Podolski. Nieprawdaż?

– Dla ojczyzny wszystko, wasza książęca mość – potwierdził Podolski, czując, jak serce

podchodzi mu do gardła i tamuje oddech. Poniatowski wiedział o nim i Émilie, a może i o tym, że to ona miała dokumenty, co tylko potwierdzało słowa ordynansa. Teraz był tego pewien.

Książę zaśmiał się krótko.

– No tak, to nasza choroba narodowa, patriotyzm. Lubimy nią tłumaczyć wiele rzeczy, od tego, jak się ubieramy, po to, za co ginimy.

Antoni przełknął nerwowo. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć, ale książę wybawił go z kłopotu. Wrócił za biurko, usiadł i wyjął z szuflady złożony na cztery papier.

– Skoro ustaliliśmy, iż jest pan, pułkowniku, człowiekiem zdolnym do wielkich czynów i poświęceń w imię miłości. Dla ojczyzny naturalnie – dodał Poniatowski i poprawił wąsik – zlecę panu jeszcze jedną misję – mówiąc to, wyciągnął w stronę Podolskiego dokument.

Antoni wziął go i zaczął czytać, a z każdym słowem zimno wędrowało mu wzdłuż kręgosłupa, aż po czubki palców, jakby zanurzał się wolno w Wiśle. Pożałował, że to nie on wpadł na pomysł, by wskoczyć w smolistą toń rzeki. Doczytał, błąd jak ściana, i popatrzył na Poniatowskiego zażawionymi oczyma.

– Jakież są jej przewiny?

– Dopuściła się morderstwa hrabiego Tyszkiewicza lub je zleciła i uczestniczyła w nim. – Słowom tym towarzyszyło przeciągłe spojrzenie, które Podolski zignorował, bo ugięły się pod nim nogi. Émilie, jego Émilie, nie mogła być morderczynią. Oszukała go, zataiła przed nim tak wiele, ale nie mogłaby nikogo zabić. Tylko czy aby na pewno?

– Doprowadzę ją, wasza książęca mość, według rozkazu – powiedział cicho z namysłem, zmuszając się do każdego słowa. Wziął głęboki oddech i odważył się dodać: – Błagam waszą książęca mość o łaskę. Ta kobieta wiele wycierpiała. Jeśli zrobiła to, za co jest poszukiwana, to musiała się bronić...

Książę przerwał mu gestem.

– Dość na tym, pułkowniku. Korzystając ze swej zażyłości z panią Treillard, wypełni pan rozkaz i doprowadzi ją, zanim ona ucieknie. Jako przynęty proszę użyć jej córki.

Antoni aż podskoczył na tę wiadomość, a serce zabiło mu żwawiej. Mimo wszystko chciał, by Émilie przynajmniej upewniła się, że jej dziecko jest całe i zdrowe.

– Znaleziono jej córkę?

– Tyszkiewicz, którego zamordowała, przetrzymywał ją w swej siedzibie. Dziecko przebywa teraz pod moją kuratelą w pałacu, gdzie troskliwie zajęła się nim moja siostra. Widać Tyszkiewicz nie wyznał prawdy przed śmiercią, choć pastwili się nad nim dość długo, bo sędzę, że miała kogoś do pomocy... – Poniatowski przyglądał się bacznie Antoniemu, aż ten zrozumiał, że stał się podejrzanym.

– Wasza książęca mość, jestem żołnierzem, nie mordercą bezbronnych starców. – Uniósł dumnie podbródek. – Nie sędzę też, by Émilie Treillard mogła się dopuścić morderstwa. To, że pragnęła odzyskać odebraną jej córkę, nie robi z niej morderczyni...

– Zanim zaczniesz waść żarliwie bronić swej ukochanej – wszedł mu w słowo książę, splótszy palce w piramidkę – zechciej przyjąć do wiadomości, że była widziana, jak ucieka z salonu Tyszkiewicza, którego wtenczas już był martwy. Zapewne też nie przyznała się panu, pułkowniku, że to ona zabrała dokumenty, które miał w swojej pieczy jej mąż.

Antoni zachwiał się i kolejny raz tego dnia odniósł wrażenie, że gra w jakiejś kiepskiej sztuce, do której scenariusz napisał wariat wymyślający niestworzone rzeczy. Książę wiedział, ordynans również, a być może i sam Treillard. Tylko on dawał wodzić się za nos jak skończony kretyń. I w dodatku stał się podejrzanym o współudział w zbrodni na magnacie.

– Czy drobna kobieta byłaby w stanie zabić dwóch mężczyzn? – rzucił pierwsze, co mu się nasunęło.

– Tyszkiewicz to starszy człowiek, zresztą słabego zdrowia. Jego lokaja zadźgano, zapewne zachodząc go od tyłu. Płeć niewieścia, pułkowniku Podolski, zdolna jest do wielu okrucieństw, o wiele gorszych niż wszystkie podboje napoleońskie. – Książę westchnął ciężko i z zainteresowaniem przyjrzał się swojej wypielęgnowanej dłoni.

– Dlaczego więc nie uwolniła córki, skoro, jak twierdzi wasza książęca mość, zamordowała, by ją odzyskać? – Antoni zdawał sobie sprawę, że się pograża, że każde pytanie rzuca na niego coraz mocniej cień podejrzeń, ale mimo to nie mógł uwierzyć, że Poniatowski naprawdę oskarża Émilie o torturowanie i zamordowanie człowieka.

– Być może ktoś ją wystraszył. Może przeraziła się tego, co zrobiła. Tego się nie dowiemy, póki jej nie doprowadzi pan, pułkownik, przed oblicze sprawiedliwości.

– I mamże w tym celu użyć jej dziecka? – upewnił się słabym głosem Podolski.

– Nie inaczej.

– Czy będzie mogła zobaczyć córkę, zanim... – Głos Antoniego zadrżał, ale szybko się opanował.

– Zanim zostanie osądzona?

– Być może. – Książę ponownie rozparł się w fotelu. – Wszystko, jak sądzę, zależy od tego, czego się od niej dowiemy. Dlatego też chcę z nią porozmawiać jako pierwszy, pułkownik. Rozumiemy się?

– Słowem mam ją tu zwabić, a do tego czasu nie powinna dostać się w ręce stróżów porządku...

– Podolski chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał intencje księcia.

– Sam bym tego lepiej nie ujął, pułkownik. Chcę wiedzieć wszystko, co wiedzieć powinienem, zanim zdecyduję, co dalej z nią będzie.

Antoni z ciężkim sercem opuścił gabinet księcia. Jeszcze kilka godzin temu czuł się, jakby mu wyrosły skrzydła. Mógłby fruwać do ukochanej kobiety. Idąc teraz schodami, włókł nogi za sobą, a ciężar spoczywający na jego barkach z każdym krokiem, który go przybliżał do Émilie, stawał się coraz bardziej nieznośny. Dosiadł konia, którego mu przyprowadzono, ale nie dostrzegał nikogo i niczego, pograżony we własnych myślach.

Chciał wierzyć, że Émilie jest niewinna, że została wplątana w tę aferę przypadkiem, ale nie mógł pojąć, co robiła u Tyszkiewicza i dlaczego o tym nie wspomniała. Poza tym raz już go oszukała, ukrywając to, że sama ukradła dokumenty. Kiedy dotarło do Antoniego, co łączyło jego ukochaną z podstarzałym amantem, Tyszkiewiczem, aż ściągnął wodze i zatrzymał konia. Zaraz jednak musiał ruszyć, bo przestraszył dziadzinę ciągnącego wózek, który byłby się przewrócił z przerażenia przed nagle osadzonym w miejscu wierzchowcem. Zamordowany był odbiorcą, a może i zleceniodawcą kradzieży map. To dlatego porwał dziecko. Podolski spiął konia ostrogami i ruszył w stronę drewnianego budynku, gdzie czekała na niego Émilie, ale daleko nie ujechał, bo kiedy przejeżdżał Bramę Krakowską, w mijającym go fiakrze rozpoznał znajomą twarz i zawrócił konia.

Tym razem rumak przesadził jednym susem przeszkodę, jaką stanowił starzec z wózkim, a Podolski aż się położył na końskim grzbiecie, by zdążyć, zanim drynda wtoczy się na dziedziniec pałacu Pod Blachą. Zajechał drogę powożącemu i zmusił go do zatrzymania powozu, aż jego koń stanął dęba. Antoni rozejrzał się, czy aby przypadkiem nie narobił niepotrzebnie zamieszania i czy kto nie zwrócił na to zbytnej uwagi, ale w pobliżu Bramy Krakowskiej trwał zwykły rozgardiasz, a sam książę Poniatowski przyzwyczał mieszkańców do widowiskowych przejażdżek po mieście.

Podolski uspokoił woźnicę i rzucił mu monetę, zanim podjechał do powozu tak, że mógł z bliska porozmawiać z jego pasażerką.

– Co ty tu robisz, Antoni? – zapytała Émilie cicho, nie wychylając się z pojazdu, ale bacznie się rozglądając.

– Nie możesz pojechać do księcia. Szukają cię – wyrzucił z siebie Antoni na jednym oddechu. – Wracamy do naszej kryjówki. Wszystko ci wytłumaczę.

– Ale ja muszę...

– Niczego nie musisz, do jasnego diabła! – warknął Podolski po francusku, a do woźnicy powiedział już po polsku, żeby wracał czym prędzej pod adres, z którego zabrał kobietę. Zignorował naburmuszoną Émilie, a ta odwróciła od niego spojrzenie i zaplotła ręce na piersiach. Nie było czasu, żeby jej tłumaczyć na środku ulicy, co się wydarzyło i czego się dowiedział. Nie miał najmniejszego zamiaru jej zagadywać, więc spowolnił konia tak, że jechał teraz za powozem i nie widział niezadowolonej pasażerki.

Prędzej spodziewałaby się samego diabła niż Podolskiego. Miała doprawdy wyjątkowe szczęście lub pecha, zależnie od okoliczności, że prędzej czy później musiała się natknąć na niego, nawet kiedy próbowała od niego uciec. Wracała do obskurnego pokoju, z którego ledwie kilkanaście minut temu wyszła, z nadzieją, że nigdy go już nie zobaczy. Jej kroki dudniły na schodach, a potem na drewnianej podłodze piętra. Czuła oddech Antoniego na plecach i jego wściekłość. Obiecała mu, że nie opuści bezpiecznego schronienia, ale on nie wiedział, że planowała ucieczkę, więc nie rozumiała, o co mogło mu chodzić. Weszła do środka, a Podolski z impetem trzasnął drzwiami. Odwróciła się do niego i natrafiła na spojrzenie czarnych oczu, pałające wściekłością.

– Co to miało być?! – wrzasnęła, uznając, że najlepiej bronić się, atakując i chyba jej się udało zbić Podolskiego z tropu, bo się zawahał. Szybko jednak odzyskał pewność siebie. Zacisnął pięści i zmrużył oczy.

– Może ty mi wyjaśnisz, co to wszystko ma znaczyć?

– Musiałam się dowiedzieć, czy wiadomo, co z moim dzieckiem...

– Dość, Émilie! – uciął jej tłumaczenia mocnym głosem. – Chcę znać prawdę! Chcę to usłyszeć od ciebie, zanim będę musiał wykonać rozkaz. – Ostatnie słowa cedził pojedynczo, jakby chciał, żeby je dobrze zrozumiała.

Émilie cofnęła się o krok, zyskując na czasie. Antoni coś wiedział. W jednej chwili zrozumiała, że dokonał niemożliwego i odnalazł ordynansa.

– Jaki rozkaz? – zapytała niepewnie.

– Doprowadzenia morderczyni przed oblicze księcia – odpowiedział dziwnie spokojnie, głosem wypranym z emocji, jakby relacjonował jej wydarzenia z ostatniego balu.

– Jak to morderczyni? – Zamrugowała gwałtownie.

– Muszę wiedzieć, czy go torturowałaś i zabiłaś?

– Kogo? – zapytała naiwnie, choć domyślała się, co usłyszy.

– Hrabiego Tyszkiewicza, tego samego, na którego polecenie porwano twoje dziecko, Émilie.

Żelazna obręcz zacisnęła się na jej piersiach, aż zabrakło jej tchu, a ciało odmówiło posłuszeństwa, jakby je przestała czuć. Chwyliła się stołu, żeby nie upaść, ale Podolski nie pospieszył jej z pomocą. Stał jak skamieniały, nieczuły, daleki i zimny. Tylko patrzące oskarżycielsko oczy mu płonęły. Pokręciła głową, żeby odegnać łzy, które pojawiły się nie wiadomo po co. Przecież dobrze wiedziała, że nikogo nie wzruszy jej los, a żadne tłumaczenia nie mają sensu, jednak nagle zaczęło jej zależeć, by ten mężczyzna uwierzył w tę nieprawdopodobną historię.

– Antoni, ja nie... – Zamknęła oczy, żeby zebrać siły. Kiedy je ponownie otworzyła, nadal stał nieruchomo. – Nie zabiłam go, choć zasłużył na śmierć. Porwał moje dziecko, żebym szpiegowała dla nich. Myślałam, że kiedy zabiorę Charles'owi te dokumenty, kupię tym wolność mojej córki i moją. Ale oni chcieli więcej i więcej. – Otarła łzy płynące po policzkach. – Ja go nie zabiłam. Kiedy poszłam do Tyszkiewicza, mój mąż już tam był. Musiał mnie śledzić, gdy wcześniej przekazałam im dokumenty.

– Im? O kim ty, u diabła, mówisz?

– Tyszkiewicz nie działał sam. Był z nim ktoś, kogo tytułował księciem, kogo wyraźnie darzył respektem. Nie wiem, Antoni. On pojawił się tylko raz, wtedy, gdy nie chciałam oddać dokumentów, póki nie pokażą mi mojego dziecka. Antoni, ona jest jeszcze taka mała, myśli, że ją porzuciłam. Jest tu sama, w obcym, zimnym miejscu, wśród ludzi, którzy nawet nie mówią w jej języku... – Znowu zakradła się do jej głosu płaczliwa nuta. Chciała, by zrozumiał matczyni strach, lecz Antoni stał niewzruszony.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś wtedy, gdy miałaś okazję? Czemu udawałaś, że nie masz z tym nic wspólnego? Wykorzystałaś mnie, Émilie, żeby być bliżej księcia, prawda? Taki był twój plan od początku. To dlatego wtedy na balu raptem zaciągnęłaś mnie w ustronne miejsce. Tylko twoja córka się dla ciebie liczyła. Ja nie. Ja byłem tylko środkiem do celu, tylko szczeblem drabiny, po której się wspięłaś.

– To nieprawda, Antoni! – Zrobiła krok w jego stronę, ale cofnął się, więc się zatrzymała.

– Prawda?! Nie używaj tego słowa, kobieto, bo nie znasz jego znaczenia. Nie odróżniasz prawdy od kłamstwa. Byłem dla ciebie igraszką, choć wiedziałaś, że mi zależy, że może pierwszy raz w życiu zależy mi na kimś tak bardzo, że nie chcę z niego zrezygnować.

– Nie chciałam cię w to wplątywać. Na początku zamierzałam cię wykorzystać, ale potem... Ty byłeś dla mnie... Ja nigdy... Antoni, ja cię kocham. – Słowa popłynęły, zanim zdążyła je powstrzymać.

Podolski zaśmiał się, lecz w jego głosie nie usłyszała wesołości.

– Kochasz? To czemu mówisz mi to teraz, kiedy mam cię zabrać do księcia? Czemu nie powiedziałaś tego, kiedy tuliłem cię do siebie, kiedy się z tobą kochałem?! – Ostatnie słowa wykrzyczał, ale w tym krzyku nie było już złości, tylko bezbrzeżny żal. Serce Émilie ścisnęło się boleśnie. – Nic nie mówisz, bo obydwoje wiemy, że nic dla ciebie nie znaczę.

– Nieprawda! – przerwała mu żarliwie i ponownie zrobiła krok w jego kierunku, ale zatrzymał ją gestem.

– Jak mam ci wierzyć, kiedy wszystko było kłamstwem? Może i zabójstwo Tyszkiewicza to też twoja kolejna intryga. Chcę znać prawdę. Kto zabił hrabiego, pani Treillard? – Nie uszła jej uwadze pogarda, z jaką wypowiedział jej nazwisko, lecz przełknęła zniechęcenie. Cokolwiek teraz myślał i mówił, zasłużyła na to. Zdała sobie sprawę, że mógł jej pozwolić, by sama udała się w paszczę lwa i stanęła przed księciem, nieświadoma tego, że jest poszukiwana. Jednak Podolski zawrócił ją z drogi. Póki tu stali we dwoje, póki tylko on wiedział, gdzie ona przebywa, póty była bezpieczna. Choć nie miała nic wspólnego ze śmiercią Tyszkiewicza, to nie mogła się spodziewać, że ktokolwiek jej uwierzy, tym bardziej że cała ta historia nie była przeznaczona dla uszu postronnych osób. Zebrała się w sobie, mając świadomość, że ważą się właśnie jej losy, i zaczęła od początku.

– Pojechałam do Tyszkiewicza, ażeby zdać mu relację, czego udało mi się dowiedzieć na balu u księcia, którego kazał mi szpiegować. Czekałam, aż mnie wezwą do salonu, w którym zazwyczaj przyjmował mnie hrabia. Nikt nie przychodził, więc weszłam do wnętrza, a stamtąd na piętro. Głos Charles'a poznałam od razu. Ledwie zdążyłam się ukryć w sąsiednim pokoju. Kiedy ucichły dźwięki dobiegające z salonu, poszłam tam i zastałam zmasakrowane zwłoki hrabiego i jego służącego. To był – głos jej zdrzął – koszmarny widok. Charles zabrał ze sobą dokumenty, które Tyszkiewicz miał ukryte w ozdobnej skrzynce. Leżała otwarta na środku, pomiędzy zniszczonymi rzeczami. Pusta. Uciekłam czym prędzej, ale na schodach minął mnie sługa. Coś mówił po polsku. Nie zatrzymałam się. Wybiegłam na ulicę i wsiadłam do powozu. Tak było naprawdę, Antoni. Musisz mi uwierzyć – dokończyła błagalnie.

– Więc wystarczy, że wszystko opowiesz księciu. – Podolski zrobił krok w jej stronę i wyciągnął po nią rękę, jakby chciał ją chwycić za ramię, ale uchyliła się.

– Nie mogę. Wiesz, że on mi nie uwierzy, że mogą mnie chcieć obciążyć winą za to morderstwo. A co wtedy stanie się z moją córką...

– Jest cała i zdrowa – przerwał jej. – Może gdybyś tak szybko nie uciekała od Tyszkiewicza, znalazłabyś ją szybciej, niż myślisz.

– Jak to? – wyszeptwała. Nogi wrosły jej w ziemię.

– Twoja córka jest w pałacu Pod Blachą. Zajęła się nią siostra księcia...

– Muszę ją zobaczyć! – Rzuciła się w stronę drzwi, ale Podolski udaremnił jej tę próbę, chwytając za ramiona. Serce biło jej jak szalone z radości. Marie była bezpieczna, to najważniejsze. W dodatku znajdowała się pod dobrą opieką i wystarczyła chwila, by mogła dziecko tulić w ramionach. Szarpnęła się, jednak Podolski trzymał ją mocno. – Puść mnie! Muszę się z nią zobaczyć, muszę jej powiedzieć...

– Niczego nie musisz. Ona jest przynętą, na którą masz dać się złowić. To ci miałem powiedzieć, żebyś bez oporów zgodziła się tam pojechać. – Znowu ten żal w jego głosie, na który tym razem Émilie nie zważała, bo rozpierała ją energia do działania. Nie miała czasu, by żałować, że nie przeszukała siedziby Tyszkiewicza, zanim w wielkim pośpiechu ją opuściła. Wszystko skończyło się dobrze.

– Pojadę tam, opowiem, jak było, Antoni. Zrobię, co tylko każą, żeby ją odzyskać. Przecież muszą mi uwierzyć. Nie zatłukłabym dwóch dorosłych mężczyzn. To niedorzeczne – parsknęła i ponownie się szarpnęła, ale Podolski nie rozluźnił uścisku. Przyciągnął ją bliżej do siebie i zacisnął zęby. Czowała jego oddech na twarzy. Rozchyliła usta w oczekiwaniu.

– Twierdzą, że miałaś współnika. Czy ty nie rozumiesz, że grozi ci niebezpieczeństwo? Że wciągnęłaś w to też mnie? – wycedził przez zęby.

Jej radość rozviała się jak dym.

– Ale to nie ja...

– Jeśli nawet, to Poniatowski wie, że jesteśmy blisko na tyle, że mogłaś mnie do tego namówić.
– To dlaczego puścił cię wolno, skoro cię podejrzewa?
– Nie rozumiesz? Żebym przyprowadził ciebie. Żebym cię zwabił. – Potrząsnął nią, wbijając boleśnie palce w jej ramiona. – Będzie nas miał obydwójce.

Nagle zamyslił się, jakby mu coś przyszło do głowy.

– Tylko zastanawia mnie to, czemu Poniatowski tak upiera się przy tym, że to ty jesteś morderczynią? Doskonale zdaje sobie sprawę, że tego nie zrobiłaś. Więc albo wie coś, o czym mi nie powiedział... – Antoni zawiesił głos i przyjrzał się uważnie Émilie, wciąż ją mocno trzymając. – Albo chce się ciebie i mnie pozbyć.

Wiedziała, że Antoni ma rację. Poniatowski, który dotąd wydawał się sprzymierzeńcem, nie był na tyle głupi, żeby oskarżyć ją o zabicie dwóch mężczyzn. Z jego rozkazu służby porządkowe będą ich ścigać, tylko co mogło być tego przyczyną?

Wtedy dotarło do niej, dlaczego znaleźli się w niebezpieczeństwie. Podolski natychmiast zauważył ten błysk przerażenia w jej oczach.

– Jest coś jeszcze, prawda? Mów, Émilie! Nie możesz niczego przede mną ukrywać, jeśli mamy z tego wyjść żywi. – Potrząsnął nią mocno, aż się wzdrygnęła i odparła z wahaniem:

– Oprócz map zabrałam też korespondencję cesarza do cara.

Podolskiemu opadły ręce. Wpatrywał się w nią w napięciu, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć.

– Zostawiłam sobie ten list, żeby użyć go jako zabezpieczenia na wypadek, gdyby okazało się, że Tyszkiewicz nie chce mi oddać córki. To dlatego chciałam poznać Poniatowskiego. Wiedziałam, że on tu jest kimś ważnym. Kimś, kto zaprowadził porządek po wyjściu z miasta Prusaków, kimś, kto przy odrobinie dobrej woli zechce mi pomóc w zamian za ten list. Nie rozumiem dlaczego, ale najwidoczniej książę chce się pozbyć każdego, kto wie o liście, choć nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia i nikomu nie będę o tym mówić. On może myśleć tylko, że powiedziałam tobie i dlatego chce nas obydwójce uciszyć – umilkła i patrzyła na zmarszczone czoło Podolskiego, na jego uchylone w wyrazie zdziwienia usta i skupione spojrzenie.

Podolski milczał. Jej córka była tak blisko, a ona nie mogła ryzykować życia Antoniego, by ją zobaczyć. Zresztą, póki sama była na wolności, póty mogła jakimś sposobem wydostać dziecko z pałacu Pod Blachą.

– Antoni, błagam, pomóż mi odzyskać moje dziecko! – W oczach znowu stanęły jej łzy, które zamazywały twarz Podolskiego. – Potem zniknę z twojego życia i nigdy więcej ci nie zagrozę. O nic więcej cię nie proszę. Nawet o wybaczenie, bo nie zasłużyłam na nie.

Pokręcił głową, ale wbrew temu gestowi powiedział, wpatrując się w nią intensywnie:

– Nie chcę, żebyś zniknęła. Czy ty nie rozumiesz, Émilie? Chcę cię mieć dla siebie. Chcę z tobą spędzić resztę życia i nie pozwolę, żeby nawet sam diabeł, a nie tylko książę nam w tym przeszkodził.

– Nawet jeśli do końca tego życia będziesz musiał uciekać? Wiesz, że nie możemy być razem. Jest wiele powodów... Twoja rodzina nie zaakceptuje takiej synowej. Jest jeszcze książę i Charles...

– Nie wierzę, że Poniatowski mógłby być tak okrutny, że nie trafią do niego rozsądne argumenty i zapewnienie, że nikt nie dowie się o liście. Nie dbam o Treillarda, natomiast moja rodzina...

– A powinieneś. On nas znajdzie wszędzie, zniszczy nas, a ciebie zabije. To diabeł wcielony.

– Uciekniemy. – Antoni objął ją i mocno przycisnął do siebie.

Przez moment mu uwierzyła. Pierwszy raz w życiu miała kogoś, na kim mogła polegać. Kto jej nie zawiódł i mimo głupstw, mimo kłamstw nie chciał jej zostawić. Ojcu Marie chciała wyperswadować walkę. Błagała go, żeby został z nią i dzieckiem. Prosiła, by uciekli jak najdalej od zgiełku świata, ale on za bardzo bał się życia z dala od wygodnego pałacyku pod Paryżem. Myślał naiwnie, że zostanie wojennym bohaterem i tam wróci, a zginął jak tchórz.

Teraz dostrzegła, że był wymuskanym, wypieszczonym chłopcem, nie zaś mężczyzną gotowym jej bronić. Zginął głupio i niepotrzebnie, a ona straciła lata, pielęgnując pamięć po nim i wmawiając sobie, że go kochała. Zauroczył ją, Émilie nastolatkę, młodziutką, niedoświadczoną dziewczynkę, swoją urodą i beztroską, ale dorosła Émilie potrzebowała czegoś zupełnie innego. Wtuliła się w ramiona

Antoniego i przyłgnęła do niego, marząc, by ta chwila trwała jak najdłużej.

– Kocham cię, Émilie, i nie pozwolę cię skrzywdzić. Razem coś wymyślimy. Odzyskamy twoją córkę, a potem stąd znikniemy. Mam dość pieniędzy, żeby...

Émilie kolejny raz poczuła lzy pod powiekami. Wyplątała się z ramion Antoniego i popatrzyła mu w oczy, kładąc dłoń na pokrytym ciemnym zarostem policzku.

– Nie mogę od ciebie wymagać niczego, najdroższy. Jesteś żołnierzem, masz cel, chcesz odzyskać wolność swojego kraju. Jeszcze spotkasz kogoś, kogo pokochasz, kto będzie ciebie godny. Pozwól mi tylko...

Nie dał jej dokończyć.

– Nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety tak jak ciebie i nie mam zamiaru dłużej szukać – wyszeptał w jej usta stanowczo i pocałował ją.

Émilie pierwszy raz całowała mężczyznę z żarliwością, z pasją, na jaką zasłużył. Chciała zatopić się w nim i zapamiętać go, zabrać we wspomnieniach ze sobą. Nawet jeśli oznaczało to przywiązanie na zawsze jej uczuć, serca i umysłu do tego jednego człowieka. Pragnęła z nim być, choć zdawała sobie sprawę z nierealności tych marzeń. Wplotła palce w jego włosy i przysunęła się, by być bliżej niego. Pozwoliła swemu ciału jeszcze ten jeden raz, by odczuwało wszystko z mocą eksplodującego ładunku, by popłynęło na fali pożądania. Od początku pragnęła go z siłą, która ją przerażała i pociągała, ale teraz już nie musiała udawać, że jest inaczej i grać przed samą sobą kogoś, kim nie była.

Zwyciężyła Treillarda, który zabrał jej część duszy, zniszczył w niej naiwność, czystość i zaufanie. Wyrwała się ostatecznie z jego niewoli. I w chwili, w której to do niej dotarło, drzwi pomieszczenia wyskoczyły z ram i runęły z łoskotem pod ich nogi. Antoni objął ją i zasłonił sobą, po czym do środka wszedł dostojnym krokiem Charles Treillard. Za nim stanęło dwóch mężczyzn, w których Émilie rozpoznała żołnierzy, choć byli w cywilnych ubraniach, podobnie jak jej mąż. Tylko ciężkie zimowe płaszcze wojskowe mogły zdradzać, kim są. Na jedną chwilę czas stanął w miejscu, zaś Émilie miała wrażenie, że świat się właśnie wali w gruzy. Upadek był tym boleśniejszy, że pikowała z wyżyn szczęścia i miłości prosto w łapy samego diabła.

IV

– No proszę, moja niewierna żona w ramionach kochanka. A tak mnie przekonywałaś, żeś niewinna i święta. – Uśmiech Treillarda i lekki ton nie zdradzały szaleństwa, które Émilie dostrzegła w jego oczach. Nadal był tym przerażającym olbrzymem, który ją upokarzał na milion sposobów. Strach ją mobilizował do działania, ledwie panowała nad wrywającym się do ucieczki ciałem, które doznawszy czułości i bliskości drugiego człowieka, nie byłoby w stanie znieść więcej cierpień.

Charles głowę nosił owiniętą bandażem, był może bledszy i chudszy, niż kiedy go widziała ostatni raz, ale najbardziej zmieniło się jego spojrzenie. Rana głowy musiała mieć z tym związek.

Blady Podolski odruchowo przepchnął ją za siebie, unosząc groźnie głowę i zaciskając pięści. Émilie, ukryta za jego plecami, niewiele mogła dostrzec, ale pierwszy raz w życiu ktoś ją osłonił własnym ciałem. Dotąd to ona musiała być silna i wspierająca. Nie mogła pozwolić na to, żeby Charles skrzywdził Antoniego.

– Wypełniłem rozkaz, generale Treillard. Odnalazłem ordynansa... – zaczął Podolski, najwyraźniej chcąc zyskać na czasie, lecz Charles nie dał mu dokończyć. Jednym susem doskoczył do niego i chciał chwycić go za gardło.

Émilie wrzasnęła krótko i uwiesiła się na ramieniu męża, usiłując nie dopuścić do tego, by Antoni znalazł się w śmiertelnym uścisku, ale ten zdążył ją odepchnąć i zaatakować przeciwnika, pochylając głowę jak wściekły byk. Émilie zatoczyła się. Odzyskawszy równowagę, uskoczyła pod okno, bo mężczyźni szarpali się, przewracając stół i łamiąc krzesła. Krzyknęła i zaraz zatkała usta dłonią, gdy Treillard zamachnął się i z całej siły uderzył Antoniego w skroń, aż ten poleciał na ścianę i gdyby nie ona, runąłby jak długi.

Charles zatrzymał się zdyszany, z przekrzywionym bandażem na głowie, z krwawiącą wargą i wściekłością w oczach.

– Uciekaj, Émilie – stęknął Antoni, podnosząc się i z trudem utrzymując równowagę. Oko puchło mu w zastraszającym tempie. – Uciekaj! – krzyknął do niej.

Rzuciła się w stronę drzwi, jednak dwóch drabów, którzy stali obok nich, zatrzymało ją w pędzie. Miała nadzieję, że wyszło to wiarygodnie. Nie zostawiłaby Antoniego z tymi ludźmi. Z wolna krystalizowało się w niej silne postanowienie uratowania go za wszelką cenę.

– Nikt stąd nie wyjdzie, póki ja tego nie zechcę – wycedził Treillard i splunął krwią pod stopy Antoniego.

– Puść ją wolno – powiedział spokojnie Podolski, stając na szeroko rozstawionych nogach.

– Masz mnie, Charles. Pójdę z tobą. Zostaw go. On nie ma z tym nic wspólnego. – Émilie nie mogła pozwolić, żeby z jej ukochanym stało się to, co z Tyszkiewiczem. Bardziej bała się teraz o jego życie niż o swoje własne. Treillard nie zabiłby jej. To byłoby zbyt proste, ale wiedziała, że zechce się pastwić nad kimś, kto jest dla niej ważny. – Wykorzystałam go, żeby odnaleźć Marie. Nic mnie z nim nie łączy. Był narzędziem. Nie uciekałabym, gdyby coś dla mnie znaczył. – Odwróciła się tyłem do Antoniego, by nie patrzeć mu w oczy. Każde spojrzenie przepełnione miłością i troską, każdy grymas wyrażający strach o niego mogły spowodować na niego cierpienie. Podeszła do Charles'a i położyła drżącą dłoń na jego piersi, wbrew rozpaczliwej chęci ucieczki. Nie patrzył na nią. Wpatrywał się w Antoniego. Dopiero gdy przesunęła dłoń na jego policzek, drgnął, jakby się przebudził.

– Émilie, nie musisz tego robić. – Dobięła ją głos Antoniego. Nie odwróciła się, ale drgnęła nieznacznie. Patrzyła w oczy swojego największego koszmaru i przęłykała strach.

– Chodźmy, Charles. Wracajmy do domu.

Wzrok Treillarda na moment, na jedno mgnienie złagodniał. Zaraz jednak oprawca chwycił jej dłoń, ścisnął i wykręcił tak mocno, aż stawy zatrzęszczały, a ona jęknęła i zgięła się, jakby chciała przed nim klęknąć.

– Z tobą, dziwko, pogadam później... – zaczął mówić, a wtedy Podolski jednym szybkim ciosem w zranioną skroń powalił go na podłogę, korzystając z tego, że Émilie odwróciła uwagę przeciwnika.

Zanim Antoni zdążył ją objąć, stojący dotąd nieruchomo żołnierze, rzucili się na niego. Bronił się dzielnie, choć nie miał dużych szans w walce z dwoma roslymi mężczyznami. Émilie próbowała jednemu z nich rozorać twarz paznokciami, aż w końcu wylądowała na ścianie, straciła oddech i na wpół żywa osunęła się na podłogę.

Treillard, zamroczony ciosem i zalany krwią z ponownie rozbitej głowy, podniósł się wreszcie i patrzył z satysfakcją, jak Podolski przyjmuje kolejne ciosy, coraz słabiej się osłaniając.

– Niech oni przestaną, Charles, błagam cię – jęknęła przez łzy Émilie. – Niech oni przestaną...

Zamiast jednak przestać, żołnierze zaczęli kopać zbierającego się z podłogi Antoniego, którego twarz przypominała już opuchniętą maskę. Z ust płynęła mu krew, dłonie miał poobdzierane i nie miał siły, by się zebrać.

– Dość! – rzucił Treillard i chwiejnym krokiem podszedł do leżącego w kałuży krwi Podolskiego, który jakimś nadludzkiem wysiłkiem próbował jeszcze się podnosić.

Charles chwycił go za włosy i podniósł jego głowę. Antoni się nie bronił, ale uchylił lewe, mniej opuchnięte oko i spojrzał nim na Émilie, której łzy bezsilności płynęły po twarzy. Było w tym spojrzeniu wszystko, czego nie wyraziłby milion słów. Podolski nie zdradził, że to ona ukradła dokumenty i że część z nich trafiła w ręce Poniatowskiego. Próbował ją ochronić i przez nią cierpiał.

– Wysłałem cię tu, żebyś odnalazł tego durnia, mojego ordynansa, a ty pozwoliłeś, żeby dokumenty dostały się w niepowołane ręce. Ten staruch nie miał wszystkiego, ale powiedział mi jedną interesującą rzecz. – Treillard puścił włosy Antoniego i ten zwał się na podłogę, ale wciąż był przytomny. Tylko oddychał ciężko. – Że dostał te dokumenty od kobiety. Pomyślałem, że Gaskończyk znalazł pośredniczkę, lecz okazało się, że był w zмовie z moją ukochaną żoneczką! – Ostatnie słowo Treillard wykrzyknął i zwrócił się do przyklejonej do ściany Émilie. Była w potrzasku. Nawet gdyby chciała uciec, nie mogła zostawić Antoniego, od którego nie odrywała wzroku. Jego usta bezgłośnie powtarzały, żeby uciekała. Pokręciła tylko głową i otarła łzy zamazujące jej ostrość widzenia. Treillard wycelował w nią palec. – Wiedziałem, że jesteś dziwką, ale nie sądziłem, że na tyle głupia, żeby chcieć mnie okraść i oszukać. Myślisz, że nie wiem, że się z nim pieprzysz? Że was nie widziałem? – Wskazał na Antoniego, nie spuszczać jej z oczu. – Dlatego, żoneczko, będziesz patrzyła, jak on zdycha.

– Nie, Charles... – nie dokończyła, bo Treillard obrócił się i z całej siły kopnął Antoniego

w szczękę, aż jego głowa odskoczyła do tyłu. Émilie krzyknęła i rzuciła się w stronę Podolskiego, by go zasłonić sobą, ale oprawca złapał ją za ramię i przytrzymał. Antoni się nie ruszał, a ona nie mogła nic zrobić. Szarpała się, aż Charles nią potrząsnął.

– Zdechnie jak pies i nic na to nie poradzisz. Popatrzysz na to grzecznie – wysyczał jej prosto w twarz i skinął głową na swoich ludzi, którzy chwycili ją za ramiona.

Antoni jęknął i znowu zaczął się podnosić. Émilie podjęła decyzję. Miała tylko jedną kartę przetargową. Jeżeli chciała ocalić Antoniego, nie miała wyjścia. Wyszarpnęła się z rąk mężczyzn i jednym szybkim ruchem chwyciła za kawałek nogi krzesła. Był ułamany tak, że wyglądał jak sztylet. Otarła łzy i przytknęła ostrą krawędź do brzucha. Oddychała ciężko i nie patrzyła na Antoniego, choć jego jedno oko wciąż było w nią wpatrzone.

– Charles, zostaw go, jeśli chcesz, żeby twoje dziecko przeżyło dzisiejszy dzień – powiedziała spokojnie i dobitnie.

Treillard, stojący do niej tyłem, odwrócił się wolno. Najpierw spojrzał na jej twarz, dopiero po chwili dostrzegł wymowny gest, kiedy mocniej przycisnęła drewno do brzucha, aż poczuła ból, który ją otrzeźwił i dodał jej siły.

– Jeśli choć raz go dotkniesz, zabiję siebie i to dziecko – powtórzyła.

Treillard wpatrywał się w nią, jakby usiłował wejść jej do głowy i sprawdzić, czy mówi prawdę. Kiedy jednak wytrzymała jego spojrzenie, zrobił krok w jej stronę. Odetchnęła z ulgą, choć nie pokazała tego po sobie.

– Kłamiesz. Chcesz ratować swojego kochasia – wysyczał.

– Nie możesz mieć takiej pewności. – Wysunęła podbródek i pewnie spojrzała mu w oczy. – Dobrze wiesz, że kłamstwo wyszłoby szybko na jaw. Uciekłam, kiedy się zorientowałam, że spodziewam się twojego dziecka. Powinam urodzić za kilka miesięcy. Będziesz miał swojego wymarzonego potomka. O ile mnie posłuchasz.

– Skąd mogę mieć pewność, że to nie bękart twojego kochasia? Albo Gaskończyka?

– Policzysz sobie, Charles. – Zanim wypowiedziała te słowa, wiedziała już, że wygrała.

Treillard miał obsesję na punkcie dziedzica, którego nie mogła mu dać. Sądziła, że jest bezpłodna, że gwałty i bicie coś w niej zepsuły, coś nieodwracalnie zniszczyły. Tymczasem kilka tygodni temu nie pojawiło się krwawienie. Odczekała tydzień i już była pewna. Po prostu czuła, że rośnie w niej życie. Nienawidziła go i kochała, ale nie mogła pozwolić, by wychował je Treillard i zrobił z niego takiego samego potwora, jakim sam się stał. Nie chciała jednocześnie oszukiwać Antoniego. To dziecko nie pozwoliłoby jej zostać z nim, choćby nawet jego rodzina nie miała nic przeciw ich związkowi. Od początku to wiedziała, a teraz została zmuszona, by użyć dziecka jak tarczy, za którą schowała siebie, ale przede wszystkim Antoniego, który opadł na podłogę i już nie próbował ani na nią patrzeć, ani się podnosić. Oddychał z trudem. Miała nadzieję, że ukochany przeżyje. Nie potrafiła na niego spojrzeć, bo bała się, że rzuci się ku niemu z płaczem.

Kiedy Treillard ją objął, wciąż ścisnęła w dłoniach kawał drewna.

– Teraz będziemy już razem i nikt nam nie przeszkodzi, słodka Émilie – wyszeptał w jej włosy i dodał, patrząc w oczy: – Ale pamiętaj, że zabiję dziecko i ciebie też, jeśli jeszcze kiedykolwiek przyjdzie ci do głowy mnie oszukać. Zrozumiałaś, żoneczko?

Skinęła głową i zdusiła obrzydzenie, które odczuła na widok jego zakrwawionej twarzy. Pozwoliła się wyprowadzić z pomieszczenia, ciągle ściskając drewno, a następnie wsadzić do zamkniętego powozu. Zarejestrowała tylko kątem oka, że żołnierze wyszli z pokoju zaraz za Treillardem, zaś Antoni został sam w kałuży krwi.

Kiedy pojazd toczył się ulicami Warszawy w stronę Wisły, nie opuszczało jej przeświadczenie, że Antoni przeżyje. Znienawidziła go, bo jednak nie powiedziała mu całej prawdy, ale uratuje się i będzie mógł ułożyć sobie życie, bo dla niej ono właśnie się skończyło. Tak pragnęła wolności wyboru, wolności decydowania i życia, a przy tym mężczyźnie to marzenie mogło się ziścić. Przez jedną krótką chwilę poczuła nawet solidarność z krajem, który niebawem miała opuścić. Ów kraj pragnął wolności tak samo mocno jak ona, a żołnierze tacy jak Antoni mieli mu ją zwrócić. Była o tym głęboko przekonana. Dla niej nie było już ratunku.

Jej ukochana Marie została w pałacu Pod Blachą i Émilie miała nadzieję, że Antoni dotrzyma obietnicy i postara się, by otoczono ją opieką. Miała zamiar też spróbować z czasem, używając do tego celu swojego drugiego dziecka, odzyskać córkę rękami Treillarda. W końcu był francuskim generałem i mógł się upomnieć o pasierbicę. Na razie najważniejsze było to, że Antoni Podolski żył i choć powóz unosił ją coraz dalej od niego, to Émilie wiedziała, że nigdy nie zapomni tego mężczyzny o czarnych oczach, patrzących na nią z taką miłością.

Przypisy

[1] (z francuskiego) On nie żyje. [2] Fryderyk Wilhelm III, król Prus. [3] Louis Nicolas Davout – marszałek Francji, uważany za jednego z najwybitniejszych dowódców Napoleona. [4] Levin August von Bennigsen – dowódca armii rosyjskiej w czasie bitwy pod Pułtuskim. [5] Henriette de Vauban – starsza od niego przyjaciółka i utrzymanka księcia Józefa Poniatowskiego, która organizowała życie towarzyskie w pałacu Pod Blachą. [6] Stanisław Małachowski – marszałek Sejmu Czteroletniego, jeden z przywódców Stronnictwa Patriotycznego, zwolennik reform, cieszył się opinią człowieka o nieposzlakowanej uczciwości. Wezwany przez Napoleona do Warszawy, został prezesem Komisji Rządzącej. [7] Odezwa gen. Jana Henryka Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego napisana 3 listopada 1806 r. Została skierowana do mieszkańców Wielkopolski i wygłoszona 6 listopada 1806 r. w Poznaniu, a miała na celu zmobilizowanie narodu do walki oraz do pomocy armii Napoleona, wkraczającej na tereny zaboru pruskiego. [8] Joachim Murat – marszałek Francji, po przybyciu do Warszawy w listopadzie 1806 r. zaprzyjaźnił się z księciem Józefem Poniatowskim. [9] Henriette de Vauban – wieloletnia przyjaciółka i utrzymanka księcia Józefa Poniatowskiego. [10] Hrabianka Maria Karolina Thun und Hohenstein – pierwsza miłość młodego księcia Józefa.



JUŻ W KSIĘGARNIACH

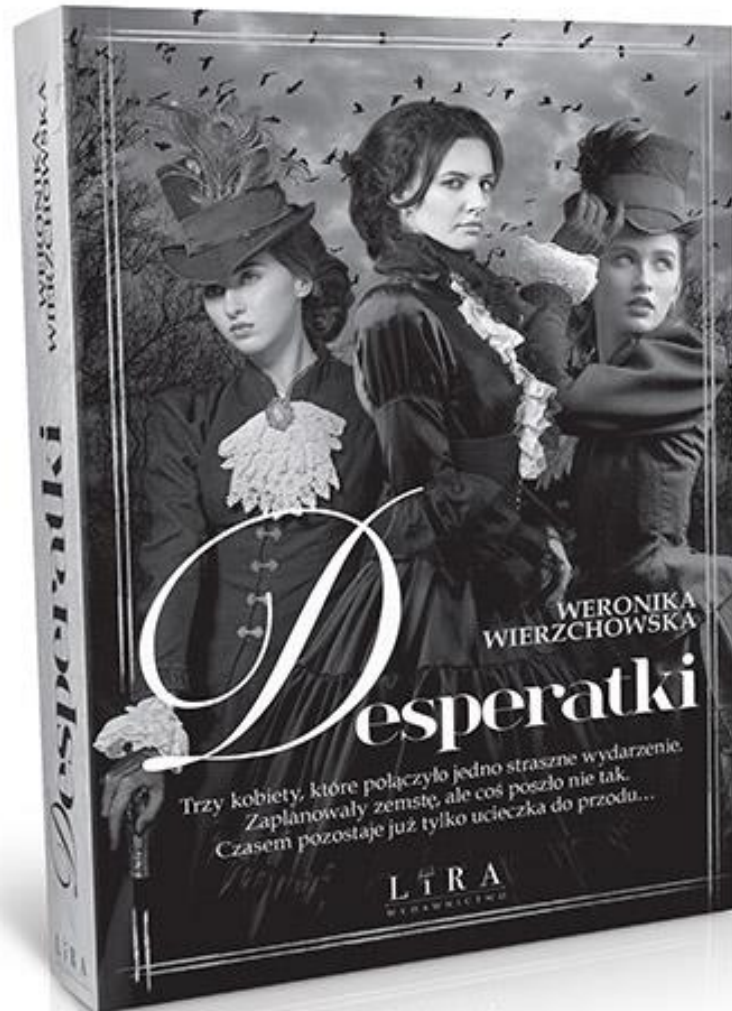


Joanna Wtulich zaprasza w podróż do magicznego Lwowa z początku XX wieku i świata wyższych sfer, pełnego intryg oraz tajemnic. Lira poleca romanse historyczne z cyklu „Trylogia lwowska”!

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Iza, Anna i Wiesia to trzy zdesperowane kobiety,
które połączyło jedno straszne wydarzenie.
Zaplanowały zemstę, ale coś poszło nie tak...
LIRA poleca niezwykłą historię o trzech desperatkach,
zmuszonych do ucieczki na koniec świata.

www.wydawnictwolira.pl

L I R A
WYDAWNICTWO

Saga napoleońska

Czasy kampanii napoleońskiej w Prusach Wschodnich. Émilie de Berier, tajemnicza Francuzka, szantażowana przez politycznych wrogów z Polski, pragnie odzyskać porwaną córkę. Lekkoduch pułkownik Antoni Podolski, dziedzic rodzinnego majątku, szuka szpiega, który wykradł dokumenty francuskiemu generałowi. Jego i Émilie łączy wspólna podróż do Warszawy zajętej przez Wielką Armię Napoleona. Choć nie pałają do siebie sympatią, ich ścieżki nieustannie się krzyżują. Szukając pomocy u księcia Józefa Poniatowskiego, obydwoje zostają wplątani w wir wielkiej polityki. Tymczasem Warszawa odbita z rąk Rosjan bawi się na balach i hucznie świętuje przybycie Cesarza.

Czy tych dwoje może połączyć coś więcej? Czy mogą sobie pozwolić na uczucia? Czy pokonają wszystkie przeszkody, jakie na ich drodze postawi los?

Joanna Wtulich wraca tym razem do swoich Czytelniczek i Czytelników z pełną rozmachem *Sagą napoleońską!* Polecamy także bestsellerową *Trylogię lwowską* jej autorstwa.



JOANNA WTULICH

– autorka cieszących się dużym powodzeniem powieści historycznych. Nauczycielka i bibliotekarka zakochana w książkach. Wielokrotnie wyróżniana za swoje opowiadania, m.in. na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału (2018, 2019) i w ramach konkursu „Poznań Fantastyczny” (2019). Uważa, że przemieszczanie się i pisanie ma terapeutyczną moc.

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

lubimyczytać.pl

STYL

ISSN: 978-83-67084-43-7



cena: **39,99 zł**
(w tym 5% VAT)